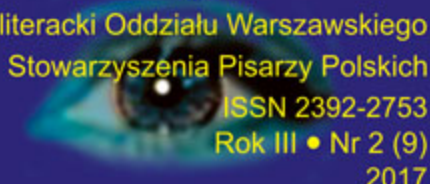


PODGLĄD



Kwartalnik literacki Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich
ISSN 2392-2753
Rok III • Nr 2 (9)
2017

J. Andrzejczak
J. Arany
A. Bańkowska
Baśka eR.
H. Belloc
Z. Beszczyńska
J. Binkowski
E. Binswanger
K. Boruń-Jagodzińska
G. Božović
K. Burek
T. Burek
D. Cirlić-Straszyńska
R. Częstochowski
H. Deinet
D. Djurović
J. Dobrzyniecki
D. Gałęcka-Krajewska
G. Gortat
A. Herman
J. Jagiełło
J.A. Kobierski
D. Kovacević
H. Krall
K. Lenkowska
J.A. Leyva
J. Liebert

A. Lizakowski
G. Łatuszyński
M. Ławrynowicz
J. Marciniak
T. Maroević
W. Młynarski
K. Mrozowski
P. Müldner-Nieckowski
S. Novak
J. Pankiewicz
A. Patey-Grabowska
M.K. Piekarska
A. Pieńkowski
S. Raičević
K. Rodowska
K. Rodowska
K. Rudziński
K.S. Schreyer
J. Sendłak
J. Siedlecka
R. Sobieszcański
K. Sutarski
M. Szczygielski
J. Śleszyński
B. Świecimski
G. Walczak
Z. Zbikowski



Tomasz Burek



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa
<http://sppwarszawa.pl>

**POD
GLĄD**

Kwartalnik literacki

ISSN 2392-2753
Rok II Nr 2 (9) 2017

Adres Redakcji

<http://podglad.com.pl>

e-mail: redakcja@podglad.com.pl

00-079 Warszawa

ul. Krakowskie Przedmieście 87/89

tel. +48 22 826 31 78, +48 22 826 05 89

Konto: 06 1020 1156 0000 7602 0058 1520

Redaktor naczelna

Małgorzata Karolina Piekarska

Prezes OW SPP

Zastępca redaktora naczelnego

Piotr Müldner-Nieckowski

(*poezja, dramat*)

Sekretarz redakcji

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Kolegium

Grzegorz Łatuszyński (*esej, krytyka*)

Maciej Parowski (*proza, esej*)

Małgorzata Strękowska-Zaremba (*proza*)

Wydawca

Zarząd Oddziału Warszawskiego

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Korekta Małgorzata Strękowska-Zaremba

Skład Piotr Müldner-Nieckowski

Druk Mazowieckie Centrum Poligrafii

05-270 Marki, ul. Duża 1, www.c-p.com.pl

Z ŻYCIA OW SPP

Małgorzata Karolina Piekarska

Wiosna, czyli... ..3

WSPOMNIENIA

Piotr Müldner-Nieckowski,

Krzysztof Burek

Tomasz Burek (1938–2017)... ..4

Tomasz Burek

Diagnoza... ..8

Wojciech Młynarski (1941–2017)... ..10

Wojciech Młynarski

Truskawki w Milanówku... ..10

Piotr Müldner-Nieckowski

Krzysztof Mrozowski (1943–2017) ..13

Danuta Gałęcka-Krajewska

Tak było, Domysły, Proces... ..18

Agnieszka Herman

Jacek Dobrzyniecki (1964–2017)21

KONKURSY, NAGRODY

Danuta Ciriłć-Straszyńska... ..22

Hanna Krall... ..23

Marcin Szczygielski... ..23

Joanna Siedlecka... ..24

Marek Ławrynowicz... ..24

Zbigniew Zbikowski... ..25

PALMA WIELKANOCNA

Joanna Jagiełło

Na rondzie de Gaulle'a... ..27

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Na palmy złośliwie... ..28

Krzysztof Saturnin Schreyer

Palmy i jabłonie... ..30

Krystyna Lenkowska

Wiatr w E... ..31

DLA DZIECI - MŁODZIEŻY

Zofia Beszczyńska

Wiersze o księżycu... ..33

Zofia Beszczyńska

Niebaśnie... ..37

cd. na nast. stronie

KRYTYKA

- Krystyna Rodowska**
Babel, czyli wymyślić siebie 39
- Ela Binswanger**
Martwa natura z łapką na osy, czyli
wiersze o tym i o tamtym 42
- Grzegorz Walczak**
(O) błędne koło historii 45

POEZJA

- Janusz Andrzejczak**
Czy pamięta nasza droga 49
- Jerzy Binkowski**
Godzinki ku czci Niepokalanej,
Grom 50
- Ryszard Częstochowski**
Wnętrza, Rytm życia,
Oczy, Już byłem 52
- ks. Janusz Adam Kobierski**
Monolog króla Dawida,
Kartka na wiatr 54
- Adam Lizakowski**
Psalm złodziei czereśni, Rok 1945. . 56
- Jerzy Marciniak**
złote monety 58
- Piotr Müldner-Nieckowski**
Gdybym szedł 60
- Baśka eR.**
Credo, ***, *** 61
- Krzysztof Rudziński**
Wiersze śródziemnomorskie 63
- Krzysztof Saturnin Schreyer**
Ciężar, Orchidea 65
- Jerzy Śleszyński**
Gwiazdka, To tylko taki mir-aż-on 67
- Ryszard Sobieszkański**
Ty który przychodzisz, Prezent . . . 69
- Bogdan Świecimski**
***, Wołanie do Boga 71

PROZA

- Janusz Andrzejczak**
Nic niezwykłego, Elias, Ilia 73

Grzegorz Gortat

- Moje cudowne dzieciństwo
w Aleppo 78

Piotr Müldner-Nieckowski

- Numer trzydzieści cztery 84

Jacek Pankiewicz

- Czy warto żyć? 92

Alicja Patey-Grabowska

- Rekonstrukcja – Kozielsk
03.04.1940 94

Joanna Sendłak

- Con fuoco 97

PRZEKŁADY

Anna Bańkowska

- Hilaire Belloc, Jerzy Liebert. 105

Danuta Cirlić-Straszyńska

- Slobodan Novak,
Tonko Maroević 107

Grzegorz Łatuszyński

- Gojko Božović, Dušan Djurović,
Stefan Raičević 114

Krystyna Rodowska

- José Angel Leyva 125

Konrad Sutarski

- Węgierskie wieści – Rok Jánosa
Aranya 129

- János Arany: Walijscy bardowie . . 130

Ryszard Sobieszkański

- Helga Deinet 135

Grzegorz Walczak

- Dusan Kovacević: Kumowie 137

SATYRA

Antoni Pieńkowski

- Jelenie, Nocne słuchanie
stacji radiowych 174



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa

Wiosna, czyli...

W rodzinie mojego Ojca wszyscy byli wykształceni. W rodzinie Mamy wykształcony był jedynie jej Ojciec. Jej Mama, czyli moja Babcia Konstancja Stec chodziła do szkoły tylko kilka dni (w wersji optymistycznej kilka tygodni), a jednak to ona – niewykształcona kobieta, robiąca błędy ortograficzne, była przez mojego wykształconego Ojca uważana w pewnych sprawach za autorytet. Mówił, że teściowa ma niezwykle trafne spostrzeżenia i refleksje. Zwłaszcza w sprawie życia i śmierci. To Babcia kiedyś powiedziała mi, że zarówno jesienią jak i wiosną ziemia się oczyszcza. Umiera stare, by nowe mogło się narodzić.

Czy dlatego sama umarła wiosną w imieniny swojego zięcia? Myślę o niej, ilekroć wiosną ocieram się o śmierć. W tym roku nie opuściła naszego pisarskiego środowiska. Do niebieskiego oddziału stowarzyszenia właśnie wiosną odeszli Wojciech Młynarski i Tomasz Burek, ale też opuścili ten świat niezrzeszeni w SPP poeci Krzysztof Mrozowski i Jacek Dobrzyński. O czym rozmawiają tam, na niebieskich szlakach? Może Tomasz Burek mówi o literaturze polskiej, Krzysztof Mrozowski i Jacek Dobrzyński recytują swoje wiersze, a Wojciech Młynarski śpiewa „róbmy swoje”?

Ale podobno TAM jest zupełnie inaczej i to co ziemskie nie ma absolutnie żadnego znaczenia. Czy literatura jest ziemska? Niektórzy twierdzą, że Biblia to literatura. Inni, że to natchniona księga. Och! Jakże trudno to wszystko ogarnąć umysłem. Na szczęście na wierzących czeka... zmartwychwstanie. (Niewierzący muszą pocieszać się inaczej).

W najnowszym numerze „Podglądu” nie brak refleksji dotyczących zmartwychwstania. Na tegorocznym spotkaniu wielkanocnym pochyłaliśmy się nad tym tematem pisząc o palmie, a to Niedziela Palmowa rozpoczyna Wielki Tydzień i przygotowuje na obchody Świąt Zmartwychwstania. Refleksji dotyczących życia i śmierci jest w tym numerze więcej. Są zarówno w tekście Alicji Patey-Grabowskiej „Rekonstrukcja”, dotyczącym wydarzeń w Kozielsku w 1940 roku, jak i we fragmentach najnowszej powieści Grzegorza Gortata „Moje cudowne dzieciństwo w Aleppo”.

Ale ten numer naszego kwartalnika to także inne teksty. Wśród nich sporo poezji, krytyki literackiej, prozy i tłumaczeń. Zapraszam do czytania. Zwłaszcza, że wiosna to także czas narodzin nowego. Może więc pod wpływem tej lektury w umysłach czytelników narodzą się nowe pomysły?

Małgorzata Karolina Piekarska

Tomasz Burek (1938–2017)

Nie żyje Tomasz Burek, jeden z najwybitniejszych polskich krytyków literackich, eseista, historyk literatury, a w latach PRL-u działacz opozycji demokratycznej. Doktor nauk humanistycznych, ale przede wszystkim artysta. Jego imię przypomina, że krytyka literacka nie jest tożsama z literaturoznawstwem. To dziedzina sztuki, rzecz na wskroś pisarska. Tomasz Burek był współzałożycielem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, jego wieloletnim wiceprezesem i przewodniczącym Komisji Kwalifikacyjnej, który wnikliwie i niezawodnie stosował najbardziej wiarygodne kryteria oceny, co jest literaturą, a co nią nie jest; kto jest pisarzem.

„Odszedł od nas w nocy z 30 kwietnia na 1 maja w szpitalu w Pruszkowie. Jest tu jakaś dziwna symbolika, bo przecież przed 106 laty, także 30 kwietnia, zmarł Stanisław Brzozowski, wielki patron pisarstwa krytycznego Tomasza Burka. Autor *Dziennika kwarantanny* był chyba ostatnim u nas „brzozowszczykiem”. Znaczy to: wnikliwym czytelnikiem pisarstwa Brzozowskiego, jego komentatorem i edytorem, ale przede wszystkim znakomitym, twórczym kontynuatorem jego metody krytycznej. Kimś, dla kogo krytyka miała być «nieustającym aktem rozumienia i sądem, poprzez interpretowaną książkę, nad epoką, co tę książkę wydała»” (Maciej Urbanowski, *Arcykrytyk*, <http://www.institutksiazki.pl>, 1 maja 2007).

Urodził się 7 marca 1938 r. w Warszawie. Był synem Zofii z Młodożeńców i Wincentego Burka, pisarza, redaktora, działacza ruchu ludowego. Jesienią 1939 r., w pierwszych miesiącach okupacji niemieckiej, wraz z rodzicami przybył do Sandomierza. Tu w domu przy ul. Panny Marii 10, dawnej szkole kolegiackiej, w sąsiedztwie sandomierskiej Katedry, biegły jego dzieciństwo i młodość. W 1955 r. ukończył I Liceum Ogólnokształcące (Collegium Gostomianum). W latach licealnych był zapalonym sportowcem, grywał w odnoszącej sukcesy szkolnej drużynie koszykówki. Rozpoczął studia na Wydziale Dziennikarskim Uniwersytetu Warszawskiego z pragnieniem zostania dziennikarzem sportowym. Szybko jednak – zagorzałego czytelnika zasobów Biblioteki Publicznej im. Jana Długosza i bogatej ojcowskiej biblioteki – przyciągnęła go ku sobie literatura i szeroko pojęta humanistyka. Także sprawy społeczne i polityczne; był świadkiem wydarzeń Października 1956 r., związanych z nimi nadziei, i obserwatorem ich szybkiego zdławienia. W 1957 r. debiutem na łamach prasy literackiej rozpoczął trwającą sześćdziesiąt lat drogę krytyka literackiego, eseisty, historyka



Tomasz Burek 27 kwietnia 1984. Sandomierz, obok katedry. Fot. Marek Banaczek

literatury, „wspaniałego humanisty, głębokiego i oryginalnego myśliciela, przywracającego terminowi «krytyka literacka» należny mu blask i siłę” (Włodzimierz Bolecki, *Burek był i jest buntownikiem*, „Topos”, nr 5, 2016).

Symbolicznym wyrazem uhonorowania autorytetu i uznania jakim się cieszył, stała się uroczystość (12 listopada 2016) wręczenia mu statuetki MISTRZ, nagrody honorowej środowiska związanego z literackim periodykiem „Topos”. W tym samym roku otrzymał też z rąk ministra kultury i dziedzictwa narodowego Piotra Glińskiego Złoty Medal „Gloria Artis”. „Dla Tomasza Burka – mówił Antoni Libera w laudacji wygłoszonej z tej okazji – literatura nie sprowadza się do szeroko pojętej sztuki, nie jest ona tylko laboratorium techniki i stylu mówienia, skarbnicą tematów, motywów i postaci, lecz również, jeśli nie przede wszystkim, jedną z form ekspresji ducha człowieka, który poszukuje odpowiedzi na dotyczące jego egzystencji zasadnicze pytania: o sens istnienia na Ziemi, o przeznaczenie, o możliwość i szansę zbawienia”.

Tomasz Burek publikował na łamach pism literackich. Był autorem książek: *Zamiast powieści* (1971), *Dalej aktualne* (1973), *Jaka historia literatury jest nam potrzebna* (1979 – II obieg wydawniczy), *Żadnych marzeń* (1987 Londyn; 1989 – Warszawa, II obieg wydawniczy), *Dzieło niczyje* (2001), *Dziennik kwarantanny* (2001), *Niewybaczalne sentymenty* (2011) – na jej obwołucie reprodukowana jest panorama Sandomierza z początków

XX wieku, miasta, z którym był tak silnie związany. Był też człowiekiem radia; współpracował z Radiem Bis, Radiem Wolna Europa, Programem II Polskiego Radia – przez 23 lata wraz z Iwoną Smolką i Piotrem Matywieckim prowadził chętnie słuchany „Tygodnik Literacki”. „Mówił cicho, powoli, zwykle z lekko przymkniętymi oczami. Niezwykle jednak precyzyjnie. Budował zdania wielokrotnie złożone, które potrafił kończyć zaskakującą pointą” (Krzysztof Koehler, *Odszedł od nas jeden w wielkich*, <http://www.institutksiazki.pl>, 1 maja 2007).

Od 1970 r. pracował w Instytucie Badań Literackich PAN (z przerwą 1985-1989, kiedy został relegowany za swoją postawę polityczną), był m.in. współautorem naukowych opracowań: *Literatura polska 1918-1975* oraz *Obraz literatury polskiej XIX i XX wieku*.

W 1976 r. związał się z opozycją demokratyczną, m.in. podpisał tzw. Memoriał 101 – protest przeciwko planowanemu zapisowi w Konstytucji PRL-u, mówiącemu o przewodniej roli PZPR i nienaruszalnym sojuszu z ZSRR. Był wykładowcą Uniwersytetu Łatającego i Towarzystwa Kursów Naukowych, redaktorem niezależnego pisma „Zapis”. W maju 1980 r. uczestniczył w głódówce w kościele pw. św. Krzysztofa w Podkowie Leśnej na znak solidarności z uwięzionymi opozycyjnymi wydawcami. W stanie wojennym 1981-1983 współpracował z pismami podziemnymi.

Laureat nagród literackich, m.in. Nagrody im Stanisława Piętaka (1972), Nagrody Fundacji im Kościelskich w Genewie, (1973), krakowskiego „Życia Literackiego” (1974). W 2007 r. został odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Był członkiem Związku Literatów Polskich do czasu jego rozwiązania przez władze PRL-u w 1983 r., a po 1989 r. współzałożycielem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i jego wiceprezesem (1990-1996). Członek Pen Clubu, przewodniczący jury Nagrody im. Józefa Mackiewicza. W ostatnich dniach życia brał udział w pracach jury pierwszej edycji Konkursu im. Marka Nowakowskiego.

Pozostawał w wielkiej bliskości duchowej z Sandomierzem. Miastem jego młodości, także wiecznego spoczynku rodziców. Dopóki nie podupadł na zdrowiu, bywał tu, miał wielu przyjaciół, szkolnych kolegów, zatrzymywał się m.in. na Górcie Literackiej u śp. Renaty i Jerzego Targowskich „w bezpośrednim sąsiedztwie miejsc sekretnych pamięci – tych wszystkich uliczek, podwórek i budynków, gdzie dorastał” (wpis w Księdze Gości z 30 IV 1989). Sandomierskie ślady znaleźć można w Jego pisarstwie,

szczególnie w „Dzienniku kwarantanny”, opracował (wraz z rodzeństwem Martą i Krzysztofem) zbiór listów swego ojca, Wincentego Burka, i Jarosława Iwaszkiewicza, zatytułowany „Sandomierz nas połączył” (1995).

Był członkiem Towarzystwa Naukowego Sandomierskiego, publikował na łamach „Zeszytów Sandomierskich”.

Spośród licznych informacji, tekstów, wspomnień, jakie na wiadomość o Jego śmierci pojawiły się w Internecie, warto zacytować ten, który ukazał się na oficjalnej stronie internetowej Prezydenta RP Andrzeja Dudy:

„Zaangażowany w sprawy kultury, zawsze miał na uwadze jej głęboki wymiar etyczny. Literatura była dla Niego przestrzenią mądrej dyskusji i odkrywania prawd, których poznanie oświetla przyszłość. Tłumaczył rzeczywistość poprzez książki, upatrując w nich wykładnię praw i zasad, które pomagają poruszać się świecie współczesnemu człowiekowi. Każda z Jego wypowiedzi zastanawiała, zachęcała do rozmowy o sprawach najważniejszych. Ze szczególną troską spoglądał w stronę literatury polskiej, dostrzegając w niej pole do intelektualnej debaty mającej na celu dobro wspólnoty. Był autorem wielu fundamentalnych esejów i artykułów, a także twórcą znakomitej adaptacji *Quo vadis* Henryka Sienkiewicza, którą przygotował specjalnie na edycję Narodowego Czytania 2016. Odszedł wielki patriota, w sposób szczególny zasłużony dla polskiej kultury”.

Tomasz Burek spoczął w grobie rodzinnym obok swej zmarłej w 1992 r. żony Krystyny. Pogrzeb w Podkowie Leśnej miał charakter państwowy, z honorami wojskowymi, w czasie Mszy w kościele pw. św. Krzysztofa przedstawiciel Prezydenta RP odczytał epitafium od dr. Andrzeja Dudy.



Tomasz Burek
w domu w Brwinowie

Piotr Müldner-Nieckowski

*z wykorzystaniem biogramu opracowanego przez
Krzysztofa Burka*

Tomasz Burek

Diagnoza*

Fragment eseju „Powieść utajona” z tomu „Żadnych marzeń” – wyd. Oficyna Wydawnicza „Pokolenie”, Warszawa 1989, ss. 140-141

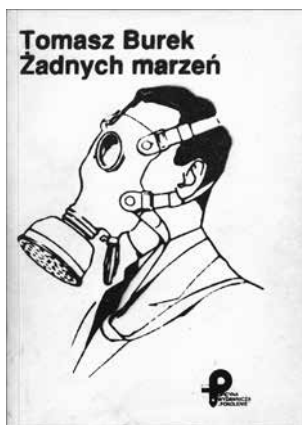
Ze stanowiska potrzeb rozwojowych świadomości społecznej w Polsce anno 1973, szukającej możliwości swej pełnej ekspresji w literaturze, *intymistyczne*, *eseistyczne* i *poetyckie* metody oglądu rzeczywistości, choć niezbędne i w wielu wypadkach jedynie możliwe, ujawniły równocześnie swe granice. Dalekie od wyczerpania kryjących się w nich szans artystyczno-poznawczych, nie powinny uchodzić za metody absolutne i w każdych warunkach gwarantujące powodzenie.

Intymizm pozostawiony samemu sobie grozi zbyt krańcowym „uprywatnieniem” i izolacją „ja” pisarskiego. Eseizm, gdy nie jest w mocy stawiać wielkiej kabaly historii, łatwo popada w sąsiedztwo z kaprysami i grymasami tuzinkowego felietonisty, flirtującego na zawołanie z publicznością masową. Poetyzm, nieuzupełniony przez korygujące go lustra nowego rozumu, bezwolnie ulega pokusom werbalnych mitologii i zabija każdą myśl, grzebie wszelką pojęciowość pod warstwami stylizowanej ornamentyki obrazowej.

Intymizm, eseizm i poetyzm nie mogą, każdy z osobna, stworzyć oczekiwanej Arcyksiążki: powieściowej biografii żyjącego pokolenia.

Mogą ją stworzyć jedynie w zespoleniu z czwartym elementem, któremu na imię – **k r y t y c y z m s p o ł e c z n y**.

Jednakże to lepszycze prozy nowoczesnej, jakim była umiejętność głębokiej analizy, jakim była pasja okrutnie realistycznego i przenikliwie krytycznego oświetlania przemian zachodzących w społeczeństwie, nie miało w Polsce mocniejszej tradycji i zbyt wielu płodnych źródeł. Gdzie indziej analityczna powieść społeczna rozwijała się przeważnie w oparciu o dojrzałe i okrzepłe mieszczaństwo liberalne. U nas niedorozwój tej właśnie



* Tekst od 1973 r. w niczym się nie zestarzał. Tytuł pochodzi od Redakcji (p.m.n.).

gdzie indziej ruchliwej i przedsiębiorczej warstwy społecznej oraz słabość jej ideologii – odbiły się na zapóźnieniu prozy literackiej, przede wszystkim na niedowładzie i niewielkim zasięgu powieściowego realizmu.

Długotrwały brak swobody w życiu nie tylko politycznym, ale i umysłowym, nie sprzyjał wykształceniu się zdolności krytycznego dyskusowania o wszystkim i roztrząsania wszystkiego, zdolności, którą można nazwać „nieskrępowaną wyobraźnią”, i dzięki której w europejskiej powieści XIX wieku święcił swe poznawcze triumfy bezlitosny realizm. Również zahamowanie normalnego życia naukowego pod zaborami, słaby obieg informacji itd., wszystko to pozbawiało na długie okresy pisarzy polskich tych natchnień teoretycznych i nawyków myślowych, które w powieści europejskiej składały się na metodę realizmu. Nieszczęśliwy rozwój historyczny wytrącił z rąk rodzimej powieści narzędzia nowoczesnej analizy społecznej. Negatywne owoce braku dojrzałej postawy analitycznej i krytycznej w powieściopisarstwie polskim minionych epok, te negatywne owoce zbieramy jeszcze w dniu dzisiejszym.

Dziedziczymy złe sumienie literatury nie tylko po minionej dekadzie, lecz po wielu odleglejszych dziesięcioleciach, w czasie których niejedną raz kulała w Polsce wolność myśli, a zatem kuleć musiał w konsekwencji powieściowy realizm. Społeczny realizm w powieści nie rodzi się bowiem z zapłodnienia przez abstrakcje i ogólnikowe postulaty, lecz wyrasta organicznie ze sprzyjającej mu gleby demokracji społecznej i krytycznej kultury umysłowej. Jeśli tak mało było krytycznej analizy rzeczywistości w prozie lat sześćdziesiątych (i ogólnie biorąc w całej prozie polskiej, która nie miała we właściwym czasie swego Stendhala, Balzaka i Zoli), to nie wynikało to przecież ze szczególnej niechęci powieściopisarzy polskich do zajmowania się problematyką życia publicznego, mechanizmami polityki, obliczem władzy, źródłami antagonizmów i kryzysów trawiących organizm zbiorowy. Wprost przeciwnie, podejmowali oni niejednokrotnie wysiłki oświelenia życia społecznego z szerszego punktu widzenia. Jeśli nie mogli się na tych stanowiskach długo utrzymać lub pozostawali na nich niezrozumiani przez ogół i osamotnieni, to nie ich wyłącznie wina. Co im przeszkadzało w sięganiu do problemów życia współczesnego i zakłócało lub wręcz uniemożliwiało nawiązanie systematycznych i empirycznych kontaktów z rzeczywistością, to bynajmniej nie własna pięknoduchowska niechęć do „przechadzania się po gościńcu”, lecz głównie lęk ich współziomków przed publicznym mówieniem prawdy. Lęk będący funkcją samoobronnych rytuałów i prowadzący do fikcyjnych kompensat. Dlatego prawda (= realizm) była zawsze w nowoczesnej powieści polskiej szczęśliwym wyjątkiem. □

Wojciech Młynarski (1941-2017)



Fot. Jarosław Kruk,
Wikimedia

Zmarł 15 marca 2017 r. w Warszawie. Wielka strata. Był twórcą setek piosenek, które odmieniły życie Polaków, mistrzem dobierania trudnych słów, aby brzmiały lekko i dowcipnie, i opisywały ciężkie czasy tak, aby było je łatwiej znieść. Nie siląc się na moralizatorstwo i dydaktyzm, tworzył barometry etyki, wskaźniki rozumu i narzędzia pochwały uczuć – z dziedziny pozornie drugorzędnej tworzył wielką sztukę. Należy do kwartetu najlepszych autorów powojennej piosenki polskiej, obok Agnieszki Osieckiej, Jeremiego Przybory i Jonasza Kofty. Tuż przed śmiercią, w styczniu 2017 odbyła się promocja ostatniej książki Wojciecha Młynarskiego „Od oddechu do oddechu”, która utrwała znaczną część pokaźnego dorobku artysty – jest to bodaj największy zbiór jego wierszy i piosenek.

Za zgodą wydawcy publikujemy utwór, który wydaje się nam najbardziej dla twórczości Młynarskiego charakterystyczny. Zawiera najlepsze elementy jego sztuki: oryginalny język, muzyczność frazy, dowcip, ironię, ciepło, przywiązanie do polskiej ziemi, szczególnie okołowarszawskiej, i związki z tradycją. (pmm)

Wojciech Młynarski

Truskawki w Milanówku

Ja mam na ogół pamięć krótką,
ja mam na ogół pamięć złą,
ktoś do mnie mówił: „Niezabudko...”,
zupełnie nie pamiętam kto.
Ktoś mnie ubierał w perły, futra.
Kto? Całkiem nie pamiętam, lecz
aż po starości jesień smutną
pamiętać będę jedną rzecz:

Truskawki w Milanówku,
tamten ganeczek w dzikim winie,

te interludia na pianinie,
 to jeszcze mi się śni...
 Truskawki w Milanówku,
 pogodny wuj reakcjonista,
 który *Brygadę Pierwszą* świstał,
 słuchając BBC...
 Truskawki w Milanówku,
 na talerzykach Rosenthala
 przysiadły od hołoty z dala
 wśród śmietankowej mgły...
 Truskawki w Milanówku
 i ten przechodzień, spacerowicz,
 inteligentny jak Gombrowicz,
 to właśnie byłeś ty...

Nie mam pamięci do detali,
 ale pamiętam furtki skrzyp,
 a potem księżyc się zapalił
 i łypnął ku nam łypu-łyp...
 Ja miałam oczy nieprzytomne,
 czułam gorący poszum krwi –
 więcej nie pomnę, ale pomnę,
 jak strasznie smakowały mi:

Truskawki w Milanówku,
 cukier jak śnieg Kilimandżaro,
 wuj przez sen mrucał: „Cztery karo,”
 bo we śnie w brydża grał.
 Truskawki w Milanówku,
 na widelczyku srebrnym drżące,
 o cichym zmierzchu sprzyjające
 związkowi dusz i ciał...
 Truskawki w Milanówku,
 na księżycowy promień złoty
 ty nawlekałeś swe tęsknoty,
 a ja westchnienia me.
 Truskawki w Milanówku,
 przez chwilę człek nie podejrzewał,
 że to nie Lorelei we mgle śpiewa,
 lecz gwiazdże EKD...

Cichą tęsknotę darmo kojąc,
w jesienny zapatrzona liść,
chcę bardzo, by piosenka moja
zawarła jeszcze taką myśl:
że kalarepa z Wołomina,
która stanowi czasu znak,
choć strasznie plenić się zaczyna,
wspominać tak się nie da jak

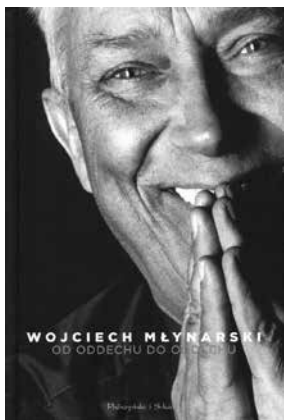
Truskawki w Milanówku,
martwa natura – żywy dowód,
że jeszcze wciąż istnieje powód,
by podwieczorki jeść.

Truskawki w Milanówku,
wytworne żarty od niechcenia,
ach, pracowały pokolenia
na formę tę i treść...

Truskawki w Milanówku,
wuj konkubinę miał w Brwinowie,
ale nam o niej nie opowie –
wuj już na chmurce gdzieś...

Truskawki w Milanówku,
wasz czar nie zniknął i nie przepadł,
nim was zagłuszy kalarepa –
poświęcam wam tę pieśń...

1988



Wojciech Młynarski
Od oddechu do oddechu
Wydawnictwo Prószyński i S-ka
Warszawa 2017
Format: 135 x 196 mm
Stron: 480
ISBN: 978-83-8097-056-4

Krzysztof Mrozowski (1943-2017)

W czwartek 23 marca 2017 r. w warszawskim szpitalu na Mokotowie zmarł Krzysztof Mrozowski, jeden z wybitniejszych polskich poetów powojennych. Nasz kolega, dla wielu mistrz poezji i barometr tego, co w literaturze dobre, a co złe; co nowe i odkrywcze, a co słabe i naganne. Odgrywał znaczną rolę w literaturze, szczególnie w poezji. Całkowicie osobny, oryginalny, niepowtarzalny. W naszej świadomości istniał od końca lat 60. XX w., kiedy go poznaliśmy w Kole Młodych przy Związku Literatów Polskich i w redakcji słynnego miesięcznika „Nowy Wyraz”.

W ostatnich dniach życia bardzo się już męczył. Ciało odmawiało życia. Umysł jednak miał do końca trzeźwy, analityczny. Ostatnie słowa, które do mnie kierował, ledwie już mogąc je wykrztusić, dotyczyły wartości poezji i prozy Fernanda Pessoa. „Wielki!” – powiedział na koniec i zmęczony, ciężko chwytając powietrze, kiwał głową z aprobatą. Urodził się w 1943 roku na Pawiaku, początek życia miał więc dramatyczny, niezwykle. Przechowywał w pamięci niczym relikwie relacje świadków tamtych czasów. Przeżył 74 lata, niewiele jak na rozległe plany pisarskie, o których opowiadał.

Na cmentarzu bródnowskim żegnała go grupa kilkudziesięciu osób. Był mało znany szerokiej publiczności, ale poeci wiedzą o nim wiele. To właśnie oni przyszli przede wszystkim. Czytali wiersze mu poświęcone.

Trzy lata temu, gdy zaczął myśleć o swoim odejściu, tknięty przecuciem wziął się do pracy nad utworami dawnymi i tymi, które nosił w głowie. Zauważyło to kilku najbliższych, dawał znać, że się tym zajmuje. Zaczęto go wspomagać, a ponaglany przez przyjaciół, zwłaszcza przez profesora



Krzysztof Mrozowski. Fot. Wiesław Sadurski 1974

Lecha Witkowskiego, zdążył jeszcze wydać w toruńskim Wydawnictwie Adam Marszałek tom *Pan na Alfabcie* i przygotował do druku następny. Rychło w czas! To dzieło od lat powinno być w powszechnym obiegu.

Powstał komitet wydania całości jego dorobku. Może ta grupa pod wodzą profesora Witkowskiego nadrobi to, z czym ociągał się poeta. Mrozowski zapewne tłumaczy to, że był niezwykle skromny i wołał nie występować na froncie, na który pcha się tylu niezasługujących na uwagę. Jednak zdawał sobie sprawę z tego, jak wielki potencjał drzemie w jego umyśle. Wiedział, kim jest, tylko że nie dostrzegął, że inni też to wiedzą.

Jaki był, jakim go widzieliśmy? Obowiązkowy i precyzyjny jako edytor, organizator kultury i wydawniczy, redaktor i marketingowiec. Wysmakowany znawca jazzu i muzyki współczesnej. Dobrze, gustownie ubrany. Nałogowiec, lubił tytoń i alkohol. Słyszał z tak zwanej mocnej głowy i chyba nikt go nie widział przewracającego się, to znaczy klasycznie pijanego. Mimo że wiele lat temu z pićm i paleniem całkowicie zerwał, zabił go jednak dym, zniszczywszy płuca. Prędko w ruchach, gwałtowny w zachowaniu, myślący szybciej niż wszyscy naokoło, nie tolerował sztuczności, głupoty i minoderii. Ale był i niespodziewanie cierpliwy, kiedy tego wymagała chwila. I wierny ideałom i ludziom. Niektórym. W inteligencji i erudycji nie miał sobie równych. Tym onieśmiał nawet najlepszych. Onieśmiał też śmiałością twórczości. Łamał konwencje i style pisarskie. Wbrew zdaniu przyjaciół znawców typografii (że wspomnę Andrzeja Tomaszewskiego) w ostatniej swojej książce przewrócił do góry nogami zasady kompozycji graficznej tekstu i estetyki, dostosował je do treści, sensów i uwidoczniał prozodię. Jeśli teraz weźmie to na warsztat jakiś zdolny aktor, to w lot zrozumie, jak należy te teksty wypowiadać.

Jako legenda kilku generacji był i wciąż jest naśladowany mniej więcej tak jak Tymoteusz Karpowicz czy Tadeusz Różewicz. Jego poematy i proza poetycka były przez lata kolportowane wśród młodych poetów w postaci odpisów i kserogramów. Miał znane przyjaciółm słowa klucze, na przykład „Trylet” czy „Biały mim”, które fascynowały ludzi, którzy stykali się z jego utworami. Debiutował (wydanym własnym sumptem) tomem *Tekst* w 1965 roku. Uczestnik wydarzeń marcowych, tępiony w 1968 roku i w latach następnych, przetrzymał (28 odrzuceń z wydawnictw w PRL), niestety przestał drukować. Wycofał się. Po latach wydał tomy poetyckie *MIM*, *PAKT*, *Obywatel K.K.*, drukował w paryskiej „Kulturze”, „Odrze”, „Almanachu młodych” (Wydawnictwo Iskry), „Orientacjach”, „Nurcie”, „Nowym Wyrazie”, „Piórze”, „Plotkies” i innych.



Krzysztof Mrozowski ze swoimi portretami autorstwa Doroty Brodowskiej.
Fot. Jerzy Grzegorkiewicz, ok. 1980

Wielu znanych dziś pisarzy pamięta go jako przewodniczącego warszawskiego Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich w latach 70. Był wtedy postacią znaczącą jako organizator życia towarzysko-artystycznego. Liczyły się z nim władze, i to nie tylko te z ZLP, gdzie na dźwięk jego nazwiska prezes Jarosław Iwaszkiewicz wyostrzał rysy twarzy, ale także miejskie i ogólnopolskie, polityczne. To Mróz, jak go nazywaliśmy, zorganizował Jackowi Kaczmarskiemu jeden z pierwszych koncertów – właśnie w piwnicy Koła Młodych ZLP. Lokal mało nie pękł w szwach. Koledzy, młodszy i starsi, świadomi wysokiej jakości twórczości, którą uprawiał, towarzyszyli jego ciągłym niepowodzeniom, które wynikały z nierozumienia tyleż jego sposobu myślenia, poglądów filozoficznych i politycznych, co nowatorstwa poezji, którą pisał, i ostrości sądów o dobrej i złej literaturze. A nie mylił się nigdy. O ile koledzy i koleżanki przeważnie go kochali, o tyle decydenci państwowi zawsze nienawidzili. Nie wierząc, że komuna kiedykolwiek upadnie, zaczął się powoli godzić z myślą, że pozostanie nieznanym, że jego książki nigdy się nie ukażą. Tajemnicą poliszynela było to, że jeden z ważnych maszynopisów po prostu zniszczył, o co bliscy mieli poważne pretensje. Szczególnie lamentował zwykle opanowany Ireneusz Ireduński, jego najbliższy przyjaciel. Wygrażał i złorzeczył. Nie pomogło. Ireduńskiego już

nie ma na tym świecie, ale są inni. Teraz się przydadzą, bo przechowują pamięć o nim i będą świadczycy, kiedy ktoś spróbuje sięgać do jego biografii.

W 1971 roku podczas Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Studenckich w ramach Spotkań Teatralnych przez Studio Prób Dramatycznych Uniwersytetu Łódzkiego, gdzie był kierownikiem literackim, zaprezentowano jego nowatorską, oskarżycielską sztukę, misternie utkaną z aluzji do zła ówczesnego systemu politycznego. Choć miał poglądy wyraźnie lewicowe, nie znosił komunizmu, a to przede wszystkim z powodu trzech naczelnych właściwości tego systemu: zakłamania, nietolerancji i dehumanizacji. Z trudem zniósł wydarzenia marca 1968 r. Po premierze przedstawienie, na skutek decyzji podjętej na burzliwej i mocno zakrapianej sesji PRL-owskich decydentów, zostało wyeliminowane z festiwalu, rzecz jasna z powodów politycznych. I tak było stale, wciąż coś mu usuwano z obiegu, więc przestał podejmować próby istnienia na niwie.

W jego twórczości obecne są ważne a zapomniane realizacje projektów współpracy z kompozytorami polskimi. Znał się na muzyce jak mało kto, znał też największych polskich kompozytorów z Witoldem Lutosławskim na czele. Nieprzypadkowo Zbigniew Turski wywiódł swą muzykę z brzmienia słów poety i zawarł ją w kompozycji *Tryptyk do poezji Krzysztofa Mrozowskiego na bas solo i orkiestrę*, która została wykonana na IX Festiwalu Oratoryjno-Kantatowym Wratislavia Cantans (1974).

W latach 2015-2016 powstały nowe dzieła poetyckie Mrozowskiego: *Msza Słoneczna* oraz *Zmierzch Cywilny*. Weszły do wydanego pod koniec 2016 r. tomu *Pan na Alfabcie*.

Był twórcą trudnym, wizyjnym. Przyszli znawcy Mrozowskiego będą mieli twardy orzech do zgryzienia, poeta posługuje się bowiem techniką pisarską z pogranicza surrealizmu, dadaizmu i – co może się wydawać zdumiewające – klasyki, co sprzyja przedstawianiu zaawansowanych koncepcji filozoficznych, ale chwilami zdumiewa adekwatnością rytmu i rymu tam, gdzie nikt by się ich nie spodziewał. Bije tym czytelnika po oczach, a jednocześnie uspokaja burzę mózgu. Trudno powiedzieć, jaki to gatunek poetycki, bo wymyka się klasyfikacjom. Być może rzecz wymaga użycia jakiejś nowej, oryginalnej nazwy. Mrozowski jest fascynujący ze względu na gigantyczne salta i kaskady wyobraźni, zderzające się z wizją antropologiczną czy też personalistyczną i teologiczną. Gdyby mnie pytano, jak go ocenić jednym wyrażeniem, powiedziałbym: „poszukiwacz Boga”, ale wiem, że to dopiero punkt wyjścia dla rozpoznania jego światopoglądu. Poszukuje Boga, Bytu, ciągłości wszechświata, zderzeń i nawrotów

historii, wyjaśnień istnienia we wszystkim i wszędzie, nie tylko w materii i Kosmosie, również w ludzkiej myśli i wyobraźni, w ludzkiej spuściznie i pomysłowości. Analizował wielkie i małe religie, systemy filozoficzne, studiował metafizykę, a ślady tych procesów, nieraz bardzo wyraźne, znajdziemy w każdym jego utworze. Zagadką do rozwiązania pozostaje kwestia źródeł jego samowiedzy i wolt metafory.

Celem Mrozowskiego była analiza i opis świata ludzkiego z pozycji holistyki, poszukującej narzędzi dla filozofii, psychologii i socjologii, ale też dającej pożywkę dla emocji. Ludzkość uważał za coś w rodzaju epidemii. Co ja mówię – pandemii! Plagi! Z elementami sympatii i przyjemności. W każdym wierszu znajdziemy dowcip językowy, bywa że i sytuacyjny, żaden utwór nie stroni od ironii, a nieraz wprost wypowiedzianej kpiny z ludzkiej głupoty, i zarazem pochwały dla mądrości i czystych postaw moralnych. Stosuje erudycyjne nawiązania do znanych tekstów i poglądów, rozmaite nietypowe intertekstualia, ale też zdaje się nawoływać: wy, autorzy takich to a takich dzieł, czytajcie mnie, może też czegoś się dowiecie.

Wreszcie Mrozowski szanuje czytelnika. Pisze: „...dla mnie byłeś i jesteś, Czytelniku, OSOBA i OSOBOWOŚCIĄ dużego formatu i wymiaru...”.

W sensie filozoficznym poezja Krzysztofa Mrozowskiego przypomina jeszcze trudniejszą, choć niekoniecznie lepszą, twórczość – szczytowe osiągnięcie Hermanna Hessego *Grę szklanych paciorków* (Nobel w 1946 roku). Przypomina jednak tylko klimatem, bo jest zupełnie oryginalna. Pozbawiona wyraźnych linii fabularnych (ale nie papilarnych!), których czytelnik mógłby się ucześcić jak w prozie, jednak wciąga, jeśli tylko się w nią wczytać. Podsuwa też niezwykle język, bez którego nowy Mrozowskiego opis starego świata byłby niezrozumiały.

Piotr Müldner-Nieckowski

Krzysztof Mrozowski
Pan na Alfabcie
Toruń 2016

Wydawnictwo Adam Marszałek
Stron 230
ISBN 978-83-8019-568-4



Danuta Gałęcka-Krajewska

Tak było

Krzysztofowi Mrozowskiemu

Jeszcze wtedy cię rozumiałam
pojmowaniem niedojrzałej sosny
W jej cieniu
mogłeś przecież spać
I z wysokości snu
ogłądać pochod moich zatajeń
by potem wywiesić flagę
innego wymiaru
Bez uprzedzeń
na wszelki wypadek w kolorze tęczy
Tak zostałam
Mokra od kwaśnego deszczu
niespodziewanych łez
gdy beztrąsko bujałeś nad nami
trwoniąc resztki powagi
na wysoki szum drzew
dobrze widoczny
z nierdzewnego statywu poznania
Więc chyba biegłeś
strzelając przed siebie
na wiwat na oślepe
w nadziei na szybką egzekucję
uciekających słów

Domysły

Krzyżkowi

Kim jesteś poeto średniego wzrostu
spotkany nieumyślnie
w połowie drogi do wiersza
Może próbujesz ostrzec

przed podskórnym wyziewem metafor
 i pomagasz uciec
 przed kamerami opustoszałych ulic które dudnią
 moją wysmaganą fizycznością
 gdy szukam schronienia
 w uporczywym wołaniu
 wszystkich sponiewieranych epok
 w zmiennej naturze ich cieni
 i zerwanych relacjach z czasem
 Chcę tylko złapać równowagę
 wśród skłóconego zgiełku
 przemieszanych istnień
 lecz wbita w ścianę wyrazów bliskoznaczących
 znikam zanim rozpozna mój ściszony głos
 odwieczny stróż
 przyspieszonych dialogów
 z moją twoją naszą
 zmasowaną innością

Proces

Panu na Alfabecie

Wytoczył sprawę Wieczności
 o alimenty za dysonans
 w wierszach pisanych na zmianę z kolegą po fachu
 Zażądał prawa do milczenia
 W
 w zawieszeniu na kolejne przestoje
 Niektórzy się dziwią
 dlaczego tyle hałasu o CISZĘ
 Inni kontestują taki obrót rzeczy
 Ciekawe, mówią, czy wygra
 zatracony poeta jakiś
 Zaczynam się denerwować –
 tu nie ma wygranych
 ani przegapionych
 Chodzi tylko o wybór drapieżnej metafory

która mocą jednostkowego wyrazu wysła przesłanie
piewcom związku zawodowego zawiedzionych komunałów
Na miasto spływa tymczasem
fala zmian ideologicznych
w rozkładzie przedwczesnych
podróży do Nieba
a okolice Sądu (zwanego dalej Ostatecznym)
blokuje barczysta postać
nazywana poufale strażnikiem
Dasz radę – mówią jedni
Na stos z nim – krzyczą inni
Nic tu po mnie – pomyślałam
gdy nie milknące SOS drozda
rozdarło liść gałązki oliwnej
Zawsze można zdjąć
wytarte pasy bezpieczeństwa
i w razie palącej potrzeby
zapomnieć o przestrożach
zniewolonych magów słowa

Pisz zatem gwiazdy kolego
tak aby słowo
rzucało wyzwanie ABSOLUTOWI
Pisz w każdym pejzażu
Choćby na skrawku wystrzępionej wyobraźni

Danuta Gałęcka-Krajewska

Jacek Dobrzyniecki (1964-2017)



Tworzył wiersze, piosenki, dramaty, muzykę. Nigdy specjalnie nie zabiegał o publikację swoich utworów i pewnie tylko dlatego nie jest powszechnie znany. Był duchowym synem Stanisława Grochowiaka, do którego często się przyznawał, i podobnie jak Jego mistrz negował tradycyjne poczucie piękna. Stąd w Jego poezji elementy nurtu epa-

tującego brzydota – turpizmu, także groteski; stąd odważne zestawienia sacrum i profanum. Jednak jest to przede wszystkim poezja pełna muzyki, wewnętrznego rytmu, delikatna i drapieżna zarazem, kunsztowna w obrazowaniu, elegancka.

Na stronie Jacka Dobrzynieckiego (<http://herrmannelig.com.pl>) możemy przeczytać, co pisał o sobie:

Piszę od blisko trzydziestu lat. Czy to dużo czy mało? Być może mało, jeżeli patrzeć przez pryzmat tzw. osiągnięć twórczych. Wydałem jeden tomik, zdobyłem kilkanaście wyróżnień i nagród w konkursach...

Ale też są osoby, dla których to, co napisałem, było piękne. Które chciały mnie wysłuchać, dla których to, co napisałem, było ważne. To znacznie więcej niż odnotowanie w almanachu petitem na ochnastej stronie w prawej szpalcie, w 10 wierszu od dołu...

Lubię czytać głośno swoje utwory. Czasem też biorę gitarę do ręki, nie jestem wirtuozem, ale niektórych wierszy nie sposób przekazać bez muzyki – stąd piosenki. Pisywałem też teksty dla innych – i to niekiedy nie tylko poezjośpiewane.

Sam poeta miał niebanalne poczucie humoru i dystans do rzeczywistości. Prowadził antykwariat i jak można podejrzewać, nie od razu wypuszczał co ciekawsze egzemplarze. Był erudyta, człowiekiem wielu zainteresowań, otwartym i twórczym. Był jednak nade wszystko bardzo dobrym człowiekiem.

Agnieszka Herman

Danuta Cirlić-Straszyńska

laureatką Nagrody Translatorskiej 2017

Dnia 7 kwietnia w Muzeum Drugiej Wojny Światowej w Gdańsku nagrodę za całokształt twórczości translatorskiej otrzymała nasza koleżanka **Danuta Cirlić-Straszyńska**, znakomita tłumaczka z języków macedońskiego, chorwackiego, serbskiego czy bośniackiego.

Spośród siedmiu nominowanych za przekład jednego dzieła jury nagrodziło **Piotra Pazińskiego**, który z języka hebrajskiego przetłumaczył *Przypowieść o skrybie i inne opowiadania* Szmuela Josefa Agnona. Nagroda towarzyszy Gdańskim Spotkaniom Tłumaczy Literatury „Odnalezione w tłumaczeniu” organizowanym przez Instytut Kultury Miejskiej.

– Nagrodę za całokształt otrzymuje pani Danuta Cirlić-Straszyńska. To dzięki niej polski czytelnik mógł rozsmakować się w literaturze jugosłowiańskiej i postjugosłowiańskiej. Od przekładowego debiutu w roku 1966 wydała ponad 70 książek, nie licząc słuchowisk radiowych ani utworów publikowanych w czasopiśmie. Jako tłumaczka uprawia wszystkie gatunki literackie: prozę, poezję, eseistykę i dramat – mówiła w laudacji Anna Wasilewska, przewodnicząca Kapituły Nagrody i tłumaczka z języka francuskiego.

– Mówimy w Gdańsku nie tylko o słowie, ale też o innych wymiarach przekładu. Mam nadzieję, że w Państwa pamięci pozostanie nie tylko nagroda, ale miejsce, w którym możemy dzielić się słowem i spotykać z wybitnymi tłumaczami – powiedział Zastępca Prezydenta Miasta Gdańska Piotr Kowalczyk, który wręczał Nagrodę.

– Dziękuję za to spotkanie z ludźmi oddanymi pracy literackiej! – powiedziała Danuta Cirlić-Straszyńska. – Przekład trzeba czuć, bez drygu nie



Danuta Cirlić-Straszyńska w czasie gali Nagrody Translatorskiej 2017

można do tego podchodzić. Jeśli się odniesie sukces, to ten sukces dzieli się z autorem. Tłumacz powinien być „niepsujem” i nie psuć tego, co w oryginale jest piękne i wartościowe. Na ogół mi się to udawało – dodała laureatka Nagrody za całokształt twórczości.

Źródło: <http://odnalezionewtlumaczeniu.pl/2017/04/danuta-cirlic-straszynska-i-piotr-pazinski-laureatami-nagrody-translatorskiej>



Nagroda Literacka m. st. Warszawy 2017

Hanna Krall – Warszawskim Twórcą roku 2017

**Marcin Szczygielski laureatem
w kategorii „Literatura dziecięca”**

Nagroda Literacka m.st. Warszawy to jedna z najstarszych i najbardziej prestiżowych nagród literackich w Polsce. Jej historia sięga lat przedwojennych. Po raz pierwszy została przyznana w 1926 r., jej tradycję przerwał wybuch wojny. Powróciła w 2008 r. i w tym roku obchodzi jubileuszową edycję. Laureatami poprzednich edycji byli między innymi Justyna Bednarek, Urszula Koziół, Joanna Papuzińska, Ignacy Karpowicz, Andrzej Stasiuk, Wiesław Myśliwski, Janusz Głowacki, Eustachy Rylski, Anna Janko, Piotr Matywiecki.

W jury warszawskiej nagrody literackiej w 2017 r. zasiedli między innymi członkowie Oddziału Warszawskiego naszego Stowarzyszenia: krytyk literacki, poeta, dziennikarz i przewodniczący w tegorocznej edycji konkursu – Janusz Drzewucki, profesor nauk humanistycznych – Grażyna Borkowska, poetka – Joanna Kulmowa, krytyk – Krzysztof Masłoń, a także historyk literatury – Anna Romaniuk, prezes Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek – Rafał Skąpski i dziennikarka – Karolina Głowacka.

Nagrodę otrzymali:

W kategorii „Warszawski twórca” – **Hanna Krall**,

w kategorii „Proza” – **Stanisław Aleksander Nowak** za utwór „Galicyanie” (Wydawnictwo W.A.B.),

w kategorii „Poezja” – **Jerzy Kronhold** za tom „Skok w dal” (Wydawnictwo Literackie),

w kategorii „Literatura dziecięca – tekst i ilustracje” – **Marcin Szczygielski** (tekst) i **Magda Wosik** (ilustracje),

w kategorii „Edycja warszawska” – **Grzegorz Piątek** za utwór „Sanator. Kariera Stefana Starzyńskiego” (Wydawnictwo W.A.B.).

Źródło: <http://sppwarszawa.pl/aktualnosci>



Konkurs Stypendialny MKiDN

Stypendia-nagrody dla Joanny Siedleckiej i Marka Ławrynowicza

Jak informuje pan Remigiusz Włast-Matuszak, sekretarz jury, członkowie SPP w osobach **Joanny Siedleckiej** i **Marka Ławrynowicza** zostali laureatami „Konkursu stypendialnego na stworzenie scenariusza filmu fabularnego dotyczącego historii Polski”.

Wicepremier i Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego Piotr Gliński z 856 zgłoszonych pomysłów i wyłonionych 50 treatmentów-zarysów nagroził pięciu autorów, w tym Joannę Siedlecką i Marka Ławrynowicza – długoletnich i wielce zasłużonych, poważanych przedstawicieli Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Źródło: <http://sppwarszawa.pl/aktualnosci>

Zbigniew Zbikowski laureatem Konkursu „Warszawa w 100 słowach”

Zwycięzcami warszawskiego konkursu literackiego zostali **Zbigniew Zbikowski** („Prawobrzeżna”), **Marek Górecki** („Wpływ”) i **Maciej Czajka** („Warszawskie metro”).

Na konkurs, w którym trzeba było opisać Warszawę w maksymalnie stu słowach, napłynęło ok. dwa i pół tysiąca opowiadań, jurorzy do ostatecznej oceny dostali trzysta. Oceniali, nie znając nazwisk autorów.

Pomysł opisywania miasta w stu słowach przywędrował z Santiago, a w Europie pojawił się w 2014 roku za sprawą budapesztańczyków. W roku 2017 konkurs odbywał się we wszystkich stolicach krajów wyszehradzkich.

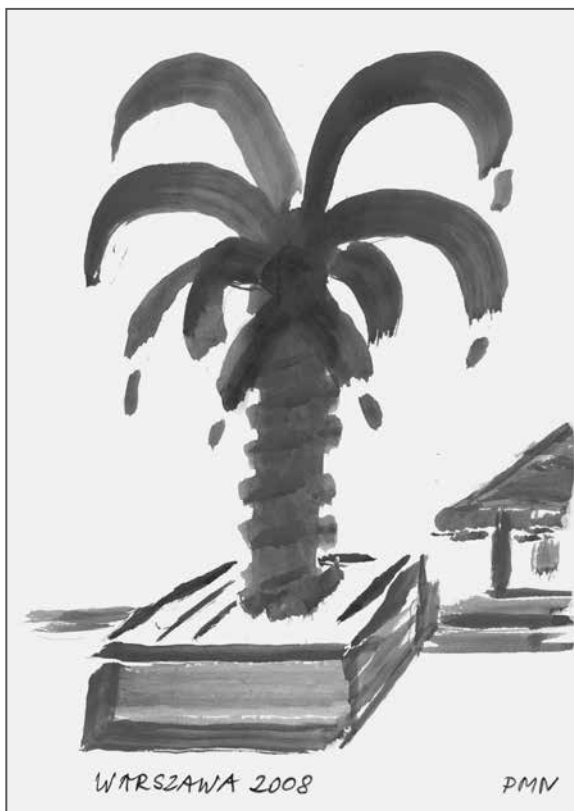


Zbigniew Zbikowski

Źródło: <http://sppwarszawa.pl/aktualnosci>

PALMA WIELKANOCNA

Członkowie Oddziału Warszawskiego SPP zbierają się przed Wielkanocą, żeby się zobaczyć i życzyć sobie nawzajem wiele dobrego. Towarzyszą temu wspólnie czytane wiersze, przeważnie napisane specjalnie na tę okazję – w związku z przesławnym Zmartwychwstaniem i nie tylko. Tym razem hasłem wywoławczym była „Palma”, symbol, który obrósł w znaczenia i miewa zaskakujące zastosowania. Oto garść wygłoszonych utworów na spotkaniu w 2017 r. i kilka towarzyszących im rysunków.



Warszawa 2008. Rys. Piotr Müldner-Nieckowski

Joanna Jagiełło

Na rondzie de Gaulle'a

Postawiono mnie tu na podobieństwo.
 Nie daję cienia, nie mam sióstr,
 Nie rodzę daktyli.
 Postawiono mnie tu na żart i na drwinę.

Postawiono mnie tutaj na tombak.
 Unoszę do nieba plastik liści
 i przyglądam się przechodniom.
 Wiele się można dowiedzieć z samego patrzenia.

Na przykład o tej dziewczynie, która czuje się tu nieswojo.
 Po raz pierwszy nie pojechała do domu na Wielkanoc.
 Bo daleko. Ale kupiła palemkę.
 Postawi ją sobie w wazonie. I będzie do niej pić.

Na przykład o tym starszuku, który siada w pustym dzisiaj ogródku
 [Amatorskiej
 i wspomina, jakie to kiedyś były święta.
 A potem czyta o turystach, którzy utknęli na lotnisku w Palma de Mallorca
 i myśli sobie, ech, wielki świat, pełen morza i szumiących palm.
 A potem, że na szczęście syn z synową są na Hawajach,
 więc się nie musi o nich martwić.

Warszawa pustoszeje w Wielką Niedzielę
 I gdybym mogła myśleć, a nie tylko być
 zadałabym sobie pytanie, czemu ta kolorowa ozdoba nosi moje imię
 I czy każdy ma takie święta, na jakie zasłużył.

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

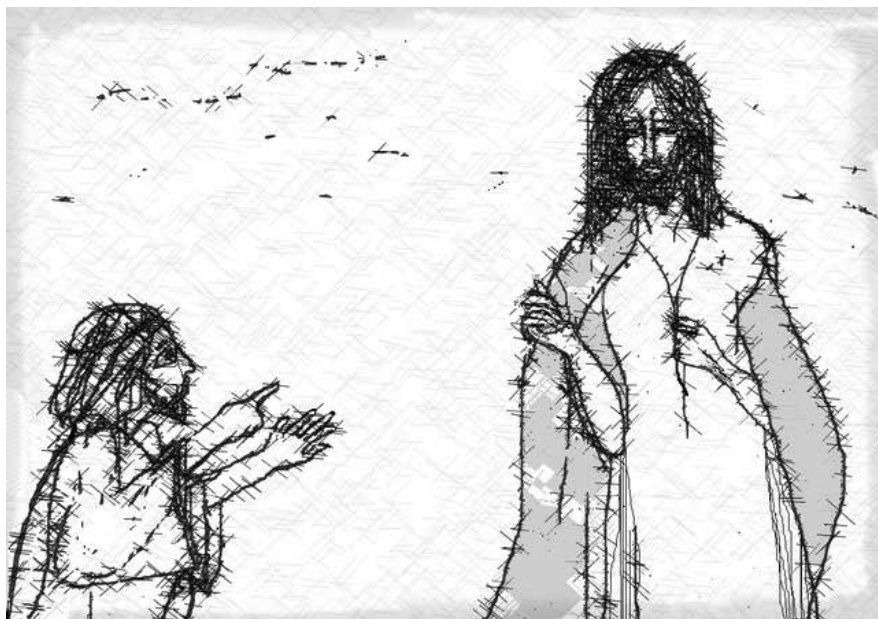
Na palmy złośliwie

Palmom odbiło.
Maszerują!
Armią wież babilońskich.
Pną się,
drapią niebo.
Zamiatają chmury
buńczukami,
triumfalnymi
wiechami, na czymś, czego
nie zbudowały, czego nie rozumieją.
Barwami w mózg
kłują
w oczy niebieskie.
Psychodelicznie erygują
pysznie i rozpustnie
swoje świątynie męskiej mocy.

A miały być zielone jako polna trawa.
Pokiwać się tylko chwilę,
pokornie szeleszcząc,
w błoto i na kamienie
kłaść się pod stopy,
a nawet, o zgrozo!,
pod kopyta.

Same sobą się cieszą pustotą i strojem.
Co mi po nich, artystkach.
Swojskie, a nie moje.

Ta też moja – nie moja
Niby obca.
Tej się uklonię.
Stoi.
Pracuje.
Mocna, bo taka wyrosła.
W cień przygarnie, owocem nakarmi,
oprzec się na niej można.
I uwiązać osła.



Rys. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Krzysztof Saturnin Schreyer

Palmy i jabłonie

Lat minęło już więcej niżli dwa tysiące,
do Jeruzolimy wjeżdżał... i w ten dzień radosny
wołały i śpiewały tłumy witające.

I w przyrodzie, i w sercach był początek wiosny.

Gdyby to było u nas o tej pięknej porze,
inaczej by wyglądał ten tłum powitalny,
także inne zapachy byłyby na dworze,
inne w rękach gałązki niżli liście palmy.

Ludzie tamtej epoki i tamtej krainy
pod kopyta oślicy, która Pana niosła,
rzucić mogli wszak liście jedynej rośliny –
zielonej, prostej w formie – która wokół rośla.

Ale u nas ów symbol życia i przemiany
byłby inny niż liście palmy monotonne.
Na niesfornych gałązkach biało rozsypany,
kwiat jabłoni z płatkami, które chociaż skromne,
u świeżo zakochanych wzruszeń budzą tyle,
a także u samotnych, żyjących nadzieją.

Z tych kwiatów się narodzą nie słodkie daktyle,
lecz owoc, do którego oczy mi się śmieją,
o przyjaznych kolorach i z paletą smaków,
którego sam Bóg wybrał. Na drzewie mądrości
nie kokosy wszak rosły, Ewa dała przeto
owo jabłko fatalne – dziwny grzech ludzkości.

Na procesjach są palmy, wielka, średnia, mała,
wszystkie strojne, odeszły wszak od pierwowzoru.

Pragniemy drzew kwitnących i jasnych kolorów,
po prostej, smutnej palmie nazwa pozostała.

Tak przy okazji Święta, co ma znaczeń tyle,
o wyższości jabłoni dumnie opowiadam,
w kościele obok palmy głowę kornie chylę,
ale w domu z rozkoszą grzeszne jabłko zjadam.

15 IV 2017

Krystyna Lenkowska

Wiatr w E.

Odsłania się kurtyna z czarnego rypsu i świat dynda
na środku kosmicznej sceny

daglezione w koślawych fiszbinach
brzozy nagie panny
garbata śliwka węgierka
drżą od wiatru jak z zimna

sztachety płotów
biegną uskokami w dół
wracają pod górę i zamykają mnie w wyspę
forsycje stoją w płomieniach

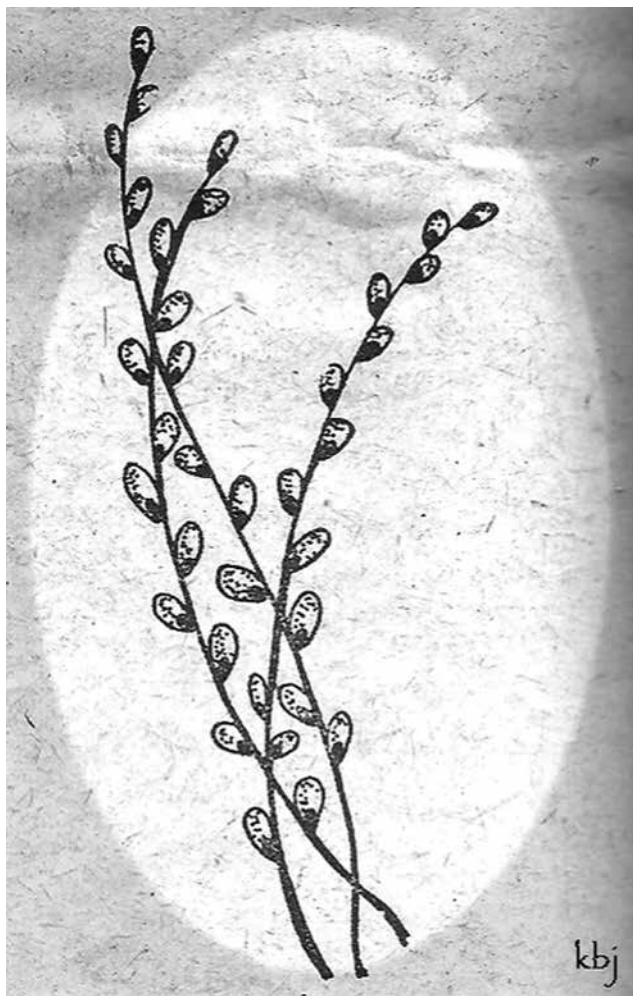
pani D. maszeruje uroczyście w koronie z bukszpanu
w jednej ręce trzyma palmę
w drugiej koszyk
podmuch porywa białą koronkową serwetkę
na dalekim planie maszerują rzędem Turki w wysokich czapach
w spodniach z lampasami wyglansowanych butach
śmieją się jeden wytyka kobietę palcem

od kilku lat o tej samej porze powtarza się podobne misterium drżenia

pani D. wraca wzdłuż ogrodzenia
bez palmy bez kosza
śmiertelnie zmęczona czuwaniem przy swoim cieple

poszarzała od świtu
jest zaledwie konturem można się jej domyślać
(wiatr wyszarpuje jej chustę z ramion nadyma tren palta
i unosi lekko w górę kolebie)

znika na skrzyżowaniu linii lasu i umownego pionu
słychać strzał wielkanocny bez echa.



Rys. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Zofia Beszczyńska

Wiersze o księżycu

zielony księżyc

ledwie światełko
ledwie kropla blasku

a już pływa

jaśmin

*

księżyc dziś pachnie
jak jaśmin
i jest mi tak dobrze
że chyba nie zasnę

*

gdy księżyc krągleć zaczyna
porasta białym jaśminem

a wtedy z ziemi jak smoła
podnoszą się dzikie zioła

rosną i rosną wysoko
do nieba między gwiazdami
i obejmują jaśmin
giętkimi ramionami

przemiany

ropucha się nadyma:
księżyc rosnąć zaczyna

delfin tańczy na fali:
już księżyc jak rogalik

nadlatuje sowa:
księżyc łśni połowa

skrada się wilk biały:
już księżyc na niebie cały

drepcze puchaty królik:
księżyc – miękka poduszka –
do ciebie się przytuli

moja tajemnica

nie zdradzę jej nikomu
zamknę drzwi i okna
nie wypuszczę z domu

dam mleka z garnuszka
przykryję poduszką

lecz ona i tak w nocy
na niebo wyskoczy
i z nieba nad dachem
zaświeci mi w oczy

łódki

księżyc spadł na jezioro
jak łódka

wśród innych łódek zalsnił
na krótko

i teraz pływa z nimi
przez fale
to niebieski to srebrny
rogalik

księżyc i Sowa

gdy księżyc na niebie świeci
śpią w łózkach małe dzieci
gdy księżyc za chmurą się chowa
czuwa nad nimi Sowa

a potem leci na księżyc
tam gdzie ma swoje gniazdo
czasem zabiera tam dzieci
kiedy nie mogą zasnąć

i tam przyczepia im skrzydła
i ogon i oczy sowie

co robią z nią po nocy
tego nikt się nie dowie

księżycowa sowa

wydziobuje z nieba
skrawki błękitu
i będzie tak dziobać
do świtu

gdy słońce zaświeci
sowa odleci

srebrny wiersz

w srebrnej krainie księżycza
mieszka srebrna pajęczycza

gdy księżyc w kulę się zmienia
ona spuszcza się na ziemię
i długie srebrne sieci
zarzuca na sny dzieci

wlatuje w nie gołąbką
wyrasta w nich jabłonką
a na koniec cichutko
przy pływa srebrną łódką

i razem z dziećmi płynie
po niebieskiej krainie
srebrna pajęczycza

ku ciemnej
tajemnej
drugiej stronie księżycza

*

noc była ciemna
jak czarna dziura
jak gęsta smoła
jak kawa niesłodka

i nagle blask w chmurach
pukanie do okna:

To ja, Księżyc, do ciebie:
otwórz
wpuść mnie do środka!

Zofia Beszczyńska

Zofia Beszczyńska

Niebaśnie

Smok

Obudził się i przeciągnął.
Zjadłbym jakąś księżniczkę – ziewnął.
Zjadł jedną, drugą, trzecią, aż ich zabrakło.
Obraził się i odleciał.
A my spokojnie możemy posiać nowe.

Dziewczynka

Co kryje się pod czerwonym płaszczykiem, czerwonym kapturkiem? Wilk tego nie wie, idzie przez las za błyskiem ognia. Nie może się doczekać, aż dziewczynka się odwróci i spojrzy mu w oczy, choćby to była ostatnia chwila jego życia.

Chatka z piernika

I znowu te bachory! – jęknęła Baba Jaga. – Znowu będą mi zjadać dom. A potem wsadzać mnie do pieca... Wilku, gdzie jesteś?!

Potem

Opuściła las, żyje w wielkim mieście. Zamiast chatki z drewna ma mieszkanie z betonu, ale to nieważne: wyszła na swoje. Uczy dzieci, jest dobrą panią; ale te, które zginęły bez śladu, mają swoją prawdę.

Czarownice

Podniosłam głowę i zobaczyłam lecące czarownice, długi sznur na tle Księżyca w pełni; ich rozwiane włosy strącały gwiazdy w dół i w dół, w rytm infernalnej muzyki Zaświatów.

To nie czarownice – warknął Pies – to wrony!

I nagle zaczęły spadać z nieba, jedna za drugą, jak przejrzałe śliwki.

Mieszkańcy Lasu

W drzewach mieszkają i kobiety, i mężczyźni. Nocami wychodzą i idą w las, polują na ludzi. Ich ciała pożerają, a kości zagrzebują w ziemi. Wyrosną z nich nowe drzewa z nowymi lokatorami wewnątrz.

Czasem którąś zdoła porwać Stara Czarownica: użyje jej jak miotły lub ożoga albo zamieni w sztachetę u płotu.

Śnieżka

Mam już dosyć sprzątanania i siedmiu wiecznie nienazartych gąb!
Wróć do zamku i stłukę to przekłete lusterko.

Złotowłosa

Chaps! – ryknął pierwszy niedźwiadek.
Chaps! – ryknął drugi niedźwiadek.
Uuaaa! – dodał trzeci. – Smaczna była!

Roszpunka

Rozpuszczała włosy, a one nie przestawały rosnać. W końcu oplotły wieżę i cały dom.

Hop, hop! – woła księżę.
Nikt go nie słyszy.

Bajka

Kiedy się urodził, latały nad nim nietoperze. Jeden przyniósł mu czarne jajko.

Co to jest? – spytała jego matka wiedźma.

Jajku wyrosły nóżki, różki.

Skrzywiła się.

Zawiozę go do przedszkola! – zaoferowała się wrona. Prawą łapkę miała przewiazaną czerwoną nitką.

Lecieli, lecieli, aż dolecieli. Do zamku na szklanej górze, do ciemnej grotty pod jabłonią. Gdzie roiło się całe stado robaczek takich jak on.

Wrona nie zrobiła tego bezinteresownie. Na szklanej górze miała narzeczonego. Jajko doturlało ją do niego.

Nie podoba mi się to! – skrzeknęła wiedźma. I ruszyła za nimi na miotle.

Znalazła synka, wzięła go pod skrzydła. A potem był ranek i mama zbudziła mnie do szkoły.

Zofia Beszczyńska

Krystyna Rodowska

Babel, czyli wymyślić siebie

Krystyna Lenkowska jest znaną poetką o dużym dorobku (dziesięć książek poetyckich, w tym tomiki dwujęzyczne) i animatorką wydarzeń kulturalnych.

Ta rzeszowska poetka, zapraszana stale na prestiżowe międzynarodowe festiwale i spotkania poetyckie, uprawia dzięki temu – jak to sama określa – „poetycką turystykę”, co znajduje odbicie nie tylko w jej wierszach, czy w reportażach z tych podróży.

Babeliada jest ambitnym debiutem prozatorskim Krystyny Lenkowskiej: w tej książce równie ważne jest to, co się opowiada, jak sposób czy sposoby opowiadania. Przemyślna strategia literacka autorki to jej znak rozpoznawczy.

Narracja toczy się w trzeciej osobie liczby pojedynczej, co wskazywałoby na obecność „wszechwiedzącego” oka i dyrygenckiej pałeczki nadrzędnej świadomości. Centralną postacią powieści jest kobieta o symbolicznym imieniu czy pseudonimie: Babel. *Ta* Babel, jak ją nazywają bliscy, choć nie jest pewne, czy podmiotem jest ta, czy ten, a może nawet to. Wątpliwość taka jednak pojawi się dopiero w finale *Babeliady*, w trakcie którego tożsamość bohaterki ulegnie całkowitej erozji. Imię owo jest wymyślone, nadbudowane nad imieniem i nazwiskiem żyjącej w realu Barbary Kowalskiej, które tylko raz przeblyskuje przez narrację; prawdziwa – w porządku literatury – jest wyłącznie Babel. Opowieść o Babel – mimo wszystkich meandrów narracyjnych – trzyma się historii o charakterze linearnym, kończy ostatecznym rozrachunkiem myślowym bohaterki, generalnymi porządkami w korespondencji i rozchwianej świadomości, tuż przed śmiercią. Gruby szew linearności, podobnie jak zaledwie raz wspomniane imię i nazwisko, zdaje się jednak nie mieć większego znaczenia. Przynajmniej na pierwszy rzut oka.

Bo *Babeliada* jest konsekwentną pochwałą wyobraźni, przeżywania życia na wielu poziomach, podróżowania – fizycznego i mentalnego – w światy wymyślone. Stan bycia gdzie indziej, poza tu i teraz, jest permanentnym stanem bohaterki – pisarki. Babel jest istotą, która nie istniałaby bez pomysłu, a raczej bez całej gamy pomysłów na siebie. Skądinąd jest mężatką, ma męża Maksa, córkę Dianę, brata Tymona, platonicznego, głównie korespondencyjnego kochanka, węgierskiego muzyka „Homera”, który

wiecznie podróżuje z koncertami na banjo, pojawia się i znika, a pod koniec tej historii (bo jednak toczy się ona w czasie, rozwija i zmierza do zakończenia) – postarzała Babel jest już prababką! Kres jej życia odpowiada dokładnie zakończeniu powieści, co podkreśla intencję wytworzenia efektu równoważności treści i formy, rozbudowaną na wielu poziomach narracji. Fundamentalne bowiem dla *Babeliady* jest pytanie: jak się ma samo życie do nadawania temu życiu formy? W ujęciu Lenkowskiej jajko jest równoczesne i równorzędne z kurą. *„Oczywiste jest, że w trakcie pisania, niepostrzeżenie, atomy (...) z naszego realnego życia prześlizgują się do książki w całej swojej fizycznej krasie i dosłowności. Jakiś grymas, przedmiot, błysk w oku. Nigdy cały, gotowy człowiek. Chyba że pisze się biografię. Ja nie piszę biografii. A na pewno nie tu i nie teraz”* – to jeden z autokomentarzy, obecnych w każdym rozdziale powieści (oprócz ostatniego).

Wielowątkowość żywotów Babel – tych w realu i w wyobraźni – przekłada się na formę *Babeliady* – sposoby zapisywania zdarzeń, myśli, stanów ducha, monologów wewnętrznych, dialogów – a także opowieści wtrąconych, dotyczących ważnych dla bohaterki osób. Właśnie te narracyjne dopływy, w których Babel przestaje być podmiotem opowieści (pozostając podmiotem domyślnym), ustępują miejsca na jakiś czas komuś innemu – budują poszerzoną tożsamość protagonistki, pochłanianej przez ciekawość inności, poszukującej sensów nieznanych dotąd zdarzeń i opowieści o nich. Przy uważnej lekturze okazuje się, że to bohaterka, równoległe do swojej „babeliady” tworzy „homeriadę”, czyli wymyśla i opisuje całą historię „Homera” i jego zmitologizowaną postać, jego podróże artystyczne, listy. Możemy domyślać się, że i cała relacja między nimi jest wytworem nieposkromionej wyobraźni Babel i niedosytów, o jakie przyprawia ją codzienność. W pewnym momencie pojawia się „Historia paryska” – wywołana przez podróż Babel do Paryża, miasta młodości ojca bohaterki (a także autorki), romanisty. „Historia paryska” rozgrywa się na wielu stronach *Babeliady* – od 48 do 72 i dotyczy prawdziwej postaci wybitnego uczonego – genetyka o światowej sławie, żyjącego wciąż we Francji profesora Chrapkiewicza-Chapeville, którego dramatyczna biografia, związana z Podkarpaciem czasów wojny i późniejszych, zafascynowała Babel-Lenkowską (i nie tylko ją). „Historia paryska”, publikowana wcześniej jako odrębne opowiadanie, rozrosła się chyba jednak za bardzo w obrębie powieści.

Główny nurt narracyjny, wraz z jego odnogami, jest cały czas kontrapunktowany zapisywanymi kursywą rozważaniami odautorskimi, komentującymi praktykę literacką autorki, wnioskami, wysnuwanymi

z najrozmaitszych lektur, refleksjami podyktowanymi przebiegiem zdarzeń. Te oryginalne „didaskalia”, ich charakter intymnego dziennika, podważają dyktat fikcji, pozwalając na nawiązanie głębszej więzi z czytelnikiem. Obecność owej warstwy autotematycznej, dekonstruującej i zarazem objaśniającej skomplikowane relacje między literaturą – sztuką – życiem, stanowi niezaprzeczalnie wielki, jeśli nie główny walor *Babeliady*. Bohaterka jest pisarką, do tego poetką, co nietrudno zauważyć, choćby w sposobie oryginalnego budowania przez nią obrazów i rytmów opowieści. *Babeliada* wykorzystuje, i to dość obficie, motywy autobiograficzne, także poddane kreatywnym przetworzeniom, co mogą wychwycić, rzecz jasna, osoby znające bliżej autorkę. W tym sensie niuans krypto-autobiograficzny dodatkowo zagęszcza tę średnich rozmiarów powieść. *Babeliadę*, przy całym jej zasygnalizowanym wyrafinowaniu formalnym, czyta się jednak lekko, z prawdziwą przyjemnością, dzięki rozmachowi i bogactwu języka, a także właściwemu autorce darowi skrótowi sytuacyjnego i wszechobecnemu poczuciu humoru.

Ale o czym, tak naprawdę, jest *Babeliada*? O labiryncie języków i wątków w obrębie jednego człowieka, jednego istnienia? O relacjach międzyludzkich, sprowadzających się do potrzeby dialogu, który okazuje się najczęściej grą pozorów?

O potrzebie ucieczki w zmyślenie (kreację), za którą się płaci wysoką cenę – utraty złudzeń? O wiecznym niespełnieniu w słowach – zagadywaniu pustki?

Te i inne pytania nie wyczerpują rejestrów ambitnej prozy Krystyny Lenkowskiej. „Jutro poszukam lepiej. Jutro ono poszuka” – mówi Babel-Lenkowska w zakończeniu powieści.

Czekam na dalsze ciągi intrygujących poszukiwań narracyjnych pisarki.

Krystyna Lenkowska

Babeliada

Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne

„Fraza”, Rzeszów, 2016



Ela Binswanger

**Martwa natura z łąpką na osy,
czyli wiersze o tym i o tamtym**

Letni dzień, ogród, stół, na nim biały obrus, kaktus w doniczce, żółty mlecz w wazonie, dzbanek, kubki, talerzyki... i czerwona łąпка na osy, żeby broń Boże nie użądliły, żeby nie stało się nieszczęście... powietrze z pewnością drży od brzęczenia owadów... Poranna kawa? Popołudniowa herbata? Długie cienie, więc słońce zbliża się ku zachodowi... Iluż pisarzy, poetów, dramaturgów taki obrazek skłonił już do refleksji nad przemijaniem? „Trwaj, chwilo”, zaklinał Goethe, ale minęła, a po niej następne i następne, aż w końcu minął i sam poeta i cały szereg chwil po nim. Lecz... „nie wszystek umrę”, wiedział już Horacy wiele wieków przed Goethem. Głosił nieśmiertelność poezji, potęgę słowa.

Ryszard Częstochowski, bydgoski poeta, w swoim ostatnim tomiku wierszy *Martwa natura z łąpką na osy*, którego okładkę zdobi opisane zdjęcie, podejmuje te dwa wątki po swoich poprzednikach: daremność życia, skoro jest śmiertelne, i trwałość poezji, skoro jest tak nieśmiertelna, że i Goethe, i Horacy, poeci czasowo odlegli od siebie, na równi w niej żyją. W wierszu *Koniec sezonu*, poświęconym hippisowi o ksywie „Szwed”, który „nie dotrwał jesieni 1977, bo zabrała go tinctura opii simplex”, jak informuje dedykacja, autor wspomina dzień 15 lipca 1977, też bardzo odległy, choć nie tak, jak czasy Horacego i Goethego. „Szwed”, dwudziestolatek, hippis jak Częstochowski, nie dożył jesieni 1977 roku, choć „jak to możliwe / dopiero początek sezonu”.

Życie tak ma, że przenika je wszechpowszechna śmierć, bo jeśli jest życie, jest i ona, choć boimy się tego słowa, tak jak wolimy nie nadużywać słowa „miłość”, żeby nam nie spowszechniało. A jednak. Jest jak w wierszu *Losowanie*, bohaterów A, B, C, D, E, F i nawet G w zupełnie obojętnej chwili dopada śmierć nielicząca się ani ze sprawiedliwością, ani z niestosownością sytuacji. I nic nie można zrobić, najwyżej odnotować w biurze ewidencji ludności, w kronice towarzyskiej albo w sądowym

pitawału... lub też wcale, jak w przypadku G, którego śmierć tak wczesną, że prawie żadną, zauważył dopiero poeta i skrupulatnie odnotował nadając jej literę „G” i tym samym rangę równą śmierciom od „A” do „F”.

Lecz mimo rozlicznych ludzkich nekrologów i nieustannego umierania zwierząt i roślin wokół, nikt na śmierć nie jest tak naprawdę gotowy, nawet ten, który chce jej zajrzeć w oczy, pokonać lub się jej poddać: „od młodości trenowałem umieranie / przecinając żyły aplikując heroinę / i inne toksyczne substancje na spirytusie / głęboko szukałem swojej duszy / drugiej strony życia // teraz życie stało się nałogiem / i nie chcę iść na odwyk”, pisze poeta w wierszu *Jestem niegotowy...*

Bo przecież w życiu tyle się dzieje, tyle wartych i niewartych przeżyć, wydarzeń, wartych z rzadka, głównie czeka się na nie, i tych niewartych, choć właśnie z nich życie głównie się składa, jak choćby z kupowania ubrań: „nie umiałem w swoim życiu rozstać się ze spodniami / gdy zaczynały być wygodne i znoszone (...) powoli musiałem oswajać nowe spodnie / po mękach zakupów i torturach przymierzania / w ciasnych przymierzalniach”, skarży się Częstochocki w wierszu *Metafizyka wygodnego ubrania*, a czytelnik dziwi się, że tak zwyczajny temat wart był poetyckiego talentu i miejsca w tomiku.

A jednak: nie tylko miłość i jej niszczycielka, śmierć, godne są poetyckiego zaistnienia, również te sprawy pomiędzy warte są odnotowania, o ile zrobi to natchniony Poeta w bliskim kontakcie z Muzą go inspirującą. Dziś, gdy wiersz uwolnił się ze ścisłych rygorów i stał się wierszem wolnym, temat i sposób jego ujęcia jest tym ważniejszy. Wolny wiersz, to, jak pisałam już kiedyś w innym kontekście: oryginalny pomysł na całość, zaskakujące skojarzenia, wyrafinowane skróty myślowe, nienachalna filozofia, subtelna ironia, odkrywcze intelektualne odniesienia, nowatorskie metafory, błyskotliwe porównania, innowacyjne neologizmy, celne puenty... Poeta od wolnych wierszy musi być spostrzegawczy, czytany, odkrywczy, wrażliwy, ale równocześnie musi być mistrzem w posługiwaniu się językiem...

Wszystko to w stosownych, nomen omen, dawkach, znajdujemy w *Martwej naturze z łapką na osy* Ryszarda Częstochockiego. Autor z pewnością przejdzie tam, gdzie są Goethe, Horacy i wszyscy inni, którzy żyli, nawet ci, którzy się nigdy nie narodzili, jak bohater wiersza *Losowanie*, „G”. A wiersze Poety trafią, czego im życzę, do kolejnych

i kolejnych pokoleń czytelników i będzie ich nieskończenie wzruszać ten chłopiec z wiersza *Bóg w nas*, który tak bardzo chciał żyć wiecznie:

*teraz gdy już jestem stary patrzę na siebie
kilkuletniego chłopca i serce mi pęka
ileż ty mały musiałeś wycierpieć
poparzony w gorączkach z zapaleniami
nie poddałeś się tak bardzo pragnąłeś
żyć wiecznie / jaki ty silny byłeś maleńki
płaczę po tobie*

Ela Binswanger



Ryszard Czesłochowski,
Martwa natura z łapką na osy
Wydawnictwo Mamiko, 2016

Grzegorz Walczak

(O)błędne koło historii

1.

Berlin Alexanderplatz – to spektakl reżyserski według powieści Alfreda Doblina, którą zaadaptowała scenicznie i wyreżyserowała Natalia Korczakowska w teatrgalerii Studio (nowa nazwa Teatru Studio; premiera: 27 stycznia 2017 r.).

Korczakowska dowiodła, że jest śmiałą i konsekwentną kreatorką sceny, niezwykle przenikliwą w tropieniu sprzeczności w człowieku i sensów historii, posługującą się nowoczesnymi środkami wyrazu teatralnego, nieraz brutalnymi, ale adekwatnymi do tego, co ilustruje. Brutalna bowiem i mroczna jest siła nakręcająca Franciszka Biberkopfa – głównego bohatera (w niezwykle dynamicznym wykonaniu Bartosza Porczyka), który daremnie usiłuje wyprzeć z siebie zło i odkryć własną naturę. Ciemna moc, jak się niebawem miało okazać, drzemała jeszcze w hersztach faszystowskiej bandy.

Reżyserka wyczulona jest na to co ludzkie w tym świecie upadku i zatraconych wartości, gdy wkracza w dzielnicę meliniarzy, alfonsów i gangsterów, w atmosferę Berlina lat dwudziestych XX wieku, tuż przed naszym największym moralnym i fizycznym kataklizmem. Potrafi to przenieść w sferę historiozoficznego, artystycznie niebanalnego oglądu. Pociąga ją teatr wizyjny, w awangardowej estetyce.

Bywają twórcy teatru czuli jak barometr na nadciągające groźne cumulusy epoki, którzy potrafią odnaleźć w błędnym kole historii, czy też w jej nietożsamych nawrotach, właściwy materiał dla swej artystycznej diagnozy. Obdarzani czułym, nie bez powodu kasandrycznym, przeczuciem, odkrywają oni w niegdysiejszej historii tropy podobne do tych, którymi podążają czasy współczesne, by móc je objawić w teatrze w formie nieoczekiwane aktualnego ostrzeżenia. Taką artystką jest Natalia Korczakowska, która w przejmujący sposób pokazuje, do czego zmierzamy. Uzasadnione wydają się paralele sytuacji lat dwudziestych w Niemczech przednazistowskich, całego tego nadchodzącego Big Bangu ówczesnej cywilizacji światowej i sytuacji w tym naszym niespokojnym drugim dziesięcioleciu (XXI wieku). Może jest to analogia niepełna i ujawniająca się raczej w sferze przeczucia, niemniej tendencja do odradzania się skrajnie radykalnych ideologii nacjonalistycznych, populistyczno-autorytarnych ze skłonnościami totalitarnymi, jest tu wyraźnie widoczna.

Berlin Alexanderplatz jest teatralną metaforą historii, która lubi się powtarzać, swoistą konstrukcją alarmową, ostrzegającą przed presją zdegenerowanego prymitywizmu, bezprawia, przemocy, wykluczania inaczej myślących, podjudzania fanatycznych grup z zadufanym w sobie despotą na czele, który potrafi porwać swym fałszywym śpiewem, swym snem o potędze, łatwowierne, bezwolne, ogłupiałe masy. Oczywiście sama akcja sztuki rozgrywa się w innej skali, gdzieś w małym światku zwyczajnych oprychów, ale i we wnętrzu jednego z nich. Berlin, jego atmosfera, głębsze asocjacje, prowadzą do ukazania mechanizmu rodzącego się zła, zła również immanentnego, zakotwiczonego gdzieś głęboko w człowieku, od którego człowiek ten nie potrafi się oderwać wbrew dawanym sobie przyrzeczeniom.

Błędy ludzkiej historii powtarzają się cyklicznie, choć zawsze w nieco inny sposób, najczęściej bardziej zmyślny, zwłaszcza technologicznie, i okrutniejszy. W sferze moralnej konstatacje Doblina i Korczakowskiej są w dużym stopniu rozpoznane, chociażby w literaturze Dostojewskiego, na którego powołuje się reżyserka w swoim wywiadzie z 27.01.2017 w *Gazecie Wyborczej* (*Co jest grane* 24). W sferze narracji stylistycznej natomiast bliska jest płataninie języka *Ulissesa* Joyce'a. Z tych czasem odległych powinowactw i z samej natury prozy Doblina, a także z inspiracji – jak sama wyznaje – awangardowymi, architektonicznymi pomysłami zabudowy sceny Oskara Hansena, współpracownika Józefa Szajny, Natalia Korczakowska wyprowadza swoje nietypowe polifoniczne rozwiązania.

2.

Mając do czynienia z narastającym chaosem, który ogarnia berlińskie środowiska nizin, z ich rozpedzonym spadaniem w czarną dziurę historii, Korczakowska sięga po środki wyrazu scenicznego, pozwalające nie tylko oddać tę dynamiczną podróż w Śmierć, ale też ujarzmić ten chaos, artystycznie go opanować, nadać mu reżim konsekwencji – sens, tak, by widz się w tym całkiem nie zatracił. Może się bowiem zagubić ktoś mniej uważny lub pozbawiony możliwości wielogodzinnej koncentracji.

Jest to teatr totalny, nowatorski, a nie klasyczny, zamknięty dramat. I nie samo słowo w nim rządzi. Owszem, jest ono istotne, ale świadomie wetknięte w ramy formy staje się tylko jednym z równoważnych elementów. Wtedy rzeczywistość sceniczna przekształca się w obraz dynamiczny, rytmiczne przesuwanie się, „fale przestrzeni”, język ciała, czasem nadekspresyjnych postaci, ruch kolisty, niemalże baletowy korowodu starców w końcowej scenie, kamerzysty, technicznego z nieodłącznym długim

statywem z mikrofonem, który też uczestniczy w tym pląsie nie wiadomo dokąd zmierzających ludzi i przedmiotów. Ruch, rytm, głosy, śpiew, krzyk, słowo, gesty, wibracja ciała, zwłaszcza głównego bohatera – cała ta polifoniczna symbioza w periodycznej, może nawet regularnej pulsacji, niemalże w powtarzalnym frazowaniu formy, która zaczyna dominować w kulminacjach nastroju – wyrastają ze scen realistycznych, obyczajowych, niemalże rodzajowych, czasem w swym absurdzie komicznych, np. krąg psycholi gangsterskich, którzy nie tylko nieoczekiwanie potrafią, przestrelić stopę kompanowi, ale i go zastrzelić, potrafią też być niemożliwie śmieszni dzięki dystansowaniu się aktorów do tego, co mówią i czynią, przez to, jak mówią. Nagle się to spiętrza, wyrasta ponad, przelewa się w wyolbrzymienie, w symbol na wysokim diapazone artystycznej artykulacji, niemalże w patos, w krzyk, w mocny śpiew, nie dla estetycznych smaków, w ekspresję muzyczną, w ekspresję totalną podniesioną do rangi metafizycznego buntu, bólu, agresji, może przez to jakiegoś rodzaju wyzwolenia.

A potem znów wszystko ucicha, wraca do pozornej normalności, do dialogów niemalże rodzajowych, znowu są zwykli alfonsi, gangsterzy, szefowa i warczące na siebie, nadymające się typy, wśród nich On – Biberkopf i jego Cięć. I znów następują kulminacje nie tylko realnej akcji, ale i „formy”, która zaczyna pączkować, wszechogarniać, pulsować ciałami uczestników dramatu, nawet ich wycinkowymi przybliżeniami na ekranach, atakować wszystkie zmysły. Warstwa opisywanych tu awangardowych środków scenicznego przekazu stwarza nie tylko efekt wzmocnienia, ale i uogólnienia, nie tylko porywa swoją siłą ekspresji, ale wynosi poza nawias czasu. To jest już nie tylko Berlin i jego lata dwudzieste, ale orbitowanie po manowcach świata i dalej, wciąż jednak tych naszych konkretnych postaci. Wielkie problemy etyczne zawsze dotyczą metafizyki. Korczakowska i jej bohaterowie nie mogą się jednak odwrócić od Ziemi i znów wracają na swoje miejsce, by jeszcze raz w swym cyklicznym, obłądnym pędzie poszybować w ten nadrealny, ponaddźwiękowy wymiar. Rozmowa ze sobą i z własną śmiercią podczas tej jazdy w czarną dupę, tego wznoszącego spadania, musi mieć wymiar transcendentny.

Biberkopf zmienia się, może pozornie, może tylko chce się zmienić, ucieka od siebie, by w końcu powtórzyć swój pierwotny błąd, by wpaść we własną pułapkę mordercy. Czy rzeczywiście nie ma ucieczki od raz przyprawionej (sobie) gęby?

Bohater wydaje się już inny, podobnie jak świat, który się zmienia, zmienia, by w końcu znów... No, nie! To się jeszcze nie dzieje.

Tak to odczytuję. Może się myłę. I jeszcze jedno, co już wcześniej marginesowo zaznaczyłem. Jest w tej niełatwej, acz smakowitej grze wielobarwnych tonów tego wielostronnego spektaklu druga jeszcze, równie ważna cecha – stylistyczny dystans.

3.

Może warto byłoby się nim posłużyć nawet w jeszcze większej skali, gdyż makabra świata jest bliska grotesce. Nie sugeruję, by nią ogarnąć całość, dla tego spektaklu to tylko dobra przyprawa, której chciałoby się szczyptę więcej, dla przekory i dla oddechu.

Wyraźne przejścia od hiperbolicznej, wzniosłej i groźnej tonacji do mądrego i bardzo specyficznego humoru, owa wolta w swoje stylistyczne przeciwieństwo – to duża zaleta opisywanego spektaklu. Były momenty zaskoczenia. Wystarczy powiedzieć, że na tej trudnej do gatunkowego określenia sztuce publiczność wybuchała czasem prawdziwym, najpierw nieco tajnym, ale łatwo zaraźliwym, w końcu jawnym śmiechem, nie tym pospolitym, jałowym, lecz śmiechem wytrawnego widza. Rzadko się zdarza, czego byliśmy świadkami (oczywiście nie w puencie ani w żadnej rozstrzygającej sekwencji), że jakby jakiś diabeł popieścił aktorów, a może sprawiła to fala zwrotna płynąca z publiczności, fala odlotu w wesołość, w humor. A może było to wynikiem koniecznego odprężenia po srogim, trwożnym napięciu. Niemal przekroczone zostały wtedy granice umowności sztuki, czyli jej „sztuczność”. Śmiech widzów dociera do uszu aktorów, przełamuje ich. Już mają problem z zachowaniem profesjonalnej dyscypliny, powstrzymują się z trudem, by nie pęknąć, nie obnażyć swojej rzeczywistej tożsamości, nie popłynąć z publicznością, z całej siły usiłują zachować maskę postaci. Przez chwilę następuje ich nieoczekiwane zjednoczenie się z gromadą „świadków” wbrew „regulaminowi”, „kodeksowi aktora”. Jest dla mnie swoistym zwycięstwem teatru, kiedy nawet w obliczu kreowanej nikczemności i agresji pokaże się ludzkie oblicze, gdy samych sztukmistrzów nagle rozśmieszysz ich gra „na dystansie”. I pal sześć, czy to jest w tym wyjątkowym momencie zamierzone. Ważne, że spektakl tak wyraziście ujawnił to, co w jego całym przebiegu zamierzali twórcy.

Grzegorz Walczak

Janusz Andrzejczak

Czy pamięta nasza droga

Czy pamięta nasza droga
czy pamięta
choćby w jakichś już zwietrzałych
lasu szczytach
w prochu szyszki
w pyłe drogi
w skręcie łyka
że się między
między nami
las zamykał

I odgrodził się gęstwiną
nieprzebytą
aż załkały łąki rosą
w polu żyto
zaszumiała
w poprzek drogi
sosna ścięta
 czy pamięta
 nasza droga
 czy pamięta...

Jerzy Binkowski

Godzinki ku czci Niepokalanej

Z cyklu „Pieśni pobożne”

1.

Ty wiesz o Pani jaką Matką być
Bierzesz w ramiona marność moją całą
Gwiazdo poranna Niepokalana
Tyś lilią między cierniem – mostem nad przepaścią
Pani łaskawości jest mgła nad hałdą Ziemi
Płaczę wśród odpadów

2.

Ty wiesz o Pani jaką Matką być
Podałaś mi chustę i otarłem twarz
Tyś jak port i przystań o Gwiazdo Morska
Bojaźliwym – tchórzliwym daj odwagę męstwa
Matko Zbawiciela świętymi drzwiami jesteś
Progiem ku wieczności

3.

Ty wiesz o Pani jaką Matką być
Maryjo umieść mnie w swoim ogrodzie
W ziemi kapłańskiej i błogosławionej
Niech nas Syn Twój o Pani do siebie nawróci
Zagniewanie swoje niech od nas odwróci
Niebieska Królowo

4.

Ja wiem o Pani jakim mężem być
Zmartwychwstanie jest tam gdzie jest Golgota
On idzie ku nam Ty idziesz wraz z Nim
Nadziejo grzeszących prowadź Królewskim Szlakiem
A przy śmierci słodką Opiekunką bądź
na wieczne wieki AMEN

Refren:

Nagnij co harde
 Rozgrzej serca twarde poprowadź zabłąkane
 Krwi pełna ziemia
 A twoim umieraniem ja umrzeć nie mogę
 Nadzieję śpiewam:
 POLSKA NIE ZGINĘŁA I ZGINĄĆ NIE MOŻE

Grom

Jak piorun z jasnego nieba
 odgromnik włącza

Bądź pozdrowiona

Spojrzy za siebie
 przed siebie
 w siebie

Opiera się o miodowe światło
 jak o woskowy kostur w drodze

GROMNICZNA

2.02.2017

*Odgromnik utrzymuje przepięcia na dopuszczalnym poziomie,
 także przy uderzeniu pioruna w linię napowietrzną.
 Drogi odgromnik chroni transformatory bądź generatory,
 zdolne przewodzić duży prąd udarowy.
 Pojemność kondensatora nie wystarcza
 do ochrony przed bezpośrednim uderzeniem pioruna.*

Ryszard Czesłochowski

Wnętrza

byłem tchnieniem a teraz stoję
na ekskluzywnym przyjęciu
w czarnym smokingu pod którym
kotłują się robale
glisty przepływają wzdłuż ciała
oplatając jądra
nie daje po sobie poznać
w dłoni mój oręż kielich z winem

na ustach lekki ironiczny uśmiech
tutaj nikt nie wpadnie na pomysł
zabawy z młodzieńcych lat
w butelkę
grę w rozbieranego
do kości

Rytm życia

kobieta to jest ta która leży
na plecach
mężczyzna to jest ten który leży
na brzuchu kobiety
kobieta to jest ta która leży
brzuchem na prześcieradle
mężczyzna to jest ten który leży
na plecach kobiety
kobieta to jest ta która leży
na boku lewym lub prawym
mężczyzna to jest ten który leży
z tyłu na boku lewym lub prawym kobiety
kobieta to jest ta która daje się
podnosić

mężczyzna to jest ten który unosi kobiety

kobieta jest słońcem mężczyzny
mężczyzna jest ziemią kobiety
kiedyś wierzono że słońce krąży wokół ziemi

Oczy

kobieta która sypiała obok mnie
opuściła pulchną pościel aby
rozwiesić czerwone prześcieradło
nad naszym domem i spadła
roztrzaskując się o bruk i
fałszywą tęczę
w tej samej chwili udając
sen spoglądałem pod pierzyną
sobie w oczy

Już byłem

zanim przyszedłem na świat
mój dziadek zdążył przepuścić
cały niewielki majątek
kino gryf letnią restaurację
bankowe oszczędności
zaraz potem strzelił sobie prosto
w usta
została babcia z dwojgiem dzieci
bez niczego na progu wojny
z mojego ojca wyrósł też utracjusz
hazardzista i pięknoduch
kiedy zespolił się z moją spontaniczną
matką zacząłem się ja
w świętym kołowrocie
z ich piętnem na sobie

ks. Janusz Adam Kobierski

Monolog króla Dawida

Nie spodziewałem się tego.
Byłem przecież pastuchem
i najmłodszym spośród siedmiu braci.

Królestwem moim były łąki,
rozłogi zieleni i błękitu w górze.

Ćwiczyłem się w strzelaniu z procy,
choć na myśl mi nie przyszło,
że to się kiedyś przyda,
że tym sposobem pokonam Goliata,
tę górę mięsa i bezczelnej pychy.

I nie wiedziałem,
że wierne oko Jahwe
wciąż spoczywa na mnie,
że wywiedzie mnie z pastwiska
spomiędzy ojcowych owiec,
że zrządzi pasmo przygód,
wojen i triumfy zwycięstw,
że posadzi na tronie i uczyni królem
na całe czterdzieści lat.

Jahwe, o Jahwe...
nie to mi było w głowie.

A teraz u wrót Szeolu
nie patrzę na czasy chwały.
Odżywają w mojej pamięci
lata najwcześniejsze,

kiedy serce było tak czyste
jak wszystko
tuż po stworzeniu.

Kartka na wiatr

Z jednego pnia
oraz korzeni.
Z wody i słońca,
i ziemi.

Mowa.
spod serca.

Dźwięki.
z głębi krtani,
która chwyta powietrze,
by zagrać na nich.

I wyrazić siebie
w prawdzie
słowami pierwotnymi.

Ratujmy je.
Jedno po drugim
ocalajmy.

Abyśmy mogli się zrozumieć
z dnia na dzień,
a potem
już zawsze.

II 2017

Adam Lizakowski

Psalm złodziei czereśni

W naszym miasteczku
w kościele św. Antoniego
jest Twój portret Panie,
twarz masz umęczoną,
krople krwi na skroniach,
oczy zaczerwienione i zażawione,
usta z trudem wciągają powietrze.

Noc nadchodzi. Gdzie jesteś Panie?
łóżko dla ciebie posłane,
woda w misce czeka,
przyjdź do nas,
obandażujemy Twą głowę,
uczeszemy włosy,
umyjemy umęczone nogi,
wyczyścimy buty,
a na kolację zjesz chleb z masłem
i dżem czereśniowy.

Panie jesteś zmęczony,
przyjdź do nas teraz,
nie czekaj na Sąd Ostateczny
na którym nasze własne ciało
będzie świadczyć przeciwko nam,
głowa powie „knułam intrygi”,
oko powie „widziałem krew”,
język powie „raniłem słowami”,
ręka powie „kradłam”,
noga powie „prowadziłam do złego”.

Panie nawet jeśli zjemy
wszystkie czereśnie całego świata,
i poznamy tajemnice

sadów czereśniowych,
bez Twojej ilości jesteśmy niczym,
bez ciebie słodczy czereśni
nie jest słodyczą,
jedynie mokrym drewnem
rzuconym w ognisko,
które nie zapłonie płomieniem,

jedynie dym się uniesie
szczypiąc w oczy.

Panie miłość Twoja –
wiecznie kwitnące sady czereśniowe,
panna młoda w sukni płatków,
czekająca na zaślubiny z armią pszczół.

Rok 1945

rozbito wiele talerzy
krzyczano radośnie
mazel tow! mazel tow!
nie było wyszukanych potraw
ale szczęście pachniało
pieszyckimi czereśniami
był maj i tylko starzy rabini wiedzieli
że sad czereśniowy nie ma świętych ksiąg –
wyglądał jak panna młoda
bez grzechu – każdego przyjmie –
czekająca na zaślubiny
wystarczyło tylko być –
być jakie to cudowne słowo –
choć wcióż było czuć dym
z pobliskiego gross rosen

chowają karty starzy gracze
pajacyk umilkł i nie ma laleczki
stary dąb skrzypi
obok niego staruszka nuci pieśni żebracze

kolejny nastał dzień
zdrowy jest ranny łoś i gna wśród innych łośi
sypią się drobne w dzban

laleczka urosła i jest panną młodą
pajacyk ukląkł przed nią i o rękę prosi

ze szczęścia płacze stara wierzba
z zazdrości wiedźma i czarownica
a laleczka urodą zachwyca

lipa jest druhną a dąb swatem
wiatr zbudził się ze snu i pieśni zawodzi
żebraczka bierze dzban złotych monet
i odchodzi

dalekich dróg rozstaje
nadchodzą biedni a odchodzą bogaci
żebraczka stoi z dzbanem
i złote monety rozdaje

słysząc kościelny dzwon
i leje się wino mszalne
ze szczęścia płacze laleczka i pajacyk
a biała brzoza i stary dąb
śpiewają w chórze pieśni pochwalne

na cichej rzece stary rybak
patrzy na drogę z dziurawej łodzi
żebraczka rzuca mu monetę
a później stawia pusty dzban
i szepcząc modlitwy odchodzi

Piotr Müldner-Nieckowski

Gdybym szedł

Gdybym ruszył naprzeciw
z podniesionym czołem pełen odwagi
na którą jednak mnie stać bo jest droga
droższa niż pieniądze a nawet życie
i z młotkiem... nie, lepiej: z młotem, nie: z siekierą
i odbezpieczonym pistoletem
 a na broni znam się bo jestem oficerem
 do czego mnie zmuszono
 jednak skoro żołnierzem już zostałem
 to jestem i trafiam w sam środek tarczy
 w serce w oko
 w zupełnej ciemności i na karuzeli
 bo zostałem wyposażony przez przodków
 w zmysł orientacji przestrzennej
 i słuch wyobraźni czasu

i gdybym podniósł taki mały... nie, lepiej: niewielki,
nie: niewysoki
rękę ze śmiertcionośnym nabojem w lufie
to i tak byście mnie nie zauważyli
rozdeptalibyście mnie jak żabę bo tak was dużo
idziecie tak ogromną szeroką ławą
przez ten świat przez naszą ziemię
pozamykani w transporterach opancerzonych
nietykalni w czołgach i w gazetach bezpieczni w telewizji
w Internecie

Baśka eR.

Credo

jestem jedynie
samotną poetką
w Wielkiej Świętości Miasta

nocami powtarzam
– znowu się pogubiłam
kiedy nie czuję bliskiego
oddechu przeznaczenia

być może i jestem szalona
– Basia is crazy –
mówi mój nauczyciel
angielskiego

dopałam cię
do ostateczności sumienia
psychopaty
kolejny absurd istnienia
pomimo wszystko

5.03.2017, po północy

* * *

Całe życie chciałam wierzyć
w człowieka
w szlachetność terapeutów
w troskę lekarzy o zdrowie
pacjenta
Chciałam wierzyć że prawda zawsze
zwycięża
chciałam wierzyć...
Jak zwykle jest inaczej
bo wiara bywa przekleństwem

* * *

gdybym mogła ci pomóc
lecz nie potrafię twego wzroku
odsunąć od pętli
zabrać ból samostanowienia
w rozpacz codziennosci

i gdybym odwróciła los na skraju
twojej przepaści
musiałabym sprzeciwić się Bogu

Baśka eR.

Krzysztof Rudziński

Wiersze śródziemnomorskie

(wybór)

Na cmentarzu wojskowym

W Redipuglia w pobliżu Triestu
ze stu tysięcy ciał wzgórze
schodzi w białym marmurze
na apel żołnierskim: JESTEM.

Ze szczytu trzech krzyży Golgoty
równo w kamieniu wycięte
nieobecnych miliony krzyczą stąd świata:

PRESENTE

PRESENTE PRESENTE

PRESENTE PRESENTE PRESENTE

PRESENTE PRESENTE PRESENTE PRESENTE

PRESENTE PRESENTE PRESENTE PRESENTE PRESENTE

PRESENTEPRESENTEPRESENTEPRESENTEPRESENTE

Gdzieś w Grecji

O zagubiona wiosko, na Egejskim morzu,
gdzie jeszcze gra melodia starożytnej Greki,
a w cieniu tamaryszków sennie ziewa morze
w czas rytualnej sjesty w cieniu godzin spieki.
Gdzie życie się przeżywa jak ciągłą modlitwą,
je jeszcze chleb prawdziwy na placyku *polis*,
gdzie otwarte na oścież drzwi twego kościoła
są znakiem dla przysłania łodzi z „tamtej strony”^{»*}.
Cerkiewki dla trzech osób, błękitne i białe,
wiatraki strzechą kryte do wiatrów chwywania,

plaże o piasku drobnym, gdzie jaja skrywają
flotyle morskich żółwi w rozgwieżdżone noce.
I jeszcze są klasztory, gdzie rytm średniowiecza
odmierzają klepsydry juliańskiego czasu.
O zagubiona wiosko, gdzieś na greckim morzu
jak to dobrze, że jesteś także w naszym czasie.

* Z sąsiedniej wyspy.

Niedokończone kaplice*

A komu to było za mało
kopuł kamiennych za ciasnych,
że wtopił dachy w światło
i okrył w kosmosu całun.
Że utkał dłutem słupy
a liny zaklął na zawsze,
by pięły się bez końca
firmament przestrzeni jasny.
Kto znalazł kres tym sklepieniom
pośród obłoków marszrut
i wiatrom powierzył miejsca
wiązania strzelistym gwiazdom.
Że wzlecieć pragnął modlitwą
swej wizji w kamień natchnioną
w Batalha, królewskich kaplic
– podobno niedokończonych.

* Słynne pozbawione sklepień kaplice klasztoru w Batalha w Portugalii, natchnione arcydzieło manuelińskiego stylu.

Krzysztof Rudziński

Krzysztof Saturnin Schreyer

Ciążar

To niby nic wielkiego, obyczajem starym
niosę kwiaty w doniczkach. To zwykle ciężary,
które zajmują ręce gdy idę aleją
do grobów moich zmarłych, a ręce mi mdleją.
I nagle dawny obraz staje przed oczami –
to ojciec opowiadał jak pod ciężarami
zginali się w niemieckim obozie więźniowie
niosąc głazy na barkach, ramionach, na głowie
z kamieniołomu w górę, a za każdym krokiem
widzieli bliżej ziemię roztańczonym wzrokiem.
Na grób ojca doniczki wniosę już za chwilę
z ulgą i satysfakcją. Oni szli tak miłą
i kiedy kamień z pleców u celu zrzucili
słyszeli schnell i biegli bez wytchnienia chwili
po nowy kamień, a meta była dobrze znana:
upadek pod ciężarem i strzał esesmana.
Dlaczego szli? Czy z lęku by życia nie skrócić
i raz jeszcze i jeszcze po ciężar powrócić,
choć wiedzieli, bo nie było tu nic do ukrycia,
że liczba twardych głazów jest miarą przeżycia?
Może lęk niewolnika, stary jak świat światem
przed bólem, przed razami, przed kolbą i batem?
A może to nadzieja? Wszak rozum człowieka
w rzeczach wagi ostatniej mami się i zwleka...
Jak dobrze nie doświadczać tej nieludzkiej próby,
iść z największym wysiłkiem, ale nie do zguby,
lecz do celu, jak taternik gdy zdobywa szczyty
pod ciężarem plecaka, do stoku przybity,
ale z żarem ambicji, wbrew własnej słabości...
Ciężar – może być i hańbą i miarą ludzkości!

7 XI 2016

Orchidea

To był Jej pokój, z biurkiem,
wciąż skarbów tu bez liku,
obrazy i rysunki
i lampa na stoliku.
Pamiętki po dwóch pieskach,
ołówki, pióra wieczne,
portrety tych najbliższych,
zeszyty – już zbyteczne.
Zaglądam tu czasami,
lecz miejsca nie zagrzewam,
zajmuję się kwiatami,
troskliwie je podlewam.
Za oknem naga gałąź,
raz śniegi, raz zawieja...
A tu, gdzie smętna stałość,
zakwita orchidea!
Niezwykła ta roślina,
kremowo-szmaragdowa,
tak Ciebie przypomina!
Bo byłaś pastelowa
jak jasna orchidea,
nieziemska i szalona,
jak projekt i idea
na twardej świat rzucona.
Koniecznym trzeba było
przed chłodem Cię uchować,
umacniać swoją siłą,
troskliwie pielęgnować.
Przy oknie w okamgnieniu
wspomnienie za wspomnieniem:
podałem się marzeniu –
Ty byłaś mym marzeniem.
Tej prawdy kolorowej
nie zniszczą trudne lata:
gubiąc dla Ciebie głowę –
znalazłem urok świata.

11 III 2016

Krzysztof Saturnin Schreyer

Jerzy Śleszyński

Gwiazdka

Każdy chce być gwiazdą
a przynajmniej być z gwiazdą

tak tłumaczy się kariera
gwiazdy betlejemskiej
gwiazdy Dawida
czerwonej gwiazdy
pięciu żółtych gwiazdek (Chiny)
gwiazdek na wojskowych otokach
gwiazdek w rankingach
gwiazdek na listach przebojów
rozwieżdzonego nieba nade mną

o prawie moralnym już się nie dyskutuje
każdy wybiera swoją gwiazdę i
idzie na oślep na zatracenie

To tylko taki mir-aż-on

Przejeżdżałem przez złe dzielnice
skracając czas czytaniem
o Białoszewskim

pomyślałem ile znalazłby tu mięsa
do swoich armat obserwacji
ile nałapałby śmieci

przeczytałem jego wybiegane credo
że nie ma życia bez pisania
i olśniła mnie myśl

przecież w czasie pisania nie ma życia

kto pisze zaczernia papier
ale nie żyje nie żyją

ci którym wystawia nagrobek za życia
przytaczając i odtwarzając
co oni mu o sobie

z całą sympatią dla wielu jego tekstów
patrzę nieufnie na mironalia
celebrę wszystkiego

zachłystywanie się cudzym nieżyciem
zapisywaniem tego nieżycia
tworzeniem mitologii

Jerzy Śleszyński

Ryszard Sobieszczęński

Ty który przychodzisz

Ty który przychodzisz
nagi i bezbronny
nie przychodzisz z pustymi rękami
a nade wszystko samotny.
Ty przynosisz cztery żywioły
prawo wyboru
i czas.
W tobie ziści się Droga od
czy tylko jestem do
czy zostałem powołany.
Idź i pozostań jej wierny
to będzie twój punkt oparcia.
Tak odnajdziesz matkę
i pokłonisz się
jej nocnemu czuwaniu
i pozdrowisz powracającego ojca.
Tak dostrzeżesz piękno lecącego ptaka
poruszy cię dostojność zboża
i usłyszysz ciszę pośród tłumu
i odczujesz dotyk dłoni
skierowanej tylko ku tobie
jakby przeniknął cię promień gwiazdy.
Tak rozpoznasz mistrza
i zrozumiesz pogodną mądrość słów
i godność przykładu
co będzie ci potrzebne
aby dowiedzieć się
co powiedziano już i zrobiono w twoim imieniu
by dokonać wyboru.
Bo tylko tak
Ty który odejdiesz
nagi i bezbronny
nie odejdiesz z pustymi rękami
a nade wszystko samotny.

Prezent

Dałem ci prezent
owinięty kropelkami
tamtych poruszeń
a ty nie rozwinęłaś go
bo żal ci było niszczyć
te kropelki najpierwsze
co spadły tak nagle na
ziemie wiosenne nasze
a nade wszystko
nie uwiodła cię próżność
ostatecznego poznania.
I tak jesteśmy w sobie
Niedopełnieniem
co zawsze pozostanie
młode –

Ryszard Sobieszkański

Bogdan Świecimski

* * *

Kto w dzieciństwie nie był kochany
nikogo nie obdarzy miłością
bo skąd ma ją wziąć
skoro serce ma puste
i zimne jak lód

Jeśli masz serce zimne jak lód
trzeba dużo ciepła żeby je ogrzać
a w ludziach coraz go mniej
i coraz mniejsza chęć
dzielenia się nim z innymi

Wołanie do Boga

Nie ma już Nieba
i Raju nie ma
po wygnaniu prarodzciców
zamieszkały w nim Anioły
ale wymarły
wyschły drzewa
kwiaty i wszelka roślinność
zwierzęta zdechły
a ptaki powyjadały z ziemi
ostatnie ziarenka
i odleciały

Nie ma już Nieba
i Raju nie ma
Bóg go opuścił
i udał się w podróż
po gwiazdach

Nie ma już Nieba
i Raju nie ma
strudzony podróżą Pan legł na chmurce
i zapadł w sen

Nie ma już Nieba
i Raju nie ma
Bóg wciąż śpi
i nie wiadomo kiedy i czy się obudzi

Nie ma już Nieba
i Raju nie ma
nie ma też Boga
nic już nie ma
nad nami
stłoczeni w miastach
gdzie mnogość reklam i pokus
żyjemy nie wiedząc po co
coraz rzadziej zaglądamy do świątyń
a dochodzące z nich modlitwy
zagłuszamy zgiełkliwą muzyką
i tylko po nocach
gdy ze snu wyrywa nas szczurzy pisk
drażąca serce samotność
i tłumiony za dnia lęk
wołamy do Tego
który kiedyś był
z nami i w nas

Bogdan Świecimski

Janusz Andrzejczak

Nic niezwykłego

W Dolinie Biebrzy, tuż przy domu na krańcu osady złożonej z kilku zaledwie gospodarstw stoi drewniana wieża widokowa. Z jej wysokości roztacza się widok nad widokami. Dla jednych istnieje, by się zapatrzyć i w tym zapatrzeniu zapomnieć o wszystkim, dla drugich – by stamtąd uciekać jak najszybciej.

Był późny wieczór. Przez ultramarynowo – pomarańczowe chmury, przebijały się smugi zachodzącego słońca. Kumaki w pobliskim bajorku odmierzają swym rechetem czas, sekunda po sekundzie, z dokładnością, przy której szwajcarskie zegarki są dziełem kowala.

Pojedynczy żurawi klangor i odgłosy kilku ptaków, z furkotem wznośzących się i przelatujących nisko tuż nad bagnami, rozwlekały w nieskończoność cud ciszy, dla której wszystko co ludzkie, nawet stłumiony oddech, stawało się hałasem.

Było bezwietrznie, ale dało się odczuć postępujące tchnienia chłodu i wilgoci.

Zmierzchał początek lipca. Bagna, wraz z kolistymi kępami niskich bagiennych wierzb spuściły z dziennego tonusu i rozłożyły się do spania.

Na wieżę wszedł mężczyzna ze swoim ośmio-, może dziesięcioletnim synkiem. Obaj stanęli twarzami w stronę północno-zachodniego horyzontu, gdy...

...z głębi jednego i drugiego planu lasu, pomaleńku, powoli, zsuwała się w dolinę...

...mgła...

Po co tu przyjechaliśmy? Nie ma tu nic niezwykłego! – powiedział ojciec do syna.

Ja też tu niczego niezwykłego nie widzę – odpowiedział chłopiec, po czym obaj zeszli na dół.

Tymczasem...

Tymczasem mgła, jak jęzor lodowca, jak śnieżna lawina, powolutku zsuwała się, otulając pnie odległych drzew i całkowicie pochłaniając koliste kępy karłowatych wierzb.

Na całym obszarze rozległej doliny i wszędzie gdzie tylko było nieco niżej i bardziej mokro, powstawały chmurki rzadszych mgieł. Te, snuły się tuż przy ziemi, łączyły jedna z drugą tworząc całe połacie mgieł i mgielek o różnej przepuszczalności niknącego światła słonecznego, by w końcu połączyć się z księżycową poświatą.

I wówczas, przenikliwym klangorem krzyknęły żurawie, a echo, echo pochwyciło tę amplitudę najpierw niskiego, później wysokiego dźwięku i powtórzyło go jeden raz, drugi i trzeci...

Lecz to nie było zwyczajne echo, bo ono odbija się zazwyczaj o ściany lasu lub wzgórz, a tych, tam przecież nie było.

Jakiś ptak furknął i coś zaskrzeczał z turzyc, para żurawi przecięła na chwilę cały późny wieczór na pół, a kumaki wydmuchnęły z siebie sekundę po sekundzie czasu mierzonego od jednego mgnienia boskiej powieki do drugiego i to wszystko było ciszą, absolutną ciszą mgły...

Eliasz

Mnich Eliasz miał trochę ponad sześćdziesiątkę, więc nie był jakoś specjalnie stary, jednak prosty mnisi ubiór, długie, siwe włosy i także broda, dodawały mu ze dwadzieścia lat więcej.

Żyjącego na skraju puszczy nikt go poza zwierzętami nie odwiedzał. W wyjątkowych sytuacjach wpuszczał przed swoją zamszoną ziemiankę ludzi chorych, lecząc ich ziołami, korzonkami, pajęczyną i modlitwą.

Poza nią, poza półszepitaną modlitwą niewiele w ogóle mówił.

Zdarzało się, że gdy w oddalonej o pół dnia piechotą wsi dzwonnik uderzał sercem w kielich dzwonu, Eliasz brał do ręki swój jałowcowy kostur i wyruszał do cerkwi na religijną uroczystość.

Ludzie wówczas gromadzili się wokół niego, ale nikt nie śmiał go niepokoić ani ciekawskimi spojrzzeniami, ani tym bardziej próbą rozmowy, poza powitaniem:

„*Slawa Hospodu Isusu Christu*”.

Całą ceremonię klęczał z pokornie zwieszoną głową.

Ale zdarzało się, że nagle wstawał, podnosił do góry ręce i wykrzykiwał:

„*Люди опомнитесь, а то приидёт время мора!*” („*Ludzie, opamiętajcie się, bo nadejdzie pomór!*”).

Ale oni nie chcieli tego słuchać, nie chcieli się opamiętać i nadchodził przepowiedziany pomór zwierząt lub ludzi.

Gdy zdarzyło się tak raz, drugi, trzeci i więcej, wszyscy już wiedzieli, że mnich Eliaz jest prorokiem.

Potrafił bez pomyłki wskazać kierunki świata, przepowiedzieć pogodę na dzień następny, za tydzień i miesiąc i jaka będzie zima, jaka wiosna, jakie będzie lato i jaka jesień.

Tego nauczył się, czytając znaki zsyłane przez przyrodę.

Dotyczyło to zwłaszcza zimy, której mieszkańcy środkowego Podlasia bali się najbardziej.

Gdyby wiedzieli, jaka będzie, przygotowywaliby się wcześniej gromadząc zapasy żywności i opału w takiej ilości, by przetrwać ten trudny czas bez problemów, a nawet tragedii.

Gdy jesień była spowita we mgłach, wiedział Eliaz, że zima będzie śnieżna. Bujnie kwitnący wrzos oznaczał ciepłą i długą jesień, ale mróz i śnieg, już w listopadzie. Wielkie kiście czarnego bzu, berberysu, jarzębiny i innych dzikich owoców, także obfitość leszczynowych orzechów oznaczało ostrą zimę.

Umiał też czytać z szyszek na sosnach. Jeśli wyrosły na górze drzewa, zima miała być sroga przy końcu, jeśli na dole srogi miał być jej początek. Obfitość szyszek w ogóle, oznaczała długą i ostrą zimę. O jej srogości mówiły też Eliazowi długo, do późnej jesieni aktywne mrówki i krety, pszczoły gęsto zatykające kitem otwory, wcześniejszy niż zwykle odlot żurawi i szpaków, a także niepokój krukowatych, a spokój wróbli.

Nawet zwykły domowy kot, liniejąc przedwcześnie i zakładając nowe futro miauczał u niego o srożej, dłuższej zimie.

Eliaz z roku na rok coraz dalej i głębiej musiał przemierzać puszcze w poszukiwaniu ziół, jadalnych bulw i korzeni, jednak zawsze wiedział, jak trafić z powrotem na swoją pustelnię. Mech od zawsze porastał północną stronę drzew, a tam gdzie go nie było, północ wskazywała ciemniejsza strona kory, samotnie rosnące drzewa miały bujniejszą koronę od strony południowej i to od niej mrówki budowały w lesie mrowiska, będące bardziej spadziste od strony północnej.

Wiedział też, że jagody, które zbierał ile tylko starczało mu sił, najgęściej i najowocniej rosły po południowej stronie.

Któregoś dnia, pewna kobieta, idąc do pustelni po ratunek dla umierającego męża, zastała pustelnika przed ziemianką niemal bez oznak życia.

Czym prędzej pobiegła z tą wieścią do wsi.

Zebrało się kilku roślących chłopów i zabrało Eliasza do jednego z domów.

Przez blisko siedem długich miesięcy leczono go tak, jak on ich nauczał.

Niebawem jego miejsce zajął przybyły nie wiadomo skąd, obwieszony ikonami i krzyżami wędrowny mnich, który nie gardząc pieniędzmi leczył choroby poprzez dotyk, specjalizując się zwłaszcza w leczeniu atrakcyjnych kobiet.

W tym czasie do wsi zjechały buldożery, ponieważ gdzieś daleko ktoś wymyślił, że trzeba przegrodzić, uporządkować wolną rzekę i zmeliorować wielkie połacie podmokłych łąk i bagien.

Były one ostoją rozmaitych istnień, które wybranym podszeptowały prorocтва.

Mieszkający daleko „wizjonerzy” przepowiadali, że utworzony w ten sposób sztuczny zbiornik raz na zawsze ukroci samowolę niesfornej rzeki, a ludziom będzie się żyło dostatniej.

Zburzono im domy, stodoły, spiżarnie, wiatraki, młyny i kazano się wynosić do bloków.

Oba prorocтва się spełniły:

Zabetonowano brzegi, pobudowano przepompownie i rzeka przestała być sobą, rozpluwając się w cieczy przypominającej wodę, a ludzie odtąd mieli czas na konsumowanie swego dostatku w postaci nicnierobienia.

Młynarz odtąd mełł nudę, a rolnik siał, zbierał, orał – beczynność.

Gdy prorok Eliasz wyzdrowiał, wyruszył do swojej pustelni.

Po drodze niczego jednak nie mógł rozpoznać i wszystko mu się pomieszało!

Oto mech porastał południową stronę drzew, a kora była jaśniejsza po stronie północnej, samotnie rosnące drzewa miały bujniejszą koronę od strony północnej i od niej mrówki budowały w lesie mrowiska, bardziej spadziste od strony południowej.

A jagody zniknęły zupełnie.

Tylko słońce było jak zawsze i idący w jego kierunku Eliasz szedł, szedł i szedł...

...aż przepadł bez wieści.

Ilia

Głaz przy lesie jak serce
 głaz ogromny jak skarga
 kto ten głaz na pustkowie
 jaką siłą przytargał

Nie wiem kto kogo podparł
tak kamiennie jak miękko
i czy ja zaskomlałem
czy to on może jęknął

Czyj to siew z jądra głazu
tak się trwożnie wyluskał
że wzrósł las pełen krzyży
ale zmiotła go pustka

Fruną liście jak kartki
rozsypała się Biblia
szemrze strumień przy głazie
Ilia Ilia Ilia...

Janusz Andrzejczak

Grzegorz Gortat

Moje cudowne dzieciństwo w Aleppo

(fragment)

1. Wielki plac zabaw

Tata powiedział do mamy: „Jakie to smutne, że dzieci nawet nie mają gdzie się bawić”. Pomyślałam, że się myli. Jak się dobrze zastanowić, to cała nasza dzielnica przypomina plac zabaw. Właściwie całe miasto jest jak jeden wielki plac zabaw dla dzieci. Trzeba tylko mieć dobry pomysł, a nam pomysłów nie brakuje.

Na przykład zabawa w budowniczych. Prawdziwych cegieł jest pod dostatkiem. Do tego skrawki blachy, dykta, żelazne pręty, drut, kawałki drewna, szklane i aluminiowe naczynia, trafiają się nawet plastikowe meble. Trzeba się namęczyć, żeby ściągnąć wszystko w jedno miejsce, ale ile frajdy jest potem! Kiedyś w trójkę, ja, Nabil i Tarik, zbudowaliśmy prawdziwy dom. Prawie prawdziwy. Wejść do środka można było tylko na czworakach i plastikowy dach się zsuwał, jeśli próbowało się wyprostować. Nawet Tarik musiał kucać, choć ma dopiero trzy lata. Cegły nie były złączone i wystarczyło lekko pchnąć, by cała budowla się rozsypała. Nam to nie przeszkadzało; to był przecież tylko taki dom na niby, do zabawy.

Zresztą prawdziwe domy, te zbudowane przez dorosłych, wcale nie okazały się dużo trwalsze.

Pewnego dnia postawiliśmy wieżę. Chwiała się na wszystkie strony, ale i tak byliśmy z siebie dumni, bo to była najwyższa budowla, jaką do tej pory wzniesiliśmy. Pialiśmy z zachwytu, jakby to był ósmy cud świata. Zaraz dołączyły do nas dzieci z okolicznych ruin. Wzięliśmy się wszyscy za ręce i zaczęliśmy tańczyć wokół wieży, wrzeszcząc przy tym wniebogłosy.

Nagle przybiegł tata, kazał nam przestać i strasznie na nas nakrzyczał. „Przecież ta kupa cegieł mogła zwalić się na was i zrobić wam krzywdę”, tłumaczył. Przy czym cały czas zerkał na niebo, jakby sprawdzał, czy nie zbierają się chmury.

– Jasmin – łajał mnie nadal, kiedy wracaliśmy do domu. – Powinnaś być mądrzejsza od Nabila i Tarika. Masz już osiem lat.

Przyszło mi do głowy, że tata czego innego się przestraszył. Taką budowlę łatwo z góry wypatrzeć. Pilot lecący wysoko nad miastem może wziąć dziecięcą wieżę za budynek, w którym mieszkają ludzie.

2. Trzeba patrzeć pod nogi

Przywieram twarzą do zimnej ściany. Podziurawiona kulami powierzchnia chłodzi mi czoło. Zaczynam liczyć:

– Jeden... Dwa... – Przeciagam słowa, żeby dać innym dzieciom więcej czasu. Chodzi mi zwłaszcza o Tarika. Ma dopiero trzy lata i wolno biega na krótkich nóżkach.

– Trzy... – kończę odliczanie. Nie muszę podnosić głosu. Wokół taka cisza, że jak dobrze nadstawić uszu, to można usłyszeć pokasywanie pana Safika, który mieszka obok.

Chyba na całym świecie nie ma miejsca, które by się lepiej nadawało do zabawy w chowanego. Nie trzeba specjalnych przygotowań; gdzie nie spojrzeć rozpadliny, doły, rumowiska. Tylko kiedy się biegnie, trzeba patrzeć pod nogi, żeby nie trafić na coś, co może przynieść śmierć.

– Szukam! – Odwracam się powoli i oczywiście od razu dostrzegam czerwoną koszulkę Tarika. Nie odbiegł daleko, przykucnął za jednym z dwóch ocalałych betonowych słupów, na których wspierała się kiedyś wiata na przystanku autobusowym. Udaję, że braciszka nie widzę i rozglądam się dalej.

– Nabil, widzę cię! Jesteś za straganem pana Massada. – Oczywiście, strzelałem w ciemno, bo wcale nie chcę wygrać.

– Skusiłaś! – Nabil gramoli się z dołu, w którym się ukrył, co najmniej dwadzieścia metrów od miejsca, gdzie pan Massad jeszcze miesiąc temu miał sklep spożywczy.

Nabil jest wysoki jak na swoje sześć lat. Uważa, że jest już prawie mężczyzną i coraz częściej zadziera nosa. Zwłaszcza gdy rozmawia z dziewczynami.

– Ale z ciebie gapa! – śmieje się ze mnie. – Gdzie ty masz oczy?

– Wygrałem? – Tarik wypada zza betonowego słupa. – Kto teraz kryje?

– Jak to kto? Ten, kto przegrał, Jasmin. Zasady są proste.

Odwracam się twarzą do muru, zasłaniam oczy i zaczynam liczyć. W ciszy słyszę kroki Tarika i domyślam się, dokąd biegnie. Ale nie zamierzam odbierać mu tych rzadkich chwil radości.

Nabil ma rację, reguły są proste i łatwe do zapamiętania. Na całym świecie dzieci bawią się w chowanego podobnie jak my. Nas jednak obowiązuje dodatkowa zasada. „Żelazna reguła” – mówi tata tonem nie podlegającym dyskusji. Pod żadnym pozorem nie wolno nam zapuszczać się dalej od domu niż na odległość stu kroków. Kiedy nadlatują samoloty, musimy zdążyć wrócić, żeby ukryć się w piwnicy.

3. Okno

Pomagałam mamie przygotowywać ciasto na placki na obiad, a tata z Nabilem i Tarikiem robili coś w sąsiednim pokoju. W pewnej chwili skądś tak zawiało, że pęd powietrza zwiął odrobinę mąki ze stołu.

– Zamknijcie okno, bo straszny przeciąg! – krzyknęła mama.

– Co mam zamknąć? Okno? – Tata wsunął głowę do kuchni i patrzył na mamę, jakby ją pierwszy raz widział.

Mama się roześmiała, a my razem z nią. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz tak się wszyscy śmiałyśmy.

– Zamknij okno, dobre sobie! – powtórzył tata, próbując zachować powagę.

Jak można zamknąć coś, czego od dawna nie ma? Nie ocalała nawet jedna szyba i tata pozasłaniał otwory okienne dyktą.

4. Milczenie pana Safika

Odwiedził nas pan Safik. Adil Safik jeszcze kilka lat temu był wykładowcą uniwersytetu w Aleppo. Uczył matematyki i fizyki. Mieszka w sąsiedniej kamienicy – a raczej w tym, co z niej pozostało.

Właściwie to tata przyprowadził pana Safika. Nasz gość jest już bardzo stary, ma co najmniej pięćdziesiąt lat. Mieszka sam, bo stracił całą rodzinę w drugim roku wojny. Mama od dawna suszyła tacie głowę. „On tkwi tam samotny jak palec – przekonywała. – Nie ma do kogo ust otworzyć. I pewnie przymiera głodem”.

Pan Safik stanął w progu i przytrzymał się framugi. Był wysoki i bardzo chudy. Od kiedy widziałam go ostatni raz, zrobił się cienki jak patyk. Uczynił ruch, jakby chciał się wycofać. W końcu dał się uprosić i zasiadł

z nami do stołu. Zaraz się rozkaszał. Podobno choruje na płuca i zdaje się, że to coś groźnego.

Teraz ludzie rzadko się odwiedzają, więc wizyta gościa była dla mnie nie lada atrakcją. Nabil i Tarik też oczu od niego nie odrywali. Z początku milczał, przytakując głową, gdy rodzice mówili. Zaczynałam podejrzewać, że w ciągu kilku ostatnich miesięcy stał się niemową. Kiedy w końcu otworzył usta, zobaczyłam, że stracił prawie wszystkie zęby. Placek, którym mama go poczęstowała, łamał na mniejsze porcje, każdy kawałek maczał w zupie z soczewicy i wkładał do ust z miną, jakby to była barania pieczeń. Miał powykrzywiane palce u rąk i bardzo wolno nimi poruszał.

Po obiedzie mama podała kawę, a nas, dzieci, odesłała do pokoju. Staralam się przebywać jak najbliżej uchylonych drzwi, bo ciekawiło mnie, o czym będą rozmawiać.

– I do czego cała ta nauka była mi potrzebna? – zalił się tata.

– Przestań – przerwała mu mama. – Nie mówiłbyś tak, gdybyśmy żyli w normalnych czasach.

– Zamiast studiować literaturę amerykańską, lepiej bym zrobił, ucząc się czegoś praktycznego.

– Na przykład?

– Jak bez mąki upiec chleb. Albo jak ogrzać mieszkanie, kiedy skończył się opał. Czy jak przymocować deskę bez gwoździ i młotka.

– Nie ma pan racji – odezwał się pan Safik.

– Tak? A na co mi się zda cała ta książkowa mądrość, jak nie będę miał czym dzieci nakarmić? – Tata ściszył głos prawie do szeptu, ale i tak usłyszałam: – Albo jak przyjdą tamci?

– Doskonale pana rozumiem. A jednak będę obstawał przy swoim. Wiedza to nasza broń. Tamci potrafią tylko niszczyć. Dopóki górujemy nad nimi wiedzą, nigdy nas nie pokonają.

Wieczorem, kiedy gość już poszedł, usłyszałam, jak Nabil pyta tatę:

– Co się stało z zębami pana Safika?

– Wypadły mu, bo źle się odżywia. To przez brak witamin – mruknął tata i szybko zmienił temat.

Pierwszy raz przyłapałam tatę na kłamstwie! Wcześniej opowiedział mamie, jak było naprawdę. Pół roku temu bandyci porwali pana Safika i wywieźli do swojej dzielnicy. Bili, aż powybijali mu wszystkie zęby. Od tego czasu zaczęły się też jego problemy z płucami i nerkami. Kazali mu się wynosić z miasta i zagrozili, że jeśli kolejny raz wpadnie w ich ręce, to już tak łatwo się nie wywinie.

W nocy nie mogłam zasnąć. Wciąż wracała do mnie historia pana Safika i nie dawało mi spokoju, że tata okłamał Nabila. Im dłużej jednak o tym myślałam, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że na miejscu taty też bym tak postąpiła.

5. Matematyka z panem Safikiem

Pan Safik od tygodnia uczy nas matematyki. Uzgodnił z rodzicami, że będzie przychodził codziennie, chyba że choroba mu nie pozwoli. Nigdy nie wychodzi od nas głodny. Myślę, że właśnie o to chodziło rodzicom, kiedy poprosili go o zorganizowanie zajęć.

Na lekcjach pan Safik zmienia się nie do poznania. Przestaje się garbić i prawie nie kaszle. Nigdy nie podnosi głosu, ale i tak siedzimy cicho i nie przeszkadzamy, bo mówi ciekawe rzeczy – i wcale nie tylko o dodawaniu i odejmowaniu liczb. Na przykład, że przez wiele stuleci nasz kraj był prawdziwą potęgą i wrogowie nie próbowali z nami zadzierać. Dlaczego byliśmy potęgą? Bo jako naród nigdy się nie kłóciliśmy. Nie daliśmy się nikomu podzielić. „Dzielenie jest dobre w matematyce – podkreślił pan Safik. – Ale między sobą ludzie powinni się dzielenia wystrzegać. Podziały i kłótnie nigdy do niczego dobrego nie prowadzą”.

6. Ludzie jak manekiny

Nie cierpię bezsennych nocy. Przewracam się z boku na bok i zaczynam rozmyślać. Przed oczami mam obrazy, o których bym wolała zapomnieć.

Mama i tata śpią w kuchni na dużym materacu, który rano chowają za szafą. Kiedy nie mogę zasnąć, słyszę, jak szeptem rozmawiają. Najczęściej o tym, skąd zdobyć jedzenie; albo czy wojna kiedyś się skończy.

Śpię w łóżku z Tarikiem. Bez przerwy wykopuje się z pościeli i muszę go przykrywać, żeby nie zmarzł. Pod koniec lata noce są chłodne. W oknach nie ma już żadnej szyby. Wcześniej tata uparcie wstawiał nowe szyby na miejsce wybitych, w końcu jednak zrezygnował i pozasłaniał jak potrafił otwory kawałkami dykty. Nabil śpi obok na podłodze, na podwójnie złożonym kocu. Jeszcze niedawno zajmowaliśmy trzy duże pokoje i wszyscy mieliśmy osobne łóżka. Przez pierwsze cztery lata wojny bomby i pociski rzadko spadały na naszą część dzielnicy. Odkąd przyszli Rosjanie,

bombardowania się nasiliły. Kryliśmy się przed nimi w piwnicy zamienionej na prowizoryczny schron. Siedząc po ciemku, urządzaliśmy konkurs próbując odgadnąć, kto tym razem zrzuci na nas bomby. Tarik dawał się przekonać, że to tylko zabawa i po jakimś czasie przestawał płakać.

Sześć miesięcy temu jedna z bomb odłupała tył domu, jakby to była skorupa orzecha. Dwa z trzech pokoi nie nadawały się już do zamieszkania. Straciliśmy meble, większość ubrań, prawie cały księgozbiór taty. „Niektórzy mieli mniej szczęścia, bo stracili życie”, pocieszał tata. Wcale nie jestem pewna, czy tamtego dnia to właśnie nas uważał za szczęściarzy. Usta mu się nie zamykały, bo gadulstwem próbował odwrócić naszą uwagę od koszmarnych widoków na ulicy. Wmawiał nam, że pociski zniszczyły sklep odzieżowy i to, co widzimy, to roztrzaskane sklepowe manekiny.

Grzegorz Gortat

Grzegorz Gortat
Moje cudowne dzieciństwo w Aleppo
 Wydawnictwo Bajka
 Warszawa 2017
 Stron 128
 ISBN 978-83-65479-19-8



Piotr Müldner-Nieckowski

Numer trzydzieści cztery

Wyszedłem ze szpitala po raz pierwszy od miesiąca zadowolony. Jeszcze nie całkiem szczęśliwy, ale już z dobrym samopoczuciem. Operacja się udała. Beata się uśmiechała, choć nie wszystko przestało ją męczyć i trochę bolało. Poprzestawiali jej coś w brzuchu, wycięli, wstawili. Miało być dobrze.

Dobry szpital, uznałem. Ma lądowisko dla helikopterów, stację autobusu medycznego i zupełnie przyzwoity jak na warszawską ciasnotę parking z automatami do opłacania pobytu. Auto ustawiłem obok samochodu Beaty, akurat było tam miejsce, i teraz właśnie wracałem z oddziału chirurgii w stronę naszych maszyn. Trzeba było obejść błyszczące od niklu barierki, ale je przeskoczyłem, co nie spodobało się jakiejś starszej parze z psem. Zgodnie się skrzywili. Pies. Co robi pies na terenie szpitala! – pomyślałem – na pewno ich przegonią, a kto wie, czy w tych torbach, które dźwigali, nie schowali kota. Niewykluczone, że w ogóle zaplanowali przeprowadzkę tu z domu. Rozglądali się trochę niepewnie. Ciekawe, które z nich było chore, może oboje, ale mimo wahań widocznych na ich twarzach zgodnie szli prosto w zaplanowanym kierunku. Wparowali do niskiego pawilonu, na którym widniał napis, że to izba przyjęć, wciągnęli olbrzymi bagaż, a że pies się cokolwiek opierał, coś mu się nie spodobało, facet dał mu kopniaka w podbrzusze. Stalowo-szklane drzwi zamknęły się za nimi z takim hukiem, że nawet ja, z lekka głuchy, pomyślałem o nich z troską. Biedni na umyśle, ale rozumiem, „szpital” to brzmi groźnie. Z ławki przed betonowym podjazdem zerwał się jakiś gość w ultrazielonkawym garniturku i z aparatem fotograficznym przewieszonym przez szyję.

– Widzi pan? Kopnął psa – powiedział.

Uśmiechnąłem się do niego, bo miał rację. Zwierzęta trzeba szanować.

– A pana to bawi – dodał. – Dramat, dramat!

Niestety nie mogłem się nim zajmować, czas leciał. Wstawiłem bilet do odpowiedniej szpary w automacie, wsunąłem banknot i po chwili uzyskałem mechaniczną zgodę na wyjazd oraz niezbędną resztę, którą jednym ruchem wprowadziłem do portmonetki. Nie jestem pazerny na pieniądze, ale drobne zawsze się przydają, więc nie pogardziłem. Jeszcze sprawdziłem

telefon komórkowy, czy przypadkiem Beacie coś się nie przypomniało i czy nie wysłała aby esemesu, jak to miewała w zwyczaju, a to w sprawie wody, że kupiłem gazowaną, choć miała być bez gazu, a to gazety, że zapomniałem dostarczyć. Beatka od zawsze popierała tych z lewa, ja zawsze tych z prawa, więc mogłem przez pomyłkę kupić gazetę obozu politycznego mojego, a powinienem był przeciwnego. Ale nie, tym razem zostawiłem jej odpowiednią, znajdowała się pod poduszką. Na wszelki wypadek wysłałem do niej esemes: „Gazeta pod poduszką. Radyjko-zapalniczkę i słuchawki dałem do szufladki w szafce. Fajki w pudełku po landrynkach”. Esemes: „Zajrzyj do szufladki”. Esemes: „Szufladka w szafce”. Teraz esemes od niej: „Uważaj, jak będziesz jechał”.

Okej, można było wracać do domu, zwierzęta czekały na karmienie. Też pies. I też kot. Pies inteligentniejszy, kot mądrzejszy. Od dwóch godzin czekały przycupnięte przy drzwiach, to jasne. Już to widziałem oczami wrodzonej troski, więc pośpiech był wskazany. Parę kilometrów jazdy i dostaną swoje chrupki. Na czas chirurgicznego wykluczenia żony kupiłem im jedzenie gotowe, nie miałem zamiaru nic gotować. Sam też nie przewidywałem żadnych obiadów, tylko naleśniki z folii. Wróci Beata, wróćą obyczaje.

Trzecia bariera była za wysoka, o skoku wzwyż nie było mowy, ale przecisnąłem się dołem, bo był tam odstęp nad ziemią. Jakiś projektant miał kiedyś zły dzień i nie przewidział, że znajdą się ludzie, którzy się zmieszczą. Tak znalazłem się na terenie parkingu.

Schował się tam za budynkiem portierni ten sam wysoki zielonkowaty gość, co miał pretensje, że się śmieję, i oparty o ścianę pod napisem „Palenie wzbronione” popalał papierosa. Zawzięcie wstukiwał coś do tabletu, po czym podniósł go do ucha i zaczął mówić. Miał problem. Z każdym słowem wykonywał gimnastyczny ruch ciałem, to w lewo, to w przód, drugą ręką klepał się w udo, z przejściem wzdychał, jakby dusiło go powietrze. Co chwila sprawdzał, czy na ramieniu wciąż jeszcze ma pasek aparatu.

Autko Beatki, całe białe, z błyszczącymi ozdobami, uśmiechnęło się do mnie. Właśnie słońce zza chmury też błysnęło, piękny maj był tego dnia, i choć od dwóch tygodni nie padało, zieleń nadal krwisiście szalała, pokazywał się już bez, z krzaków, zwieszających gałązki nad samochodami, zaczynały wystawać rachityczne na razie kitki kwiatów. Ale się rozwiną, zgodnie z przepisami przyrody.

Poklepałem po pupie renówkę żony i wsiadłem do swojej toyoty, okazał się, cięższej, ciemnoszarej, wyposażonej w znacznie więcej koni

mechanicznych. Spore bydlę, wóz do wożenia wartościowych ciał, mający ostre kopyto, jakże przydatne przy wyprzedzaniu. W środku zadbany, bez najmniejszego pyłku na jasnoskórzanej tapicerce i beżowym kokpicie.

Beata pewnie tam już sobie spała, bo dostała popołudniową tabletkę, a ja tu z namaszczeniem wyjąłem nawigację, wstawiłem do gniazda pod szybą i wybrałem w niej hasło „dom”. Przez chwilę łapała sygnały satelitów, aż zaskoczyła i oznajmiła głosem znanego kierowcy rajdowego, że będę jechał godzinę i pięć minut, ale najpierw muszę skręcić w prawo. Urządzenie myślało, że jestem na ulicy, tymczasem od drogi oddzielała mnie zardzewiała siatka, no i trzeba było wyjechać przez oficjalną bramę, gdzie czatowała bariera z automatem do sprawdzania biletów.

Obok lusterka wstecznego samoczynnie włączyła się kamera. Świetne urządzenie. Dzięki niemu po niejednej wycieczce mogliśmy z Beatką odtwarzać nasze zabawy z rozpoznawaniem Polski od przodu, tyłu i z dołu, z zagłądaniem pod narodową spódnicę. Lubiliśmy w domu analizować mijające nas w podróży pojazdy, przyglądać się twarzom ludzi, którzy w nich siedzieli, i przeliczać pokonane kilometry, wszystko pokazując mamie, która z racji wieku już od dawna nie lubiła wyjeżdżać. Przestała nawet karmić zwierzęta i zmywać talerze po sobie. A kiedyś wychowywała nam dzieci.

Ruszyłem do tyłu, wykręciłem tak, żeby skierować się w stronę szpitalnego wyjazdu, ale zanim się wtoczyłem na odpowiednią dróżkę, podjechałem jeszcze do renówki Beaty i dotknąłem ją czule zderzakiem. Och, kiedyż ona wróci!, kiedyż będziemy sami, o ile mama, zajmująca południowy pokój naszego mieszkania, zdecyduje się oglądać jakąś zajmującą telewizję kryminalną, która nie pozwoli jej dźwignąć się z fotela.

Po tym pocałunku cofnąłem się, skręciłem koła w prawo i powoli pojechałem do przodu. Kątem oka widziałem gościa z tabletem i aparatem. Kiwał głową. Wydało mi się, że kiwa do mnie, ale to przecież złudzenie – pomyślałem. Po dzisiejszych wieściach o udanej operacji Beaty kochałem wszystkich, nawet jego, rozczochanego, ale w niezłym garniturze, choć z bieda-krawatem pod krótkim kołnierzykiem, i wypiętą szyją, dziwnie nabrzmiałą jak dynia. Zamachał do mnie, no to ja mu odmachałem i się uśmiechnąłem. Ale on machał dalej. Pokazywał coś, ruchami rąk wskazując, że – tak to zrozumiałem – coś jest nie w porządku z moimi światłami. Jednak ze wskaźników na tablicy rozdzielczej nie wynikało, że nie mam włączonych lamp, dlatego ruszyłem ostrzej, objechałem bariery i wyskoczyłem na asfalt przed szlabanem.

Włożyłem do kontrolera bilet, ramię zapory się podniosło i już chciałem dodać z kopyta, gdy mimo głuchoty usłyszałem pukanie w szybę. Gość z urzędzeniami coś ode mnie chciał.

Rzuciłem okiem na zegarek i nawigację, miałem już mało czasu, bo kot i pies miały dostać żarcie dokładnie o piątej po południu, chciałem dodać gazu, kiedy ten wskoczył mi przed maskę i nie miał zamiaru odejść. Ki diabeł? Nikogo nie będę podwoził – pomyślałem – taksówkarzem nie jestem już od pięciu lat i nie mam zamiaru wracać do tej szmacianej roboty. Uchyliłem szybę.

– Co jest? – zapytałem.

– Ja porobiłem fotografie, a pan się zachowuje jak złodziej. Jest pan chamelem i draniem. Uderzył pan w ten biały samochód marki Renault. Tak się nie robi. Zostawia się kartkę z adresem i telefonem za wycieraczką – wrzasnął.

O cie Florek! Miał pretensje!

– Zrobiłem, panie, zdjęcia i wszystko mam tu – zamachał aparatem, a tablet mało mu nie spadł na ziemię.

– No to uważaj pan, bo się panu ekran połamie i wyparuje obiektyw.

– Bydlak, cała Polska to bydlaki! Wszystko niszczą, dokonują zbiegów z miejsc wypadków. Niech pan stamtąd wyłazi! – ryczał i szarpał klamką.

Akurat nadjechali następni, którzy chcieli się wydostać ze szpitala, ten jednak oparł się o moją maskę i zaczął wzywać pomocy. Niechętny portier wyszedł ze stróżówki, ale zrobił tylko pół kroku, cofnął się i zaczął przyglądać. Doświadczony pracownik. Najwidoczniej na mnie patrzył przychylniej niż na niego, bo się nie wydzierałem i byłem spokojny. Nie zamierzał się wtrącać. Ktoś czekający w kolejce nacisnął w swoim aucie klakson, popędzając mnie, żebym wreszcie jechał, ale ubrany na zielono gbur nadal krzyczał, wzywając strażnika, by wezwał policję. Czemu sam nie wzywał? Wyglądało na to, że nie ma telefonu. A taki wyposażony. Wydawał się coraz bardziej podejrzany.

Nie było gdzie zjeżdżać, przejazd zbyt wąski, po obu stronach srebrne barierki, więc wysiadłem i podszedłem do palanta.

– O co ma pan pretensje, tylko szybko, bo ludzie czekają – powiedziałem.

Uwiecznił tablicę rejestracyjną auta i pstryknął kolejne zdjęcie, tym razem celował mi obiektywem wprost między oczy. Pamiętając, że moja kamera umieszczona na szybie w aucie wszystko rejestruje, starałem się zachować największy spokój i dostoyny wygląd. Na jaki było mnie stać.

Bo gdyby nie to, że z własnej inicjatywy jestem rejestrowany, facet już by leżał z rozwalonym nosem i złamaną szczęką. Raczej zależało mi na tym, żeby utrwałała się agresja jego, a nie moja. Stwierdziłem atak na moje dane osobowe, no bo przecież mnie fotografował. A moja twarz to moja wizytówka. Za robienie tego rodzaju zdjęć można nieźle beknąć, takie mamy czasy. Wiem, bo sam byłem za coś takiego skazany. Bezboleśnie, na grzywnę, ale zawsze.

A on dalej swoje:

– Wjechał pan z całą siłą w samochód marki Renault. Mam to w pamięci komputera i sfotografowałem uszkodzenia, które pan porobił. I uciekł pan.

– Uciekłem? Przecież jestem.

– Draństwo, tak robią złodzieje. Całą Polskę rozkradacie. Niszczycie mienie, nie przestrzegacie przepisy.

– Przepisów.

– Co?

– Pstro. Nie przestrzegamy prze-pi-sów. My wszyscy, razem z panem. Bawi się pan w małego policjanta? – mówiłem z uśmiechem, z największym spokojem, bo przecież chodziło o samochód Beatki, który przytuliłem zderzakiem, a właściwie o samochód mój, gdyż to ja za niego zapłaciłem i na siebie zarejestrowałem. Dwoma innymi moje córki odjechały do mężów, piąty, firmowy był w warsztacie, szóstym pracownik wyjechał w trasę. Mam dalej wycłazać?

Uwaga o domorosłym policjancie doprowadziła go do furii. Z sąsiadującego trawnika wyjął kamień i podszedł bliżej.

– Na pana zderzaku widać ślady zderzenia – ryknął.

Wyszedłem z wozu. Przetarłem ręką to miejsce i ślad wraz z pyłem zniknął. Od dwóch tygodni nie myłem samochodu, trochę na nim narosło brudu, na pozór niewidocznie, ale zawsze. Przy zetknięciu z Beatką rzeczywiście zrobił się ślad, jak to w kontaktach międzyludzkich. Ale usuwalny.

Nie miałem o co wytrzeć rąk, więc podszedłem do osobnika i zanim się zorientował, wyczyściłem dłonie o jego zadbaną marynarkę. Wyjąłem z portmonetki pięć złotych, które mi wydał automat, i wręczyłem. Wziął bez mrugnięcia.

– To na pralnię – wyjaśniłem.

– Tak?! Na pralnię? To, panie, jest korupcja, łapówkę mi pan wręczył, żebym nie zawiadamał właściciela samochodu Renault. A panu należy się policja. Przesłuchanie. Sąd. Prokurator.

Człowiek z samochodu, który stał w kolejce za mną, przepraszającym tonem, pocierając czarny wąsik, zapytał, czy nie może mi w czymś pomóc, bo on się zna na silnikach samochodowych.

– Mój wóz jest na chodzie i nic mu nie dolega. To tamten nie pozwala, stanął mi na drodze – odparłem i się uśmiechnąłem, pomny na kamerę, która wszystko rejestrowała. – Nie wiem, o co mu chodzi, po prostu stoi mi przed maską i nie mogę odjechać. Pan mu coś powie...

Człowiek jednak wycofał się do swojego auta, zatrzasnął gniewnie drzwi. Wolał nie interweniować, bo zobaczył kamień w łapie napastnika.

Rzeczywiście, napastnik, mając chwilę na myślenie, wreszcie wpadł na pomysł. Podniósł kamień do góry i z całą mocą cisnął w moją przednią szybę. Kamień był duży, że nie powiem potężny, twardy, co wynikało z jego struktury geologicznej, jakiś czarny granit albo bazalt, z wystającymi guzami, w rękę łobuza ledwie się mieścił. A ręka była jak bochen, nieproporcjonalnie duża. On miał i w twarzy coś zaskakującego. Zęby silne, śnieżnobiałe, ale własne, nie z plastiku, pewnie ostre niczym brzytwa. Oczy małe, wpadnięte, otoczone sino, bez przerwy w ruchu, i usta układające się w dwa dzióbki smoczka, przez który słowa wylewały się trochę nienaturalnie. Musiał chyba w dzieciństwie przejść jakieś ćwiczenia logopedyczne. Jeśli tak, to tylko częściowo spełniły swoje zadanie. Niedobrze wymawiał „d”. Mówił prawie „t”. Niemal „tokłatnie”. No i ten rozdęty ogór zamiast podstawy głowy. ABS – absolutny brak szyi. Dyskretny, powolny tik lewej górnej powieki, który – wyobrażam sobie – w biurze przyspiesza swoje taktowanie na widok tabel, wykazów i raportów. Urzędnik, rasowy urzędnik.

Kamień z całej siły huknął, ale szyba nawet się nie zarysowała. Nie miała prawa. Japońska technologia, brytyjskie wykonanie. Głaz się odbił i ciężko spadł wprost na nogę awanturnika, a ten zawył wniebogłosy.

Zgromadzony tłumek gruchnął śmiechem. Ludziom się spodobało. Gość podskakiwał na jednej nodze, widocznie nieźle oberwał. Jęczał i stękał, ale mimo że w wojsku przeszedłem dziesięciodniowy kurs udzielania pierwszej pomocy, postanowiłem nie korzystać z umiejętności. Niech tylko zejdzie z drogi, pomyślałem, szpital ma pod bokiem, tam go załatwią.

Tylko że on po chwili oprzytomniał, opanował ból i znowu zaczął gadać. Machał tabletem i tokował:

– Ja tu mam trzydzieści trzy takie dokumentacje tego, co ludzie robią ludziom. Pan jesteś trzydziesty czwarty. A w samym moim bloku przy Puławskiej mieszka jedenastu mieszkańców, wszyscy dranie, to jest jasne, że ile świństwa ludzie robią ludziom, taki nam gotują los, z tym musimy się

zмагаć – lało mu się z ust coraz więcej skargi – i nic nie pomaga, a przez to nasz kraj jest, jaki jest, a to przez to, jak wy niszczyacie obywatelski dorobek.

Jeszcze chwila, a zaraz wpadnie w tony historyczno-matematyczne – pomyślałem. – Trzeba coś z tym zrobić. Beata z ulgą śpi, mama ogląda telewizję sensacyjną, menażeria jak głodna Litwa czeka na powrót swego pana, a ten mi wciąż stoi na drodze.

– Pan podniesie ten kamień – powiedziałem ostro.

Mój ton go przeraził, bo zmieniłem minę.

– Gadasz do mnie, a ja nie wiem, z kim gadam – dodałem.

– Ja niszczytelom samochodów nie będę się meldować. – Jeszcze był hardy, ale w oczach miał już strach.

– Podniesiesz kamień, przeniesiesz na trawnik i odejdziesz stąd w cholerę – powiedziałem przez zęby, możliwie najciszej, tak jednak, żeby słyssał. Zniżenie głosu działa jak bicz.

Po chwili wahania zrobił, co mu kazałem. Wyjąłem telefon i udałem, że robię mu zdjęcie.

– Tablet i aparat poproszę – wyciągnąłem rękę.

– O, nie! To moja własność – zaprotestował.

Nie czekając na dalszy dialog, mocnym ruchem wyrwałem mu te skarby i odrzuciłem daleko, aż wpadły między koła jednego z samochodów na parking. Szczercząc z wysiłku piękne zęby, rzucił się w tamtą stronę. Kulał, ale biegł i co chwila się odwracając, całkiem płynnie wykrzykiwał jeszcze:

– My się spotkamy, ja wszystko daję na blog do Internetu, zobaczy pan, cała Polska będzie się z pana śmiała, cała Polska się dowie, jaki pan jest zło-dziej i agresor! Nikt na pana nie zagłosuje, wywalą pana z pracy, żona od pana odejdzie, życie panu zmarnuję, właściciel białego samochodu marki Renault pana zniszczy, tak jest, proszę pana, właściciel Renault wszystkiego się dowie, wszystkiego!

Inaczej nie umiał, wciąż mówił do mnie per „pan”. Ale widać już było, że nie ma zamiaru wracać. Podniósł z ziemi swoje rzeczy, sprawdził, czy całe, i kuśtykając, poszedł w głąb parkingu. Oparł się o pień jedyne-go rosnącego tam dębu, schował się za nim i znikł mi z oczu. Wrzuciłem bieg i odjechałem z piskiem opon.

Dwa dni później, kiedy przyjechałem, żeby towarzyszyć Beacie i jej re-nówce przy opuszczaniu chirurgii, odruchowo się rozglądałem, czy go tam przypadkiem nie ma. Ale nie, szczęśliwie przepadł. Może siedział w biurze

i syci! wzrok moim widokiem ze zdjęć oznaczonych numerem trzydzieści cztery. O ile nie przenumerował mnie na numer jeden. Przez tydzień, przez kwartał chodziło mi to po głowie. Beata całkiem zdrowa, a ja z tym numerem. Dlaczego nie trzydzieści pięć? Albo tysiąc osiemnaście? Jakoś nie mogłem dać sobie z nim rady.

Po roku z innego szpitala odbierałem córkę ze świeżo urodzonym synkiem. Tam też czułem się nieswojo. Na buty kazali założyć niehumanitarne plastikowe osłony z gumką, które bardzo łatwo roznoszą kurz i bakterie. Kątem oka widziałem liczne kamery rejestrujące ruch osobowy. Przeszedł lekarz ubrany chirurgicznie na zielono. Wzdrygnąłem się.

To właśnie wtedy utwierdziłem się w postanowieniu, że jeżeli kiedykolwiek będę miał umrzeć, to tylko i wyłącznie w domu. Ostatecznie na ulicy. W lesie. Tylko nie tam.

Piotr Müldner-Nieckowski

Jacek Pankiewicz

Czy warto żyć?

Ludzie wciąż się rodzą. I chcą, żeby nas było coraz więcej –

A tak się przecież powiększa coraz bardziej areał nieлюдów.

Bo dziś każdy chce być górą. Nad kimś, co górą jeszcze być nie zdążył.

Nas nie interesują na przykład, takie szczegóły, jaki ten Drugi/Druga ma kolor oczu, i jeżeli niebieskie (jak ja!) to może znaczyć jakąś szczególną zdolność do... jaki się wyraz, jaki skarb kryje w nich?!

A najlepiej to do tego, co mówię, niech sobie obejrzy film o dyktatorach. Ja obejrzałem, i jestem taki, jak jestem, mądrzejszy!

Tam jest pokaz wszelkich apetytów spełnionych. Przykłady niby stąd, ale i z całej naszej ludzkości. I któż by nie chciał żyć tak jak oni?! Za nimi stoją olbrzymie zastępy, narody. I nie od dziś – wszelkie korporacje także na podany wzór się tworzą. To i oni we wszystkim są górą, i zawsze będą panować już nad światem.

A też i indywidualnie – kto żyje, na ich wzór się tworzy. A zwłaszcza ci, co grubną z dnia na dzień; albo inaczej tam pospółstwu się poświęcają. Oglądasz, bratku, telewizję?, to już zaoszczędź sobie, wyłącz fonię, niech tylko kamera sama podraży największą tajemnicę denata, zarysu brzusca – i od razu wiedzieć możesz, do czego on zmierza, co myśli, fonia ci niepotrzebna. Oni z godziny na godzinę tak żyją, a nawet i w nocy, jak chcą zasnąć, piekielnie mocują się z sobą, jakby tu z brzucha mikrofon wyłączyć i przekopyrtnąć się na drugi bok. Brak mikrofonu w brzuchu byłby ideałem.

Weźmy na przykład syna Kim Ir Sena takiego. Synusiów innych sławnych ludzi. I córuśki także. No i tych wszystkich, którym dziś Dupy tak nieprzeciętnie rosną. Oni wszyscy weszli już w strefę nieлюдów – to brzuchpaśce.

Wzorce jak zwykle mają z przeszłości; najlepiej rozpowszechnione dziś wszakże; to i najprzeróżniejszej maści.

Najlepszy klasyczny przykład, choć jeszcze niekoniecznie był gruby – to Ceaușescu niejaki. I mam go w oczach, jak do strzału, niby do wroga wciąż się mierzy; w puszczy na plebanii stojąc, i zaraz zacznie mordować co najmniej niedźwiedzie, bo tak robili nasi ważni przodkowie, tak każe Tradycja; jakiś pułkownik już mu załadował strzelbę, on pociągnie za spust i zwycięży, powiększyć u swych stóp defiladę trupów, równo ułożonych

na matce ziemi. Potem może pojedzie sobie do kawalerki, czyli największego pałacu na świecie, o tysiącu pokoi. Albo i do równie ogromnego Pałacu Podśluchów, gdzie jest już nagrany cały Naród Rumuński, dowie się, co o nim myśli, chce to wiedzieć, bo sam nie myśli. Nawet jak najmniej ważny obywatel w państwie – też go obchodzi, co powiedział o nim za życia, a może i po śmierci. Inna literatura się nie liczy.

Każdy normalny widz, jak popatrzy na to wszystko – zaraz tylko pragnie pouczestniczyć sobie w końcowym morderstwie – tyrana, na jego wzór rzezi na narodzie i niedźwiedziach. A kto tego nie pragnie, jest kiep! bo to dowód, że żadnych ludzkich uczuć nie ma – należy do nieludzkości, czyli sam jest zwyrodnialec.

I tu pytanie.

Czy ludzie czegoś dziś pragną jeszcze?

Prócz, oczywiście – parcia na szkło?

każdy przecie jakoś chce być wyróżniony!

I to się powtarza od stuleci. Od tysiącleci.

Czy warto w takim świecie być uznanym za ważnego?

Nam wszak, normalnym przecie – –

I wśród normalnych znalazła się jedna taka, co poradziła sobie. Krytyczka ongiś postmodernistyczna, dziś już się tytułuje jako dramaturgini, no, prozaiстка, wszechartystka w ogóle. Otóż napisała onaż ostatnio powieść, natychmiast wydano ją w *Sic-u*. O swojej rodzinie. I wyszło jej, że (ta Rodzina) jest nie do życia, nieznośna bo, i nie za bardzo mądra także; nawet i nie całkiem jakby zdrowa psychicznie. Wyszło tej autorce, prozaini, że Rodzina u nas jest tak obciążona złymi wpływami, i jakimiś takimi przykładami, że nie do życia! jak Matki Polki, pamiętającej złe czasy wojny, będąca pod miazmatami wpływów takich, jak sarmatyzm, ten wredny! no, jest tego bez liku!

Co uświadomiwszy dokumentnie, wszak o tym napisała, sama odgrodziła się od wszystkich, siadła na schodach przed domem i natychmiast zaczęła kciukiem ustawiać sobie sumienie świata.

A że w kulturze dwie rzeczy liczą się teraz najmniej, bardzo mało, tego nie wiedziała, bo i skąd?!

A to są wrażliwość i pomyśłówka. One decydują najczęściej.

I żadni kciukarze tego nie załatwią. Ani już nawet łokciarze.

21 marca 2017

Alicja Patey-Grabowska

Rekonstrukcja – Kozielsk 03.04.1940

(fragment)

Mogło być tak.

Z głośników „szczekaczek” nazwiska:

– Kaługa Stiefanowicz... owicz... owicz... grrr rrr... Borysławski Mikołaj Ignatowicz... owicz... grrr... Romualdowicz... Owicz... owicz... grrrr rrrr grrr...

Wybiegają z budynków, z cerkwi, w której gnieździli się ściśnięci jak sardynki.

Stanęli, nasłuchują.

– Wreszcie coś się dzieje, coś ruszyło – słychać podniecone głosy.

– Mają szczęście – mówi porucznik A., przedtem zaszczepiony – rytuał oficerski cały czas obowiązuje – do kapitana L.

– Tak. Mają szczęście – zgadza się kapitan. – Co bym dał, żeby wreszcie opuścić to parszywe miejsce.

– Myślę, że wkrótce i nam się poszczęści – odpowiada porucznik. – Pozwolili im wyczyścić buty – kontynuuje – ogolić się. Zaszczepiono ich przeciw tyfusowi, a na drogę dostali śledzie zawinięte nie w gazetę, a w papier śniadaniowy!

– Śledzie? – zdziwił się kapitan. – No to i coś do picia. Wodę? Czaj?

– Podobno, mówił mi porucznik z parteru, że jego menażka dziurawa i tak samo mówił podporucznik z drugiej kondygnacji.

– To mi się nie podoba – mruknął kapitan. – Nie podoba.

– Podobno jadą do obozu niemieckiego. A może będą zwolnieni? Do domów. Takie krążą plotki – kontynuował porucznik A.

Powiał chłodny wiatr, chociaż zza ołowianych chmur wyjrzało słońce i oświetliło rząd murowanych, jednopiętrowych budynków, miejsca zamieszkania majorów, pułkowników, w tym jedynej kobiety – porucznik Janiny. Ozłociło kopułę cerkwi, w której upchnięto ponad dwa tysiące osób, od poruczników do kapitanów włącznie, wieże strażnicze i tłum mężczyzn w oficerskich mundurach na „ulicy” prowadzącej do bramy.

– Brrr... zimno... chociaż już trzeciego kwietnia – mruknął porucznik, stawiając kołnierz oficerskiego płaszcza.

Z głośników jękając się, chrypiąc, wystrzelivano wciąż te same nazwiska:

– ... owicz... owicz... grr... Romaldowicz.... owicz... owicz... grrr rrr...

– Ciekawe, jakim posługują się kluczem? – zwrócił się kapitan do porucznika.

Z cerkwi wywołano dwudziestu, z dolnej przycy pięciu, z szóstego piętra dziesięciu, z budynku A dwóch. Niealfabetycznie.

– No tak – przytaknął porucznik. – No tak.... cholera ich wie. Nie ma w tym logiki. Chodźmy ich pożegnać. Dam mojemu przyjacielowi, porucznikowi G list do żony, może uda mu się ten list przemycić.

* * *

A oni, ci szczęśliwcy z pierwszego transportu, wychodzą z budynków, z cerkwi. Stają w szeregu. Jest ich sześćdziesięciu trzech, różnych zawodów i stopni.

Okrzyki. Uściski rąk. Saluty.

Elegancy, ogoleni, rażnym marszem czwórkami idą w stronę bramy.

Na wieżach wartowniczych wycelowane karabiny.

– Niech celują. Jedziemy do wolności.

Podstawione samochody ciężarowe. Wokół uzbrojeni enkawudziści. Zachowują się chamsko. Wrzeszczą. Popychają kolbami.

– Dawaj! Dawaj!

Oficerowie są zdziwieni. W dniu wyjazdu na terenie obozu zapanował istny Wersal. „Obsługa” grzeczna w czasie posiłku, szczepienia, sprawdzania, „otczestwa”.

Tu, za bramą, dzicz – poniżanie.

Kierują się do stacji Kozielsk. Wchodzą do wagonów.

Upchnięci jak sardynki.

Trzynastu w jednym przedziale. Okna zabite deskami.

– Pić... Śledzie... Nie ma wody...

– Czynności fizjologiczne?

– Nie lzja. Mołczati.

Czerwone, groźne twarze. Połyskują lufy. Stukot kół.

– Dokąd jedziemy? Poruczniku?

– Dokąd?

- Jezu Chryste!
- Zdrowaś Maryjo...
- Mołczati!

Trzeba się przemęczyć. Już niedługo będziemy wolni. Uściskam córeczkę, ukochaną żonę, synka wezmę w ramiona – myśli porucznik G.

A jeśli do niemieckiego obozu? Zawsze lepiej niż tu. Tam obowiązuje konwencja genewska.

Myśli jak pszczoły, jak osy. Nieuporządkowane – pełne lęku, ale i nadziei.

Jadą i jadą, ściśnięci, o gardłach wyschniętych... Pić... Pić...

Po dwudziestu czterech godzinach pociąg staje. Stacja Gniezdowo.

Odryglowane drzwi. Spuszczona trampolina.

Wychodzą pojedynczo. Zdziwieni. Pełni lęku. Buntu.

Cofnąć się nie można... Przy trampolinie, z obu stron, szpaler enkawudzystów. Na lufach bagnety – wymierzone... w nich, wysiadających. Twarze czerwone, przeżarte alkoholem, groźne.

– Dawaj! Dawaj! – ryczy pułkownik o fioletowej przepitej twarzy. Małymi, świńskimi oczkami, z których zieje nienawiść, świdruje wysiadających oficerów.

Popychani w stronę furgonetki wchodzą, siadają na drewnianych ławach przytwierdzonych do ścian. Okna zamalowane na czarno. Nic nie widać.

– Dokąd? Dokąd nas wiozą ci bandyci?

– Jezu... Ratuj!

Las...

Huk wystrzałów osiada na koronach drzew.

Alicja Patey-Grabowska

Ojciec Autorki wyjechał do Lasu Katyńskiego w pierwszym transporcie 3 kwietnia 1940 r.

Opowiadanie oparte na relacji S. Świaniewicza i ks. Z. Peszkowskiego – jeńców z obozu Kozielsk.

Joanna Sendłak

Con fuoco

(fragment¹)

Kiedy Grażyna usnęła, Andrzej kończył pisać do niej list. Dwa dni wcześniej była sobota, poczuł się bardzo samotny. W tygodniu chodził na wykłady, uczestniczył w zajęciach odbywających się w szpitalu, pisał pracę naukową, jednym słowem jakoś się trzymał, ale w wolnym dniu poczuł się samotny jak uczestnik wyprawy na Nanga Parbat, który pomylił drogę i zabłądził w śnieżnej zamieci. Kiedy obudził się rano, z kuchni dochodziły głosy starsuszek, rozmowa mieszała się z oparami porannej kawy. Głucha starsuszka monotonna powtarzała kwestie, jej siostra o przenikliwym głosie, pełniła rolę suflera. Kiedy skończyły niedzielne śniadanie, rozeszły się do swoich pokojów na tyłach domu, wtedy Andrzej wstał dygocząc z zimna. Ostrożnie wystawił głowę na korytarz, zakradł się do kuchni i pośpiesznie wypił szklankę ciepłej kawy. Jak spędzi resztę dnia, nie miał pojęcia, ale zamiast pisać pracę w lodowatym pokoju, wyszedł na spacer rozgrzać się. Na ulicach było pustawo, szedł bez celu, żeby pozbyć się uczucia osamotnienia, lepkiego niczym płatki śniegu. Minął budynek Uniwersytetu i nie wiadomo kiedy, kierując się instynktem, niczym ptak lecący do gniazda, doszedł do budynku Musikvereinu.

– Chce pan bilet na generalną? – spytał ten sam osobnik, który już raz proponował mu bilety.

– Generalną?

– Bilety są tańsze niż na koncert.

– Na Toscaniniego²?

– Mam bilety na generalną 8 grudnia, najtańsze są na galerii, świetne miejsca, nie pożałuje pan – podkreślił z powagą znawcy, za którego próbował uchodzić.

– Ale na próbę...

1 Fragment niepublikowanej powieści biograficznej o kompozytorce Grażynie Bacewicz. Fragmenty oryginalnych listów z lat 1935-1936 podano kursywą.

2 Arturo Toacani, 1867-1957, włoski dyrygent. W latach 1898-1907 oraz 1920-1929 pozostawał kierownikiem muzycznym La Scali. Pracował także w Metropolitan Opera w Nowym Jorku, a w 1936 założył Orkiestrę Symfoniczną Radia Nowojorskiego.

– Brahms³, *Tragiczna uwertura, Serenada, Ein deutsches Requiem* z solistami, chórami, no oczywiście sam wielki Toscanini! Ma pan szczęście, rozchorował się mój stały klient, wielki meloman...

– Dobrze, biorę miejsce na galerii – powiedział stanowczo Andrzej, żeby przerwać potok słów. Schował bilet do kieszeni i od razu poczuł się lepiej, jakby znalazł ślad ludzkiej stopy odcisnięty na bezkresnej, białej równinie.

– Na teraz nie chce pan biletu na balkon? Trwa generalna...

– Dobrze, proszę także na teraz.

– Wiedziałem, że z panem robi się dobrze interesy – mruknął mężczyzna, dyskretnie podając bilet, po czym zniknął w tłumie.

Andrzej wszedł do filharmonii. Kiedy usiadł na balkonie, światło nieznacznie przygasło. Na estradę weszła orkiestra. Zrozumiał, że generalna niczym nie różniła się od koncertu. Orkiestra grała znakomicie, jednak wygórowane oczekiwania związane z wiedeńskimi muzykami sprawiły, że nie doznał wzruszenia, momentami, zamiast słuchać muzyki, myślał o Grażynie. Ile ta drobna dziewczyna miała w sobie siły, skoro bardziej wzruszył go majowy koncert w Warszawie, na którym grała *Partię na skrzypce i fortepian*, niż sami wielcy Filharmonicy Wiedeńscy! To okropne, że nie będzie jej widział przez dziewięć miesięcy! Przymknął oczy, próbował skupić się na muzyce, a kiedy zabrzmiały oklaski pomyślał, że musi natychmiast opisać Grażynie cały koncert. Zerwał się z miejsca, zbiegł na dół, przeciskał się przez tłum rozentuzjasmowanych melomanów, którzy nie mogli się nachwalić wykonania, w końcu wyszedł na dwór.

Powoli zapadł zmrok, droga do domu staruszek ciągnęła się w nieskończoność, kiedy zajął do kuchni, kobiety powitały go z matczyną serdecznością.

– Panie Andrzejku, musi pan koniecznie zjeść coś ciepłego.

– Coś mdłego? – oburzyła się głucha staruszka.

– Coś ciepłego!

– Nic nie jest mdłe, Karolek chwalił naszą kuchnię!

– Niech pan nie zwraca na nią uwagi, nie słyszy, więc zmyśla!

3 Johannes Brahms, 1833-1897, niemiecki kompozytor, pianista, dyrygent okresu romantyzmu. Autor m.in. 4 symfonii, 2 serenad, 2 uwertur, *Niemieckiego requiem, Tańców węgierskich* oraz koncertów fortepianowych, skrzypcowego, *Koncertu podwójnego* na skrzypce i wiolonczelę, a-moll op.102. Komponował również muzykę kameralną i fortepianową, pieśni oraz utwory organowe.

– Nigdy nie skarżył się, że coś jest mdłe! To bardzo kulturalny człowiek, mówił o panu w samych superlatywach.

– Obiad jest znakomity – powiedział Andrzej pochłaniając z apetytem szynele wiedeński z kluskami. Na deser dostał torcik czekoladowy i kawę.

– Ta osobka na zdjęciu u pana w pokoju to żona?

– Narzeczona, pobierzemy się po moim powrocie.

– O zgryzocie?

– Powrocie! Kiedy wróci do domu.

– Biedactwo ma teraz zgryzotę, pewnie bardzo tęskni za tak przystojnym kawalerem!

Andrzej rozłożył ramiona w geście bezradności, uklonił się dziękując za obiad i wrócił do siebie. Staruszki kręciły się po kuchni stukając naczyńiami, a on zabrał się do pisania listu:

Wiedeń, 25 listopad 1935 r.

Najdroższa Grażynko! Strasznie mi jest smutno i strasznie jestem samotny. Wczoraj w niedzielę nie wiedziałem co ze sobą zrobić – włóczyłem się po Wiedniu i gapilem się razem z różnymi obywatelami na rozmaite pomniki i budynki, ale guzik z tego. Gdybyś mogła chociaż na chwilkę być ze mną! Myślałem, że pierwsze dni będą najgorsze, a tymczasem z każdym dniem coraz mi gorzej i coraz bardziej za Tobą tęsknię.

Od jutra będę miał więcej roboty, może więc przyjdę trochę do siebie. [...]

Piszę po kilka stroniczek moją pracę, ale jeszcze daleko do końca. W Wiedniu będę na pewno do 15 grudnia, a może dłużej. Napisałem już do Fundacji o forszę, ale jakoś dotąd cicho, myślę jednak, że mi wyślą na czas.

Moja Droga Grażynko, kiedy my się zobaczymy? Co prawda każdy tydzień nas zbliża, ale jak to jeszcze strasznie długo. Musimy się kochanie pocieszać wzajemnie... Całuję Cię jeszcze serdeczniej niż w pierwszym liście i jeszcze mocniej i jeszcze dłużej.

Twój Dudus

Do pokoju Grażyny zajrzała Wanda. Siostra siedziała pochylona nad nutami, ze skupionym wyrazem twarzy, nieobecna duchem, jakby otoczona niewidzialną szybą, spoza której na zewnątrz nie wydobywały się żadne sygnały.

– Kochana, dochodzi trzecia nad ranem, nie możesz tyle pracować, Grażynko, zamęczysz się, wczoraj spałaś trzy godziny, dzisiaj to samo, a przecież rano masz koncert w szkole, o 8 rano!

– Już kończę, Wandziu, idź spać.

Głos Grażyny wydawał się przytłumiony, jakby machnęła słowami, żeby odgonić realność faktów. Tak naprawdę nie czuła zmęczenia, przeciwnie, ogarnęła ją pasja tworzenia, jeśli nie skończy utworu do rana, nie zdąży go przepisać na czysto do pierwszego grudnia, a wtedy mogłaby spóźnić się z wysłaniem partytury na konkurs. Nie chciała marnować czasu, skoro zaczęła pisać, jak najszybciej przeleje na papier brzmiące w umyśle dźwięki, w przeciwnym razie nigdy nie zaśnie. Może stary profesor Dobkiewicz miał rację, przestrzegając, żeby nauczyła się żyć w momentach, kiedy nie pisała muzyki, czasami miała wrażenie, że istniała tylko podczas komponowania. Wtedy nic nie przysłańało muzyki brzmiącej w umyśle. Czas biegł powoli, na papierze przybывało nut, odręcznie pisanych znaków, które przekształcone w dźwięk oboju, skrzypiec czy fortepianu stworzą skomplikowaną harmonię. Wcześniej napisała *Molto allegro* i *Andante* teraz kończyła *Vivo*. Odłożyła pióro, cofnęła się o kilka kartek do początku utworu. Usłyszała wstęp oboju, który sunął wolno oparty na dwóch trójdźwiękach molowych c i g, brzmienie przypominało orientalny klimat Debussyego⁴, Ravela⁵ czy Szymanowskiego. Lubiła Ravela, ale zawsze szła o krok dalej, nie mogło być lepszego sposobu na poznanie muzyki, niż jej przetrwanie, budowanie zaskakującego zestawienia. *Andante* było romantyczne w sposobie prowadzenia kantyleny oboju, ale ożywiła je quasi-ostinatowymi figurami w skrzypcach i wiolonczeli. Za to *Vivo* okazało się zawiadackie niemal brawurowe. Wróciła do *Finału*, pisała jeszcze przez godzinę. W końcu postawiła ostatnią nutę. Poczowała radość. Zamknęła fortepian, schowała nuty i podeszła do okna. Po ulicy wolno jechał wóz z węglem ciągnięty przez chudego konia, kopyta kłapały o bruk. Od wschodu przejaśniało się. Pomyślała, że dla takich chwil warto żyć, dla uczucia szczęścia, które odczuwała po napisaniu nowego utworu, jakby zrzuciła ciężar, unosiła się nad ziemią niczym muzyczna fraza. Dopiero teraz poczuła senność, położyła się w ubraniu na wąskim tapczanie, a kiedy otworzyła oczy, dochodziła siódma rano.

Dzień upłynął szybko, na audycji szkolnej pomimo zmęczenia grała dobrze, próby orkiestry w Radio przebiegły spokojnie, a kiedy wróciła

4 Claude Debussy, 1862-1918, francuski kompozytor, przedstawiciel impresjonizmu muzycznego. Autor utworów orkiestrowych m.in. „Popołudnia fauna”, „La Mer”, miniatur fortepianowych, form wokalnych, utworów kameralnych.

5 Maurice Ravel, 1875-1937, francuski kompozytor i pianista, jeden z przedstawicieli impresjonizmu. Autor pieśni, utworów fortepianowych oraz orkiestrowych, m.in. *Bolera*.

do domu zabrała się do przepisywania *Tria*. Wysłała je następnego dnia, kiedy stała w kolejce na pocztę, poczuła satysfakcję ze skończenia trudnej pracy. „Co będzie to będzie” – mruknęła do siebie, nakleiła znaczki i wrzuciła kopertę do skrzynki na listy, którą popukała z przyzwyczajenia, jak zwykle robiła matka i Wanda, żeby upewnić się, czy list opadł na dno, czy zostanie wyjęty z pozostałą korespondencją. Potem wybiegła z poczty. Przez cały dzień, kiedy grała w orkiestrze, kupowała znaczki, rozmawiała z ludźmi, czuła obecność Andrzeja, jakby za chwilę miała spotkać go na ulicy. I chociaż wiedziała, że to niemożliwe, wracając do domu rozglądała się uważnie, czy nie zobaczy go w tłumie na Marszałkowskiej, stojącego przed wystawą księgarni na Wilczej, albo na Mokotowskiej, obok cukierni, gdzie pili kawę i jedli rurki z kremem. Jednak nigdzie go nie było, więc wróciła do mieszkania. Jakim cudem wytrzyma całe trzysta pięć dni, które dzieliły ich od spotkania?

– Przyszedł list do Ciebie, Grażynko – powiedziała Wanda i podała siostrze kopertę z wiedeńskimi stemplami.

Rozdarła papier smukłymi palcami, jak iluzjonista chowający w rękawie karty.

– Co pisze?

Wanda obserwowała siostrę ze współczuciem. Od kiedy Andrzej wyjechał, Grażyna pobałdła, jadła coraz mniej, czyli prawie nic. Nie spała kilka nocy pod rząd, aż jej oczy zaczerwieniły się od przepisywania nut w półmroku.

– Biedak, ma zimno w pokoju! Dużo czasu spędza na wykładach i ciągle pisze pracę na konkurs medyczny. Jestem pewna, że wygra!

– Ty też wygrasz konkurs na *Trio*, mam dobre przeczucia!

– Całe szczęście, że są te konkursy, chociaż nie liczę na nic, to jednak napisane i już. Gdyby nie było tego przymusu, nigdy nie zdobyłabym się na taki wysiłek! – zaśmiała się Grażyna.

Wanda nałożyła na talerze ziemniaki z kawałeczkiem kotleta, który został z wczorajszego obiadu. Żadna z nich nie zdążyła dziś zrobić zakupów, a matka poszła z wizytą do kuzynek.

– Zaraz biegnę na koncert, Eugenia się rozchorowała, zastępuję ją.

– Dlaczego właśnie ty?

– W ostatniej chwili nikogo nie znaleźli.

– Przepracowujesz się, siostrzyczko!

– Wolę pracować, niż tęsknić.

– Zjedz chociaż obiad, bo napiszę Andrzejowi, że o sobie nie dbasz!

– Daj spokój, Wan, nie zwracaj mu głowy głupstwami! Lecę, w przezwie naskrobię kilka słów. Jak Twoje sercowe podboje?

– Ciągle nic, chociaż mam wrażenie, że chodzi za mną pewien kolega z biura, żonaty oczywiście.

– Uważaj, Wan, nawet nie zdajesz sobie sprawy jak bardzo jesteś atrakcyjna!

– Przestań, Grażynko, nie żartuj ze mnie! – rzuciła Wanda i zabrała się do zmywania naczyń. Kiedy skończyła, usłyszała stuknięcie wyjściowych drzwi, w oknie wychodzącym na ulicę zobaczyła biegnącą siostrę. Futerał na skrzypce odbił światło ulicznej latarni, blask zniknął w ciemności.

Kiedy byli dziećmi, stale biegali na jakieś koncerty, Grażyna ze skrzypcami, Kiejstut z wiolonczelą, Witek akompaniował im na fortepianie, tylko Wanda zamykała się w komórce na węgiel, albo chowała pod stołem, bez przerwy czytała, wszystko, co wpadło jej w ręce: poezje, powieści, nowelki, zatopiona w dźwiękach muzyki granej przez rodzeństwo. Owszem, kochała muzykę, ale wysiłek, który wkładała, żeby nauczyć się czegokolwiek, był bez porównania większy niż reszty rodzeństwa. Biedna, mała Wandzia patrzyła na rodzeństwo z podziwem, jakby tylko oni zasługiwali na uwagę ojca, podczas gdy ona, niezdolna muzycznie, stała się kimś nieistniejącym, niemal przezrystym, ledwo uchwytnym podobnie jak rym wiersza, światło słoneczne, albo zapach wiosny. Kiedy ojciec cichym głosem pytał, gdzie jest Wanda, zawsze mogła liczyć na siostrę. Grażyna broniła jej w każdej sytuacji. Stała się najbliższą jej osobą, gdyby ktokolwiek próbował ją skrzywdzić, miałby z nią do czynienia! Wanda oderwała wzrok od okna i zabrała się do przepisywania tekstu, który miała zredagować na jutro do pracy. Pisała na rozklekotanej maszynie do pisania, która głośno terkotała klawiszami. Gdyby grała na fortepianie tak dobrze jak pisała na maszynie, zostałaby wirtuozem. Może, kiedy zaczniesz uczyć się śpiewu, dorówna pozostałym?

Następnego dnia wieczorem, po porannych próbach orkiestry radiowej oraz popołudniowym graniu w Kwartecie, Grażyna wpadła na chwilę do domu. Jak zwykle zastała Wandę pochyloną nad maszyną do pisania.

– Czy ty zawsze musisz brać pracę do domu?

– Sama dużo pracujesz, nie zamierzam próżnować – oświadczyła Wanda i kątem oka obserwowała siostrę, która jadła coś prosto z garnka, popiła zimną herbatą, przebrała się w koncertową suknię, chwyciła skrzypce i wybiegła z domu.

– Kiedy wracasz? – zawołała za nią, ale zamiast odpowiedzi usłyszała klekot obcasów na schodach i trzaśnięcie wyjściowych drzwi.

Samochód, który został wysłany specjalnie po Grażynę zatrzymał się wprost przed wejściem do Resursy Obywatelskiej. Wbiegła do środka i natychmiast wpadła na organizatora. Łysy jegomość zaprowadził ją do ciasnego pokoiku dla artystów.

– Pani Grażynko, publiczność jest wspaniała, warszawskie elity, ministrowie z żonami, zależy nam, żeby byli zadowoleni występu.

– Myślałam, że będzie zwykła publiczność.

– Nikt Pani nie uprzedził, że będą ministrowie?

– Nie.

– Szkoda, pewnie ubrałaby się pani bardziej wieczorowo...

– Jestem dobrze ubrana, w Paryżu panuje taka moda, a jeśli dla ministrów Paryż to prowincja...

– Po koncercie minister chciałby widzieć panią na bankiecie.

– Niestety nie mam czasu.

Do pokoju zajrzał mężczyzna z kozią bródką.

– Proszę się pospieszyć, pani kolej – wskazał wyjście na estradę.

Grażyna zerwała się, prawie zderzyła ze śpiewakiem, który właśnie schodził z estrady, a gdy stanęła przed publicznością usłyszała oklaski. Ukłoniła się, podniosła skrzypce, mrugnęła porozumiewawczo do Jerzego Lefeldy, akompaniującego na fortepianie i zaczęła grać. Kiedy skończyła występ, szybko pobiegła do pokoiku, gdzie czekał już krytyk muzyczny, wysoki szczupły mężczyzna o profilu drapieżnego ptaka.

– Znakomicie, pani Grażynko, cudownie, jest pani jedyną kobietą kompozytorem i skrzypaczką w środowisku mężczyzn, a na dodatek tak piękną osobką, wśród innych kompozytorów lśni pani wprost cudownie!

– Łatwo wam, mężczyznom mówić różne głupstwa, co z tego, że jestem kobietą? Nawet nie przyszło wam do głowy, żeby mi jakoś pomóc!

– Pomóc? Chodzi o pomoc duchową?

Grażyna schowała skrzypce do futerału i zaśmiała mu się prosto w nos.

– Wy pomożecie mi duchowo? Ależ skąd! Nie o tym mówię, to wstyd, żebym tyle lat musiała czekać na zagranie moich orkiestrowych kompozycji!

– Nie rozumiem, przecież Fitelberg⁶ był zachwycony Pani *Karykaturami*.

6 Grzegorz Fitelberg, 1879-1953, polski dyrygent, kompozytor, skrzypek. W latach 1934-1939 zorganizował i prowadził Orkiestrę Symfoniczną Polskiego Radia w Warszawie. Prowadził koncerty radiowe, publiczne w Warszawie oraz w Krakowie (koncerty na Wawelu, a w 1937 na Wystawie Światowej w Paryżu orkiestra zdobyła złoty medal).

– Więc niech pan sam spyta Fitelberga dlaczego mnie nie gra! – Grażyna chwyciła płaszcz, szybko podeszła do drzwi. Otworzyła je zamasyście, na korytarzu zderzyła się z organizatorem koncertu.

– Już pani wychodzi? A minister?

– Nie mogę zostać, absolutnie nie, jestem zmęczona, rozumie pan? Ledwo trzymam się na nogach!

– Ależ minister czeka, bankiet...

– Żegnam pana.

Grażyna wyminęła go i wybiegła na ulicę. Kierowca na jej widok otworzył drzwi.

– Na Mokotowską, proszę – rzuciła szybko i ruszyli. Co pewien czas przystawali na skrzyżowaniach, kierowca włączył wycieraczki, bo zaczął padać śnieg. Grażyna skuliła się na tylnym siedzeniu, jakby znowu stała się dziewczynką i nic, ani nikt nie był w stanie jej pomóc. Co robił Duduś? Powinien siedzieć obok niej, trzymać za rękę, wtedy świat stałby się bezpieczny, nie musiałaby tłumić łez, które płynęły do oczu. Pociągnęła nosem i zrozumiała, że płacze. Bezgłośnie, cicho, w ciemnym samochodzie, zupełnie osamotniona.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział kierowca.

– Dobranoc.

Jakoś wygramoliła się z wozu.

Deszcz stawał się coraz mocniejszy, przeskakiwała kałuże przyciskając do siebie futerał ze skrzypcami, wbiegła po schodach i otworzyła drzwi do mieszkania. W środku było ciemno, obydwie panie dawno już spały. Zrzuciła buty, boso, żeby nie hałasować, zakradła się do swojego pokoju. Zdjęła koncertową suknię, starannie rozprostowała ją na oparciu krzesła. Umyje się rano, teraz nie miała siły się ruszyć. Kiedy zasypiała, czuła w gardle smutek.

Joanna Sendłak

Przekłady Anny Bańkowskiej

Hilaire Belloc

Tygrys

Tygrys potrafi być przymilny,
Jak mały kotek krotochwilny;
Jest świetnym dzieci towarzyszem,
W zabawie też się dobrze spisze.
Każda mateczka licznej gromadki,
Co głowę ma nie do pozłoty,
Przyzna, że tygrys dobrze odpłaca
Wydatki i różne kłopoty.

Hilaire Belloc ur. 27 lipca 1870 w La Celle koło Paryża, zm. 16 lipca 1953 w Guildford) – pisarz angielski pochodzenia francuskiego, przedstawiciel nurtu katolickiego w literaturze angielskiej.

Z wykształcenia był historykiem. Przyjaźnił się z Gilbertem Chestertonem, z którym wspólnie publikował i występował przeciwko m.in. George'owi Bernardowi Shawowi i Herbertowi Wellsowi. Najprawdopodobniej przyczynił się do konwersji Chestertona na katolicyzm. Jego poglądy były uznawane za kontrowersyjne. Był krytycznie nastawiony do idei zarówno kapitalistycznych, jak i socjalistycznych, odrodzenie współczesnego mu społeczeństwa widział w powrocie do katolicyzmu i myśli średniowiecznej. Był jednym z twórców dystrybucjonizmu.

Był autorem 153 książek, m.in. szkiców podróżniczych (*The Path to Rome*, 1902, powieść autobiograficzna), powieści politycznych (*Emmanuel Burden*, 1904; *A Change in the Cabinet*, 1909). Pisał do pism historyczno-politycznych o kierunku nacjonalistyczno-katolickim. Był autorem książek biograficznych dotyczących m.in.: Dantona, Robespierre'a, Napoleona, Cromwella, Joanny D'Arc oraz Richelieu.

Do zbiorów jego poezji należą: *The Bad Child's Book of Beasts* (1896) oraz *Collected Poems* (1924). Był też autorem satyr.

Jerzy Liebert

Pan Bóg i bąki

Pan Bóg jest dzieckiem małym, które dla zabawy
Słodki kwiat koniczyny ukrywa wśród trawy,

Z obłoków na nią bąki furkocące strąca,
By w kwiatkach brzuszki skryły od wielkiego słońca.

Gdy później bąki ciężko poruszają głową,
Płaczą nogi od miodu i fruwać nie mogą,

I spoglądają w niebo z wyrzutem i gniewem,
Bóg chytrze się uśmiecha, że o niczym nie wie.

God and Bumblebees

God is a fickle, harum-scarum child,
Who sweet red clover in tall grasses hides,

Then down from heaven He throws bumblebees,
So their bellies have shelter from sun and great heat.

Later the bees are heavy and full of sweet drink,
They can't fly, stumble slowly, and in the grass sink,

So they glare up, reproachful, blaming God for all,
But He only smiles slyly – pretends not to know.

Translation by Anna Bańkowska

Jerzy Liebert (ur. 24 lipca 1904 w Częstochowie, zm. 19 czerwca 1931 r. w Warszawie) – polski poeta okresu międzywojennego. Autor wierszy o tematyce religijnej i filozoficznej. Jego twórczość cechuje zmysłowa wrażliwość, połączona z inspirowaną katolicyzmem refleksją religijną. Obsesyjnie powraca w niej motyw przemijania i śmierci.

Przekłady Danuty Cirlić-Straszyńskiej

Slobodan Novak

Obudzenie przy wieczornych dzwonach

W manierze dziedzicznej

Nic, nic... tylko znowu unosi mnie *bonaca*¹ w letnim morzu o wrześniowym zmierzchu. Jak w gęstym syropie, w martwym wyciszeniu, na krawędzi ciemnego odbicia naszego wielkiego lasu, który jest... ach, no przecież, nic, nic... ale był nasz, i już dawno nie jest. Mój stary został wywłaszczony, gdy go zabili... albo zabity, żeby go wywłaszczyli, wszystko jedno. Ja ten las jeszcze nazywam naszym... tak tylko...

Ledwie dotykając napiętej błony na powierzchni morza, przed moją twarzą dumnie żeglują drobne ziarnko dmuchawca. Rozwinęło rozkosznie kulkę swego puszystego białego żagla, spinakera, a różowa kula Słońca za moją głową, zatknięta w zębatym kamiennym gruncie, rozpałała się jak nuklearny piec, tak że skały poniżej muru i krystaliczne prostopadłościany wież nad miastem żarzą się przede mną jak terakota.

Podmiejska zielona wysepka powoli ciemnieje, drząc o zmierzchu; kiedyś tylko rozłożyste posłanie ze spieczonej trawy dla kochanków, brunatna jak kocie futro, teraz jest porośnięta bujnym lasem, zielononiebieskim o zachodzie słońca... A kilku nadmorskim drzewom bezdusznie poobcinano gałęzie, żeby z Kanału była widoczna mała latarnia na wysepce.

Wydłużona wyspa podchodząca ku nam od południowego horyzontu, kiedyś wapiennie biała, teraz też zarosła aż do morza i czernieje w oddali. Za krzakami nie widać naszych boksytowych klifów, do których pływaliśmy, wiosłując, starą krypą *barba*² Turoga, bez pozwolenia, bo przebywał nie tutaj, ale gdzieś tam, w jakiejś mieścinie koło Zagrzebia... która nazywała się, myślę, jakoś tak od stękania... albo od kamieniołomu... o, Stę kac z, po naszymu Stenjavac... Tam właśnie od czasu do czasu wyjeżdżał jako kucharz, kiedy dopadał go obłęd: siadał na głównym ołtarzu i wygłaszał kazania, albo rozbierał do naga pijanych żandarmów. Jego *szjora*³ Celestyna mówiła, że jeździ tam „w charakterze”, czyli chyba w jakiejś ważnej misji

1 Z wł. *bonaccia* – cisza morska.

2 Z wł. *barba* – broda; tak zwraca się do starszego mężczyzny; tyle co wujek, dziadek.

3 Z wł. *signora* – pani, tu: żona.

itepe, a zresztą cojawiem. Ani nam w głowie nie powstało prosić go o łódkę, nawet nie wiadomo, czyby ją dał, tę krypę!

Nazywała się NIE RUSZ, było to widać tylko w lusterku na rufie: 17 RB NIE RUSZ. A z boku za dziobem, na burcie, gdzie zwykle umieszcza się imię nadane łodzi, pozostało ledwie parę wyszczerbionych liter. Równe dno na zewnątrz niebywale obrosło kosmykami, jak brodata wiedźma, baba Viszczona. Wzięliśmy łódkę jak swoją, odwiązali, wylaliśmy wodę czerpakiem i powiosłowali aż za cypel białej wyspy. Po drodze złamało się nam wiosło, z trudem wiosłowaliśmy deską od podłogi i najcieńszym drążkiem, trochę kucając, a trochę kłęcząc, gniotąc przy tym kolana... i wszystko inne. To tyle, różnie z tym bywało.

Jeszcze dalej na południe nawet nie widać całej tej niezmierzonej diabelnej wyspy, tylko jej szaroniebieskie wydłużone ramię, z cyplem jako wejściem, kiedy się wpływa tu do nas przez zatokę Kvarnerić. W prawo na zachód była kiedyś błękitna Italia, tak zwany Cresiloszinj⁴ z łańcuszkiem drobnych nocnych świateł, które iskrząc się, migały we włoskim mroku jak planktonowe świetliki na niespokojnej powierzchni.

A teraz, nagle, jakby już nic nie było nasze prócz tej dalekiej Italii, to znaczy... myślę przede wszystkim o tym tutaj pięknym lesie, który pochylił się nade mną, a już nie jest nasz, i przegląda się w szklanej tafli. Po jej ciemnej krawędzi ledwie płynę, co więcej, płynę po babsku, żabką, właściwie morze mnie niesie. Wszyscy wiemy, że była tu naga skała, którą mój stary dawno temu... na swój koszt... tak, tak, moi państwo...

Później zaprowadził mnie między małe sosenki i mówił do swojego młodszego brata, odsuwając miękkie, jasne igielki... mówił, że jego mały, to znaczy ja, ma już dziesięć lat... a w przybliżeniu tyle samo będą miały te małe sosny sprzed dziesięciu lat, kiedy je tu kazał zasadzić. I co teraz widzisz, masz je, patrz no, jednakie są jak jajka, i one, i on. Na wysokość... i na rozum, *si capisce*⁵. *No ben*⁶, *ajde*⁷, a jedne są mu teraz, że tak powiem, *apena*⁸ do ramienia – tak łobuz wyrósł, e... a inne, większość, juści są, *osztija*⁹, wyższe od niego, patrzcie na nie, *orko bota*¹⁰! A wszystkie bez wody,

4 Cres i Loszinj – nazwy dwóch wysp w pobliżu Rabu.

5 Z wł.: rozumie się.

6 Z wł. *bene* – dobrze.

7 Z tur.: chodźmy, no dalej.

8 Z wł. *appena* – ledwie.

9 Z wł. *ostia* – ofiara, hostia; na wyspach i wybrzeżu słówko często wtrącane, w różnych znaczeniach.

10 Z wł. – lekkie przekleństwo.

notabene. Bo skąd by diabelna woda na tym kamieniu! Nie ma deszczu ani rosy, ani... rozumiesz ty... pies by się tu nie wysikał. *Inszoma*¹¹, będzie to straszny las, gęstszy i mocniejszy od gminnego. *Te digo mi*¹². Ja ci to mówię, zobaczysz!

Teraz te sosny to osiemdziesięciolatki, z twardymi igiełkami, ze spękaną korą, z mnóstwem suchych szyszek, zmęczone już i przygięte, ze splątanymi gałęziami wiszą nad morzem jak ciemnozielone spleśniałe kolumny z czarnymi dziurami mroku u podnóża, pochylone nad taflą mroczonejącego lustra, a na czubkach rozżarzone połową słonecznego koła, które tonie.

Jak zwykle, wydało mi się w samotności, jakbym coś do siebie nieświadomie szeptał, poruszając kończynami w głębinie, sapiąc i wypluwając słoną pianę. Właściwie nie wiedziałem, że coś szepczę, a co dopiero – o czym. Aż do momentu, kiedy z dzwonnicy rozległa się zapowiedź błogosławieństwa, wieczorne Ave Maria. Dopiero wtedy z drżącego, chropawego gardła, chcąc przekrzyczeć zdrowaśki, wycisnąłem świadomie, z tą słoną płwociną, do siebie i wszystkich... do dzwonnicy, miasta, kamieni, lasów, wysp... niemal radośnie zawołałem: Ależ to wszystko jest moje, o matko! Wszystko to! Wszystko!

Miasto przygniotło olbrzymie skały pod sobą, a one niby odwieczna wilgoć wynurzają się z morza, wypychając wżwyż mury i stary klasztor, zarumienione jak dopiero przygasły żar. Odrobina złota wyziera jeszcze na krwawej zachodniej przełęczy w bawelnianych klejnotach cirrostratusa. O zmierzchu nierzeczywiste staje się wszystko prócz mojego gorączkowego szeptu.

Poddając się prądowi, by niósł mnie do Wielkiej Groty, nadal z samozarciem, ale już świadomie powtarzam szeptem: Na świecie jedynie to jest całkiem moje! Wgramoliłem się na czworakach na wierzchołek skały, skąd skaczą na głowę tylko najodważniejsi, i zawołałem w duchu uszczęśliwiony, wprawdzie nie rozkładając rąk jak ten wysoki w Rio de Janeiro, ale za to z płucami nadętymi słonecznym ogniem i szkodliwą żywicą: Wszystkie te szczeliny! Sosny! Wyspy! Morze! Wszystkie te krypy i charakterystyczne charaktery! Wszystkie *lanterny*¹³! Dzwony! Cresiloszinj! Zabijcie mnie, wywłaszczcie – są jednak moje!

11 Z wł. *insomma* – krótko mówiąc.

12 Z wł.: Ja ci mówię!

13 Z wł. *lanterna* – latarnia.

Tam na otwartym morzu, w połowie zatoki *bielejet parus adinokij*¹⁴!
On też jest mój! On też!

Kiedy umilkły dzwony, wszystko jakby pojaśniało. Dwa razy zaskrzy-
piał tylko ostatni dzisiaj świerszcz... czknął kos... W tym wszystkim ży-
łem, używałem, odziedziczyłem to. ODZIEDZICZYŁEM!

A natrętnie rybitwy, latające nade mną żarłocznie jak nad padliną, to
tylko prawniki moich dawnych, białych, swojskich mew.

Tonko Maroević

Pytania z powodu pływania

(fragment)

Nieposkromiona liryczna natura Slobodana Novaka, choćby nie wiem jak przytłoczona prozą życia i dramatyzmem egzystencji, zawsze wypływa na powierzchnię. Tak ma się rzecz w nowym niewielkim tryptyku literac-
kim¹⁵, powstałym po wydaniu jego dzieł zebranych. Zanurzenie w morzu i zetknięcie z rodzinnym krajobrazem wywołuje reakcje emocjonalne, których na pierwszy rzut oka nie można nazwać inaczej, jak lirycznymi. Mowa tu o introspekcyjnym, osobistym przeżyciu, o zanurzeniu w bliskiej pisarzowi okolicy i w intymnej atmosferze znanej zatoki. Novak potrafi to ogarnąć i wyrazić, uruchamiając wszystkie zmysły, jakimi rozporządza, i trafnie wychwytyjąc odbierane bodźce. Jeszcze trafniej rytmizuje złożoną całość uprzywilejowanej chwili, sugestywnie opisując zjawisko unoszenia się na powierzchni morza. Nie można tego określić inaczej, jak tylko tak, że pisarz posłużył się metaforą własnej skóry, że swoją substancję cielesną zespolił z morzem, niemal utożsamił się ze światłem i z ciepłem, przejrzystością i chłodem, nurtem i głębią albo z siłą i mocą żywiołu, który go otacza. Proza Novaka – te na oko bezpretensjonalne szkice czy

14 *Bieleje żagiel samotny* – początek wiersza *Żagiel* Michaiła J. Lermontowa.

15 Mowa o ostatniej książce Slobodana Novaka *Tryptyk o morzu*, do której – prócz zamieszczonego tu opowiadania – wchodzi dwa pozostałe.

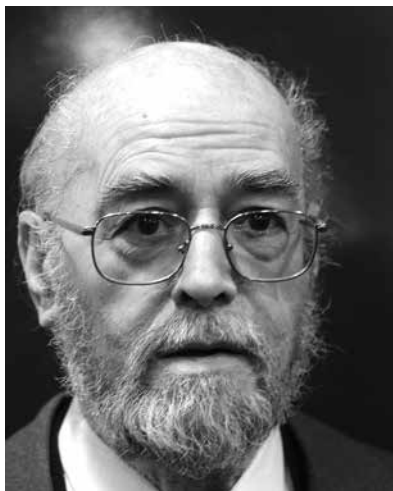
kontemplacyjne obrazki, przyswajające uniwersum – to hymn pochwalny na cześć stron rodzinnych, niemal testamentarny obrachunek z pięknem i grozą istnienia.

Oczywiście, jak to u niego, zagrażający w takiej sytuacji patos wyciszają tony kpiarskie, autoironiczne. Mistrzostwo literackie przejawia się w żywej kolokwialności i zaskakującej rozpiętości asocjacji.

Unoszenie się na powierzchni morza, częściowo bezwolne, częściowo hedonistyczne, nie sprowadza się do pustego ludycznego przeżycia, nie zamienia się w jałową grę słów. Już na początku pierwszej opowieści *Obudzenie przy wieczornych dzwonach* (który skądinąd pokrywa się z ostatnim słowem całości tryptyku, brzmi bowiem *Nic, nic*) daje o sobie znać motyw tragicznej rzeczywistości, następuje przywołanie bolesnego czasu, ciężkiej traumy historycznej: „(płynę) na krawędzi ciemnego odbicia naszego wielkiego lasu, który jest... ach, no przecież... nic, nic... ale był nasz i już dawno nie jest. Mój stary został wywłaszczony, gdy go zabili... albo zabity, żeby go wywłaszczyli, wszystko jedno. Ja ten las jeszcze nazywam naszym... tak tylko...”. Znamienne jest użycie na samym wstępie określenia „W manierze dziedzicznej”, ponieważ w gruncie rzeczy spotykamy się tu ze swego rodzaju rozprawą o dziedziczeniu. Ostrożny i skłonny do autoironii autor niby to czyni aluzję do własnej manieri, wyrzuca sobie, że pozostaje w kręgu obsesyjnych motywów, chociaż nie można wątpić, że narrator, że podmiot opowieści to autentyczny spadkobierca. Tu pozwolimy sobie dodać żartobliwie, że jako podmiot liryczny pisarz idealnie odziedziczył ducha „utraconych stron rodzinnych” i zyskał pełne prawo uczestnictwa w przestrzeni, w mikrokosmosie, w którym „żył, używał i przeżył” swoje najważniejsze godziny, dni i lata.

Unoszenie się na powierzchni morza oznacza nie tylko zwracanie się ku słońcu i gwiazdzystemu niebu, lecz także odwracanie się plecami od mrocznej głębi, od wyzwania i przyciągania dna. Człowiek jest rozdarty albo ukrzyżowany pomiędzy tymi skrajnościami. W swojej niewielkiej liryczno-medytacyjnej prozie Slobodan Novak poruszył moralistyczne struny, a wplatając w poetycką wizję stron rodzinnych dramatyczne problemy, stworzył dzieło niezwykle piękne i skończone.

NOTA



Fot. wg www.alchetron.com/Slobodan-Novak-294337-W

Slobodan Novak, prozaik, poeta, dramatopisarz, urodził się 3 listopada 1924 r. w Splicie, a wyrastał na pobliskiej wyspie Rab. Debiutował wierszami ogłaszanymi w wojennej gazecie ściennej szpitala w bośniackim Glamocz (1943), a następnie w Bari (1944). W 1949 r. opublikował poemat *Četa* (Oddział), a z początkiem lat pięćdziesiątych ukazały się jego opowiadania, wśród nich znana także w polskim przekładzie Aliji Dukanovicia (1971) słynna *Badessa madre Antonia*.

Krótką powieść *Izgubljeni zavičaj* (1955, wyd. pol. *Już nie u siebie*, 1990), poświęconą dzieciństwu i latom wczesnej młodości spędzonym na Rabie,

zwróciła uwagę na twórczość tego dojrzałego już i oryginalnego prozaika. W opowieściach ze zbioru *Tvrđi grad* (1961, Twarde miasto) na tle poetyckich obrazów o bogatej warstwie medytacyjno-filozoficznej ukazał ludzi zbuntowanych przeciw istniejącej rzeczywistości; do tego tomu została również włączona krótka powieść o tematyce wojennej *Dolutali metak* (Zabłąkany pocisk). Slobodan Novak opublikował także inne tomy opowiadań, jak choćby *Jużne misli* (1990, Myśli z południa) i *Moje univerzijade* (2004).

W powieści *Mirra, kadzidło i złoto* (1968, wyd. pol. 1971), którą uważa się za jedno z najwybitniejszych dzieł współczesnej literatury chorwackiej, i nie tylko chorwackiej, autor potrafił przedstawić sprawy najważniejsze dla naszych czasów. Tryptyk nowelistyczny pod wymownym tytułem *Dziennik pozapokładowy* (1976, wyd. pol. 1979) także wyraża wątpliwości egzystencjalne, trwale obecne w prozie tego pisarza, a radykalizowane ironią i autoironią. Trzy podróże z wyspy na ląd i z powrotem stanowią ramę dla obrachunku z kolektywnymi mitami i własnymi złudzeniami autora.

Powieść *Pogodzenie* (wyd. pol. 2006) jest w pewnym sensie kontynuacją *Mirry, kadzidła i złota* oraz końcową fazą historii narratora tej prozy, jego

podróży rozpoczętej w opowiadaniu *Badessa madre Antonia* i powieści *Już nie u siebie*.

Proza Slobodana Novaka to integralna i spójna przypowieść o problemach współżycia człowieka posiadającego własne ideały ze społeczeństwem, a jej cechy charakterystyczne to autobiograficzność, „wyspiarskość”, medyteranizm, ironia, kpina, czarny a przy tym cięty humor, refleksyjność i wieloznaczność. Rozmowę rzekę z Jeleną Hekman – łączącą fragmenty autobiograficzne z żywą analizą chorwackiej sceny polityczno-kulturalnej w drugiej połowie XX wieku – pisarz rozszerzył, przepracował i opublikował w wydaniu książkowym pt. *Protimbe* (2004, Przeciwiństwo).

Powieści *Mirra, kadzidło i złoto* oraz *Już nie u siebie* zostały zekranizowane, a *Mirra, kadzidło i złoto* cieszyła się powodzeniem na scenie Teatru ITD w Zagrzebiu.

Twórczość Slobodana Novaka stanowi szczytowe osiągnięcie współczesnej prozy chorwackiej. W *Tryptyku o morzu* raz jeszcze, po swojemu, rozliczył się z sobą i ze współczesną rzeczywistością; tę książkę można uznać za pożegnanie z tym, co najbardziej ukochał i opisał najpiękniej: ze stronami rodzinnymi i Adriatykiem.

Slobodan Novak zmarł w Zagrzebiu 25 lipca 2016 roku. Literatura chorwacka, Jego czytelnicy i przyjaciele ponieśli olbrzymią stratę. Pozostała na wyspie Rab słoneczna gajarda na wysokiej, mocnej skale. Ze starymi murami, Jego dom i pomnik.

Danuta Cirić-Straszyńska

Grzegorza Łatuszyńskiego
przekłady młodej poezji czarnogórskiej

Gojko Božović

1972

Odmiana

Bez rekwizytów podręcznych,
Bez szczególnego zdecydowania,
Z niechęcią, do jakiej usposabiają
Sprawy tego świata,
Przeszedłem z jednego narożnika w drugi.
Jakbym się znalazł w innej
Opowieści i jakbym opowiedział
Książkę. Wiernie. Mówię
Wiernie, a chciałem powiedzieć
Z wiarą. To jest ta odmiana.

Imiona rzeczy

Kiedy w grę wchodzi królestwo
Wszędzie jest Zachód
I wszystkie granice są wschodnie

Historia przemówiła
Pełnym głosem
Nikt jej nie położył palca na ustach
Mówiąc „Pst”

Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam:
Jakże radośnie wszyscy historię powitali
Jakże wszyscy zapomnieli o królestwie
I o historii królów

Z historii
 Nikt nie powrócił
 Zawsze wraca historia
 Sama z siebie

Nikt nie powrócił z historii
 Żeby na nowo sylabizować imiona rzeczy
 Z którymi długo się nie stykamy
 A jedynie one istnieją

Świat jest mały

Świat przez wieki wciąż się zmniejszał.
 A teraz jest, co jest. Świat stał się mały.
 Wszedł w siebie. W swoje zło. Ale
 Z drugiej strony nie dociera pieśń.
 Nie ma już wielkich tematów. Istoty
 Ludzkie istnieją po to tylko, żeby szczeznąć.
 A kwiaty ogląda tylko ten, co je
 Zrywa. Nie ma już imion i znak nie jest
 Już niemy. I żyję w pocie czoła twego.
 Jeśli się wycofasz, będziesz żałować, kochanie!
 Dlatego proszę, nie rezygnuj:
 Tak samo będziesz żałować, kochanie.

Odnawianie

Teraz wiem, że pisałem wiersze.
 Gdyż nie byłem obojętny.
 Tak jak świat był obojętny.
 Zamilkłem, a nigdzie
 Nie było milczenia.
 Moje zmysły zapomniały o muzyce.
 Ale świat mnie zaczął sobie
 Przypominać. Był to dobry sposób,
 Żebym stał się jego częścią. Równoprawną,

Jak słowo „biel” jest równoprawne
Z Arktyką, z arktycznością
Miast. Które odwiedziłem
I w których nie zamierzam szczeznąć. Pomyślałem
O Książce i zacząłem się odnawiać.
Kawałek po kawałku. Aż do samego siebie.

Gojko Božović

poeta, krytyk, eseista i aforysta, ur. w 1972 w Bobovie (Czarnogóra), zadebiutował w 1992 roku tomikiem wierszy *Podziemne kino*. Autor kilku zbiorów poezji, tomów esejów, prezentowany w antologiach nowej poezji czarnogórskiej i serbskiej, nagradzany wieloma znaczącymi nagrodami literackimi, tłumaczony na angielski, francuski, włoski, niemiecki, rosyjski, polski, czeski, węgierski, bułgarski, rumuński i macedoński.

Dušan Djurović

1984

Ostatni akord

Sam nawet nie wie,
jak się znalazł na tej plaży.
Od zawsze wstręt czuł
do ludzi śpiewających przy wtórze gitary.
Kołyszący się mężczyźni i kobiety,
żeńskie głosy wyższe i silniejsze,
piosenki patetyczne i wstrętne.

Stał z boku i obserwował
tę grupę postmodernistycznych hipisów
ciągnących wino.
W pewnej chwili wziął gitarę
i zaśpiewał
Rewolucja jest jak kobieta.
Uderzył ostatni akord,

pozwoił, żeby chwilę dźwięczał
i podrzucił wysoko instrument.

Uwagę neohipisów pochłonęła
spadająca gitara,
tak że nie zobaczyli, jak go
bezpownotnie pochłania czarne morze.

Ten, z czyjego jestem nasienia

Jak każdego dnia o tym czasie,
przychodzi z pracy pochylony.
Czerwony na twarzy i czole łązi po mieszkaniu
szykując się do łóżka.
Ma czterdzieści osiem lat
i zdrowie dość dobre.
Pozwoił, by nowa praca go łuszczyła,
podgryzała, wysysała.
Skulony pod kołdrą wygląda żałośnie.
Jakby w każdej chwili konsylium lekarzy
miało go odłączyć od aparatury.

Budzi się po kilku godzinach,
pali podniesiony na łokciu i znów pod kołdrę.
W tym miesiącu minęło półtora roku,
od kiedy zaczął pracować.
Początkowo myślałem, że będzie pić,
że popełni samobójstwo.
A potem zrozumiałem. On nie ma co w sobie zabić.

Chwilami pojawiają się przebłyski radości.
Ale są to jakby błyskawice, które zapowiadają burzę.
I tak każdego dnia.
Pochylony, czerwony na twarzy i czole, snuje się
po mieszkaniu.
Wkłada piżamę i wchodzi do łóżka.
Pod kołdrę. Pod ziemię.

Moja generacja

Wasze marzenia spalają się w korytarzach banków
i ministerstw.
Pod ubraniem ze znakiem firmy na sercu.
Zgaszony wzrok kryjecie pod szklami okularów w grubej
oprawce.
Wozicie swoje tyłki w samochodach wziętych na kredyt.
Odwiedzacie teatr i po przedstawieniu czy koncercie pieprzycie
przepisowo.
Gardłujecie jak wasi starzy, plotąc o odpowiedzialności i pracy.
Gdy byliście dziećmi (jak to dziwnie brzmi),
mierzyliście długość siusiaków i włosów na cipkach.
Teraz mierzycie grubość portfeli wypchanych plastikowymi
banknotami.
Chodzicie na obiady do ogrodów zoologicznych, doskonale
odgrywając dorosłych.
Ze swoim partnerem, pijąc wino, rozmawiacie o świetlanej
przyszłości.
Robicie bęcwałów z waszych dzieci.
W waszych jądrach jest wylęgarnia przyszłych potworności.

Możesz patrzeć na mnie jak na wariata i renegata.

Ale to, co w istocie naprawdę możesz zrobić, to
POCAŁOWAĆ MNIE W DUPE!

Moja generacja.

Naraz

Patrzę na ciebie.
Jesteś tym wszystkim, o czym marzyłam.
Każdy twój ruch znam na pamięć,
a mimo to dalej mnie podniecasz.
Patrzę na ciebie.
Sens zaczynają mieć wszystkie moje głupie przyzwyczajenia.
Wszystko to, z powodu czego się wstydzę.
Patrzę na ciebie.

Mam potrzebę, żeby krzyknąć ci w twarz: Kocham cię!
Przycisnąć cię do bólu.
Zastanawiam się,
jak będę mogła myśleć o tobie na krześle u dentysty.
Patrzę na ciebie.
Przeglądam album naszych przyszłych fotografii.
Dom, dzieci, niedzielne obiady u rodziców.
Naraz wszystko traci barwę.
Naraz przestaję cię kochać.

Rent a recenzent

Nienawidzę wieczorów poetyckich.
Promocji książek.
Otwierania wystaw.
Na tych miejscach skupiają się
koledzy artyści i na wszystkie strony
pieprzą jedni o drugich.

Za dwieście euro wynajmiesz recenzenta
i on mówi o twojej wrażliwości,
o tym, jak sztuka uszlachetnia człowieka.
Wszystko to jest oczywiście napuszone, naszpikowane
intelektualnymi terminami.
Intelektualnymi wypocinami, które śmierdzą pleśnią.

Potrafi to trwać godzinami.
Otwierają ci głowę i ładują w nią tony gównien.
Zwykle zasiada ich po kilku za stołem.
Jeśli nie jest wszechobecny rent a recenzent,
zastępują go przyjaciele, bracia, krewni i powinowaci.

I zaczyna się. Bła, bła, bła.
Deszcz gówna.

Gdy mówią z teatralną gestykulacją,
na twarzach maluje się zagadkowa błogość.

Jakby wzajemnie bili sobie konia pod stołem.
Po tym wszystkim możesz tylko pójść do łazienki,
wsadzić głowę w muszlę klozetową i rzygać.
Możesz też się godzinami kąpać.
Nadaremno.
Całymi dniami nie można zmyć świerzbu.
Wszawie słowa, którymi zostałeś obsypany,
są jednym z najgorszych gatunków pasożytów.

Tyle o wieczorach poetyckich i im podobnych gównach.
Sikam na to wszystko z jedną może drobną uwagą:

Bardziej cenię kurwy od was,
bracia artyści.

Zapis

Ja jestem M. Živković.
Jestem Kobietą.
Mam 28 lat
i pracuję w agencji marketingowej.
Długo już się nie kochałam.
Dziś w nocy miałam seks.
Czułam się paskudnie.
Nie, nieprawda.
Tylko takiego zdania
spodziewałabym się jako następnego,
gdybym to czytała.
Nie było źle.
Co więcej, odpowiadało mi,
że robię to z kimś
nieznanym.
Kiedy skończył,
wysłałam do siebie esemes
i powiedziałam, że przychodzi współlokatorka.
On poszedł do łazienki,
ubrał się i wyszedł.

Zapaliłam papierosa.
Powąchałam się pod pazuchą
i poczułam słodkawy zapach potu
zmieszany z perfumami.

Moje piersi są trochę obwisłe.
Gaszę papierosa i nastawiam kawę.
Oczywiście neskę.
Moje siorbanie
głośno rozbrzmiewa w garsonierze.
Nie zapalam światła.
Znów papieros.
Głęboko zaciągam się dymem.

Zbieram bieliznę z podłogi
i wrzucam do pralki.
Wkładam szlafrok.
Wracam na kanapę,
palę i piję kawę.
Patrzę w ciemność.
Tylko po seksie moja głowa
jest tak przyjemnie pusta.
Nawet nie myślę o tym,
czy mam płodne dni.
Czuję przyjemne łechtanie spermy.

Wiem, że moja vagina
wyrzuciła większość sekretu.
Jego wypluta sperma
wysycha teraz na ściankach mojego mięsa.
Moje mięso jest sine i twarde.
Czy ja jestem moim mięsem?
Czy ja jestem moją waginą?
Nie, nie jestem.
Ale takiej kolei bym się spodziewała,
Gdybym ja to czytała.

Ja jestem M. Živković.

[Jestem Kobieta]

Jestem Kobietą.
Mam 28 lat
i pracuję w agencji marketingowej.
Jestem zajebana.

Dušan Djurović

urodzony w 1984 r. w Podgoricy (Czarnogóra), zadebiutował w 2009 roku prowokacyjnym tomikiem wierszy *Bukowski, podobno przeskoczyłeś Hemingwaya* wydany własnym nakładem. Książka jest szokująca, prowokacyjna z założenia i z nieokiełznanego temperamentu autora. Zebrane w niej wiersze, pisane z niewątpliwie dużym talentem poetyckim, wyrażają żywiołowy sprzeciw wobec zastanego świata, społeczeństwa zgnuśniałego, zdemoralizowanego, ludzi przekupnych i bezwartościowych. Djurović wdarł się do literatury czarnogórskiej z hukiem i na kilka lat zamilkł. Pracował jako dziennikarz, założył zespół muzyczny *Antonio Sanchez i Skurwysyny*, w którym jako solista z akompaniamentem gitary śpiewał własne i cudze piosenki. Nagrał kilka klipów, przygotowuje płytę. W roku 2014 wydał kolejny prowokacyjny tomik poetycki *Plagiat*.

Stefan Raičević

1985

Niewysłana widokówka

Oddech lodowacieje
i palce bolą od śniegu.
Sachalin 1974 roku.
Dziedziniec szpitala obozowego dzisiaj
wygląda jak noworoczna czy
bożonarodzeniowa
widokówka.
Ile lat minęło
od kiedy ci powiedziała, że kocha?
Minęło dużo lat
Kiedys w Paryżu

wiele potrafiliscie wspólnie.
 Jak to było wtedy, jak we śnie?
 Jak w filmie?
 Uśmiechasz się i... gdziekolwiek ona jest
 i cokolwiek robi...
 pewnie się śmieje, myślisz.
 I wiesz wszystko.

„Patrice Lumumba” Café

Celowali do ciebie z karabinów
 i ze spokojem strzelali
 starcy, co teraz
 spokojnie piją
 kawę
 na przedmieściach Antwerpii
 i śmieją się. Twarze szybko się zmieniają.
 I tylko ty pamiętasz ich zaciśnięte zęby
 kiedy się szykowali.

Mówię ci, mówisz mi

Mówisz mi... Mówię ci
 i kiedy cię słucham... Nie jest już to samo,
 wszystko mnie boli... Nie jest jak dawniej,
 myślę, że kłamiesz... Muszę ci powiedzieć,
 bardzo się mylisz... Nie kocham cię,
 nie rozumiem... To minęło.
 Kiedy?... Jest już za późno.
 Mam to w nosie...
 Może nie jest za późno... Stało się.
 Czy wiesz, co to znaczy?... To nie ma związku z tobą.
 Dlaczego milczysz?... Nie zapomnę o tobie.
 Powiedz mi... Proszę cię, nie ponizaj się.

Annie Politkowskiej na dobranoc

Dobranoc, Anna,
nie ma już podrzucania
kłamstw i szykan.
Dla ciebie nie ma przyszywanych głów
ani okrwawionych rurociągów naftowych.
Ukrywania się i przesłuchań.
Nikt cię więcej nie uzna za wariatkę.
Nie będziesz słuchać słów obelżywych
ani nienawistnych.

Stefan Raičević

urodzony w 1985, gimnazjum ukończył w Budwie, a prawo w 2008 roku na Uniwersytecie w Podgoricy. Podobnie jak Dušan Djurović, żeby zwrócić na siebie uwagę, posługuje się prowokacją, ale robi to znacznie subtelniej. I z mniejszym skutkiem.

Przełożył i notami opatrzył Grzegorz Łatuszyński

Przekład Krystyny Rodowskiej

José Angel Leyva

Emigranci

Nie przedostali się tutaj drogą z tamtej strony
Przeszli górą by nie pobudzić
śpiących kolejarzy
którzy już zaliczają pierwsze metry piekła
Dalekim rajem pachnie w domu
gdzie nic do stracenia
oprócz głodu
Są tacy co się rodzą po to by się urodzić
lub zostać zabici albo duszę
oddają za paszport
Ojczyznę masz tam gdzie jest jutro

Niektórzy pielgrzymujący tracą życie by nie trafić
do więzień
Niewola nie pozwala dojść do celu
Nie stąpali po meksykańskiej ziemi
by dotrzeć do granicy
Przepłynęli w powietrzu bez wdychania
odoru śmierci
Nigdy tędy nie przeszli

Acrotiri ¹

Zabalsamowany w popiołach
czas ujawnia świeży obraz tamtych dni
W tych ruinach nie widać męczeństwa ni zgrozy
Jest pył głosów i splecionych ciał

¹ Starożytne miasto na greckiej wyspie Santoryn, zniszczone przez wybuch wulkanu w XVII wieku

Konwie i dzbany gdzie winny moszcz odcisnął
ślady fermentacji
Trzęsienia ziemi wstrząsy rude chmury
Ogień patroszy ziemię wrzące morze
Sceny wybiegają z siebie
Wpatrują się w nas ludzie z Acrotiri
w swym kąpielisku światła i równowagi

Postacie falując wychodzą z cienia
z nawleczonymi na sznurek rybami w rękach
nowe słońce nigdy się nie zmienia
skóra nietknięta i wilgoć w powietrzu
wynurzają się łodzie i ciała
w tej chwili

Z tomu *Tres cuartas partes* (2012)

Poświęcenie

Jeżeli posadzisz w ziemi suchą gałąź
i będziesz ją podlewał codziennie
o tej samej porze i nie zaniedbasz obowiązku

odzyskasz zielen z pustki

Będziesz przyczyną
Będziesz załączkiem
Będziesz duszą pragnienia

Z tomu *Exorbitante* (2016)

Przełożyła Krystyna Rodowska

NOTA

José Ángel Leyva (ur. 1958) – poeta, eseista, prozaik, wydawca, promotor literatury. W roku 1984 uzyskał dyplom lekarza na Wydziale Medycyny na uniwersytecie w Durango, stolicy stanu, po czym zrezygnował z dalszej specjalizacji w psychiatrii, gdyż powołanie literackie okazało się silniejsze. Jak sam wspominał niedawno w którymś z licznych wywiadów: „Od dziecka byłem wyczulony na walor słowa, na jego siłę, ładunek emocjonalny, zdolność transformacji i transgresji... Poezja wykracza poza tego, kto ją uprawia... Kielkuje na grobie zmarłych, prowadzi dialog z czasem”.



José Ángel Leyva. Fot. wg Begoña Pulido, Wikimedia

Po przybyciu do stolicy kraju, miasta Meksyk, zapisał się na studia na Wydziale Literatury i Filozofii, współpracując początkowo z wydawnictwami i pismami medycznymi. Wydał wiele zbiorów wierszy, w tym: *Botellas de sed* (1988, Butelki pragnienia), *Catullo en el destierro* (1993, Katullus na wygnaniu), *Entresueños* (1996, Międzysny), *El Espinazo del diablo* (1998, Diabelski Grzbiet), *Nombres del deseo* (2000, Imiona pożądania), *Durangueraños* (2007), *La eternidad no es tiempo* (2009, Wieczność nie jest czasem), *Habitantes (Breve antología personal)* – (2010, Habitantes [Krótka antologia osobista]), *Tres cuartas partes* (2012, Trzy czwarte). Na wydanie czekają dwa obszernie tomy wierszy *Exorbitante* (2016) i *Poemas* (2016) W r. 2013, wraz z żoną, Begoñą Pulido, wydał antologię 20 najwybitniejszych poetów meksykańskich XX wieku, *Poetas mexicanos*.

Poezja Leyvy, ambitna pod względem poznawczym i artystycznym, wyróżnia się na tle dokonań rówieśników energią werbalną, innowacyjnością języka, który powołuje niekiedy do życia ekspresyjne, przetłumaczalne jedynie w sposób omowny zbitki słów, takie jak choćby w tytule tomu „Habitantes” czy „Durangueraños”. Jeden z krytyków nazwał Leywę „zwierzęciem etycznym”, konsekwentnym wyrazicielem niezgody na kształt latynoamerykańskiej i meksykańskiej rzeczywistości, kontynuującym linię poezji takich poetów starszych pokoleń, jak Eduardo Lizalde i José Emilio Pacheco. Mimo wielości rejestrów tematycznych i formalnych w poszczególnych tomach głos tego poety i jego język

są wyraziste i rozpoznawalne. Otrzymał kilka prestiżowych nagród państwowych, w tym za poziom uprawianej publicystyki kulturalnej.

W latach 1997–2007, wspólnie z poetą José Vicente Anaya, redagował prestiżowy dwumiesięcznik literacki „Alforja” (Sakiewka), poświęcony prezentowaniu twórczości poetyckiej całego kontynentu. Od kilku lat Leyva wydaje samodzielnie miesięcznik „La Otra” (Inne), także w postaci wirtualnej, nastawiony na prezentację poezji światowej. Jest również autorem monumentalnej inicjatywy wydawniczej o istotnym znaczeniu dla poezji Ameryki Łacińskiej: w 2000 r. ukazał się tom *Versoconverso* (Wiersz przy wierszu), w 2002 – *Versos comunicantes I* (Wiersze w połączeniu), w 2005 – *Versos comunicantes II*, a w 2008 – *Versos comunicantes III*. Są to cztery grube tomy wywiadów z poetami latynoamerykańskimi przeprowadzonych przez znanych poetów i niekiedy krytyków, w większości przypadków przez samego Leyvę, który dzięki tym publikacjom zasłużył na miano jednego z najwybitniejszych i najbardziej czynnych współczesnych intelektualistów meksykańskich.

José Ángel Leyva jest także autorem powieści *La noche del jabalí* (2002, Noc dzika) oraz kilku znakomitych opowiadań, w których ostrość spojrzenia na rzeczywiste problemy nurtujące współczesny Meksyk idzie w parze z onirycznym wymiarem opowiadanych historii. Leyva to także gruntownie obeznany z literaturą światową wytrawny eseista.

Poezje José Ángela Leyvy zostały przetłumaczone na język angielski, francuski, portugalski, włoski, rumuński, bułgarski i grecki. Szesnaście jego wierszy, w przekładzie Krystyny Rodowskiej, zamyka antologię poezji latynoamerykańskiej pt. *Umocz wargi w kamieniu*, 2011, Biuro Literackie.

KR

Konrad Sutarski

Węgierskie wieści – Rok Jánosa Aranya

Rok 2017 został ogłoszony przez węgierski Parlament i Węgierską Akademię Nauk Rokiem Jánosa Aranya, jednego z trzech – obok Mihálya Vörösmartiego oraz Sándora Petőfiiego – romantycznych wieszczów tego kraju.

János Arany urodził się w zubożałej rodzinie szlacheckiej, w 1817 roku, w miejscowości Nagyszalonta w Siedmiogrodzie (należącym od końca I wojny światowej do Rumunii). Rozgłos przyniosła Aranyowi epopeja poetycka *Toldi* (w 1846 roku), uzupełniona później dwiema dalszymi częściami tego eposu, złożonymi w trylogię. W międzyczasie wybuchło na Węgrzech antyhabsburskie powstanie (1848-1849), zdławione przy pomocy rosyjskiej armii carskiej, po czym nastąpił okres krwawego terroru austriackiego generała Heinaua (trwający do 1851), kiedy poeta musiał się ukrywać.

Dalsze, obfite w dzieła, życie Jánosa Aranya przypadło na czasy już popowstańcze. Powstały dalsze epopeje, jak *Csaba-trilógia*, dramaty poetyckie i ballady, a także kongenialne przekłady dramatów Shakespeare'a. Poetyckim zwieńczeniem życia były w późniejszym okresie miniatury o nazwie *Őszikék* (Jesieńki) oraz środkowa część trylogii *Toldi* („Toldi szelme”, Miłość Toldiego). Arany zmarł w 1882 roku w Budapeszcie.

Nie ma pewności, kiedy powstała ballada *A walesi bárdok* (Walijscy bardowie), jeden z najważniejszych poematów Aranya. W 1857 roku po raz pierwszy przybył na Węgry ich kat, cesarz Franciszek Józef. Przed jego przybyciem János Arany – będący już wówczas chodzącym w sławie poetą – został poproszony o napisanie pochwalnego wiersza na cześć cesarza. Arany odmówił, natomiast w cichym obiegu pojawili się *Walijscy bardowie*.



János Arany

Istnieją przypuszczenia, że ballada powstała wcześniej, może nawet w 1852 roku, ale z momentem przybycia cesarza nabrała nowego znaczenia i aktualności. Za temat poeta symbolicznie obrał wydarzenia w średniowiecznej Walii, kraju krwawo podbitym (w latach 1282-1283) i wcielonym do angielskiego królestwa przez króla Edwarda.

Balladę tę przełożyłem w 2000 roku i ukazała się ona w wydanej w Budapeszcie mojej polskojęzycznej, autorskiej antologii powszechnej poezji węgierskiej, noszącej tytuł *Podźwignęło się morze*, jako wiersz rozpoczynający cały zbiór. W motcie napisałem: „Przekład ten poświęcam nieustannie walczącemu o niepodległość narodowi czeczeńskiemu”, bo wtedy wysiłek zbrojny tego narodu był na ustach całego świata, niewtrącającego się w „wewnętrzne sprawy” nadal imperialistycznej Rosji. Obecnie posłanie sformułowane jako motto rozszerzyłem. Przekład tej ballady nie był w Polsce publikowany.

János Arany

Walijscy bardowie

*Przekład ten poświęcam wszystkim
walczącym o niepodległość narodom*

Edward jedzie, król Wszech-Anglii,
Na szarym ogierze:
Walię chce poznać, gdy już ją
W posiadanie bierze.

Czy dobre jej ziemie, wody?
I trawy czy bujne?
Czy przydała się krew, która
Rosła je znojnje?

I sam lud, Bogiem mu dany,
Czy szczęśliwie żyje,
Jak mu każe, tak jak było,
W jarzmie trzyma szyje?

„Panie! Walia to najdroższy
Diament twej korony:
Znajdziesz tutaj wszelki skarb, co
Na ziemi stworzony.

I sam lud, Bogiem ci dany,
O, szczęśliwy jest, Panie!
Ze szczęścia aż zaniemówił,
Jak słup na kurhanie”. –

Jedzie Edward, król Wszech-Anglii,
Na szarym ogierze:
Niema jest prowincja, którą
W posiadanie bierze.

Imię zamku: Montgomery,
Gdzie król na noc staje.
A pan zamku, Montgomery,
Ucztę tam wydaje.

Ryb, mięsiwa i łakoci
Aż strach patrzeć, ile,
Stu sługów się wokół krząta,
Nie staje ni chwilę.

Na stołach dobra wszelakie
Tej ziemi pachnącej:
A są i ze stron zamorskich
Wina musujące.

Cóż, Panowie! Nikt nie pije
Za zdrowie Edwarda?
Panowie, wy!... walijskie psy!
Wy, hołoto harda!

Ryb, mięsiwa tu, łakoci,
Aż dziw patrzeć, ile,
Ale w was sam diabeł siedzi,
W każdym z was go widzę.

No, panowie, psy niewierne!
Jak zdrowie Edwarda?
Niech ktoś czyny moje śpiewa –
Sprowadzić mi barda!

Milczą walijscy rycerze,
Którzy w boju nie padli;
Nie z bojaźni, jeno z gniewu
Straszliwie pobladli.

Patrzą na siebie bez słowa,
Oddech w ustach staje –
Wtem biały gołąb nadfruwa,
Siwy bard powstaje.

Tum jest, królu, rzecz starzec,
Wyśpiewam twe czyny;
Szczęk broni zabrzmiał i jęki,
Gdy uderzył w struny.

„Szczęk broni słychać i jęki,
Słońce w krwi się pławi.
Dzicz ciągnie na trupi odór:
Królu, tyś to sprawił!

Tysiące, ach, wyciętych w pień,
Szukamy ich w bólu,
By choć grób i krzyż postawić:
Tyś to sprawił, królu!”

Co to za pieśń! Precz z nim, na stos! –
Król rozkaz wydaje –
Słowa mają być łagodne:
Więc młody bard wstaje.

„O! Łagodnie wiatr wieczorny
Ku zatoce zmierza;
Rozpacz dziewic, wdowia skarga
W jedno się z nim miesza.

Matko, nie karm swego dziecka!
Nie ródź niewolnika!...”.
Król znak daje. W ogniach stosu
I młody bard znika.

Na to śmiało, bez wezwania
Trzeci bard podchodzi;
Z lutnią w ręku pieśń zaczyna,
Nowa pieśń się rodzi:

„Wszyscy dzielni już polegli –
Wiedz o tym, Edwardzie:
Barda, co by ciebie sławił,
W Walii ty nie znajdziesz.

Pamięć żyje jeszcze w lutni –
Wiedz o tym, Edwardzie:
Klątwą w ciebie każda pieśń,
Co w walijskim bardzie”.

No, zobaczymy! – Tu król rozkaz
Znów rzuca straszliwy:
Zbierzcie mi walijskich bardów,
Wszystkich, na stos z nimi!

Rozbiegła się służba cała,
W kraj, na strony cztery.
Tak skończyła się sławetna
Uczta w Montgomery. –

Jedzie Edward, król Wszech-Anglii,
Na szarym ogierze:
Płoną niebo, ziemia, które
W posiadanie bierze.

Pięciuset bardów spłonęło
I nie było barda,
Co zgodziłby się zaśpiewać
Pieśń na cześć Edwarda.

„Co to?... Co za pieśń w Londynie
Przerywa mi ciszę?
Stryczek dla lorda-majora,
Gdy choć szmer posłyszę!”.

Niema cisza; nawet muchy
Nie słyhać na dworze:
„Głowę straci ten, kto piśnie!
Wszak król spać nie może”.

„Hej! Zagrmijcie bębny, trąby!
Brzmij muzyko huczna:
Klątwy w głowie mi łomoczą,
To walijska uczta...”.

Lecz na próżno bębny, trąby,
I wrzaskliwe pienia:
Bo pięciuset bardów śpiewa
Swą pieśń umęczenia.

Przełożył Konrad Sutarski

Przekład Ryszarda Sobieszczkańskiego*

Helga Deinet

Rondo

Siedziałeś naprzeciwko mnie
i piłeś kawę
pod wąsami.
Powstałiśmy.
Spojrzałam na ciebie z góry.

Wsiadłam do pociągu –
u kresu mojej podróży
w twoim trenzu
na peronie stałeś ty.
Podaliśmy sobie rękę.
Spojrzałam na ciebie z góry.

Zawsze kiedy jechałam –
u kresu mojej podróży
w twoim trenzu
na peronie stałeś ty.
Podawaliśmy sobie rękę.
Spoglądałam na ciebie z góry.

A kiedy dzisiaj pojechałam –
u kresu mojej podróży
w twoim trenzu
na peronie stałeś ty.
Wtedy zdjęłam
moje wysokie buty,
odłożyłam je na ławkę,
uchwyciłam twój augurowy uśmiezek
i wygładziłam
wszystkie zmarszczki.

* Wraz z Igonem Rohowskim.

Rondo

Du saßt mir gegenüber,
trankst den Kaffee
durch deinen Bart,
Wir standen auf.
Ich sah auf dich herab.

Ich nahm den Zug –
am Ende meiner Fahrt
in deinem Trench
am Gleis standst du.
Wir gaben uns die Hand.
Ich sah auf dich herab.

Immer wenn ich fuhr –
am Ende meiner Fahrt
in deinem Trench
am Gleis standst du.
Wir gaben uns die Hand.
Ich sah auf dich herab.

Und als ich heute fuhr –
am Ende meiner Fahrt
in deinem Trench
am Gleis standst du.
Da zog ich
meine hohen Schuhe aus,
gab sie der Bank,
fing dein Augurenlächeln auf
und strich die Fältchen
wieder glatt.

Helga Deinet – ur. 1939 w Essen. Mieszka w Mülheim nad Ruhrą. Zajmuje się pisaniem (liryką i prozą) i rzeźbą (ceramiką w połączeniu z innymi materiałami). Publikuje w gazetach i czasopismach literackich, wiersze prezentuje w radiu i telewizji. Bywa częstym gościem w Polsce, przeważnie jako uczestniczka wystaw plastycznych indywidualnych i zbiorowych.

Grzegorza Walczaka przekład z serbskiego

Dusan Kovacević

Kumowie

(komedia codziennej tragedii)

(planeta Ziemia 2016)

Zeszłej nocy w małym domku obok parku następuje misterne zniknięcie popularnego piosenkarza, Bobana.

Obecni byli:

ANA – żona Milana

MILAN – mąż Any

KUMA – żona nieszczęśliwego piosenkarza Bobana

INSPEKTOR – znakomity policjant, który pojedyncze „przypadki” rozwiązuje w niezwykle sposób

WILCZEK – mający wszystkie cechy człowieka

W domu pary małżeńskiej – Any i Milana – trwają przygotowania do świętowania dwudziestej piątej rocznicy małżeńskiej przyjaźni. Na środku pokoju znajduje się stół jadalny z sześcioma krzesłami, oświetlony ”kryształowym” żyrandolem. W głębi pokoju szklana ruchoma ściana oddziela wnętrze domu od tarasu z widokiem na pobliski park. Taras tonie w zieleni jakichś jesiennych kwiatów. Z wnętrza domu słychać piosenkę „Obcokrajowiec w nocy” w wykonaniu zaginionego śpiewaka Bobana. Przy drzwiach wejściowych ktoś uparcie dzwoni. Z sąsiedniego pokoju wchodzi Ana, kobieta w kwiecie wieku. Ubrana jest wyjściowo; jeszcze tylko zakłada klipsy. Domyślając się, kto dzwoni, zwraca się ironicznie.

ANA Znów zapomnieliśmy klucza?!

Dobry humor gospodyni zmienia się w przerażenie, gdy w drzwiach wejściowych widzi pobitego męża. W pierwszej chwili mógłby ktoś pomyśleć, że Milan przeżył wypadek komunikacyjny; siniaki na twarzy, ślady krwi na kurtce i połamany bukiet róż w zranionej ręce. Oslupiała żona przytrzymuje się oparcia krzesła, żeby nie upaść.

ANA Milanie... co się stało, Milanie?!

Milan zachowuje się jak ludzie, którzy przypominają sobie niezwykle, piękne chwile.

MILAN Nie do wiary... Gdyby mi to ktoś powiedział, nie uwierzyłbym.

ANA Co ci się stało, Milanie?

MILAN Nie do wiary... nie do wiary. Szedłem, żeby ci kupić kwiaty...

Wszystkiego najlepszego, kochanie.

Kobieta przyjmuje zdewastowany bukiet i pocałunek. Przygląda się mężowi z przestrachem. Tak jak by się nic nie stało, Milan podchodzi do kredensu, z oszklonej części wyjmuje butelkę koniaku i dwa kieliszki. Nadal się uśmiechając, nalewa trunk.

MILAN Dwadzieścia pięć lat, nie było łatwo... róże są nieco wymiętoszone tak jak i ja... ale dałem sobie z tym radę.

ANA O czym ty mówisz? Kto cię tak poturbował? Co jest „nie do wiary”?

Milanie, co się stało?

MILAN Kiedy wracałem z kwaciarni, w parku napadło mnie dwóch wariatów, chorych, kryminalistów, narkomanów...kto to wie. No i dawaj forszę! Dawaj forszę! Ja im mówię, ludzie, nie mam pieniędzy, nie mam złamanego dinara. Nie mam pracy, od roku... „Bez pracy jesteś, a masz, frajerze, pieniądze na kwiaty dla kochanki?!”... I, wrzeszczy:... „Dawaj zegarek!”... „Nie mam zegarka”... „Daj telefon!”... „Nie mam telefonu”... „No to co masz, ofermo, ty fiucie przegrany?!”... „Nie mam nic”. „Chrzanisz!” I dawaj mnie tłuc pięściami, gdzie popadło... Chyba się zdenerwowali.

ANA (*cicho, bojaźliwie*): Milanie...

MILAN Słucham, kochanie...

ANA I co cię tak śmiesz?

MILAN (*wznosząc kieliszek*): Za to nasze srebrne..! Zdrowia, duszo!

ANA Twoje zdrowie... (*wypija skromnie*)

MILAN I teraz najważniejsze ... Kiedy mnie tak tłukli, z parku przybiegł mój Żócio i z rozpędu skoczył jednemu z łobuzów na kark. Schwycił go i obalił na ziemię, drugiego złapał za plecy i oderwał mu pół kurtki... Uciekali przez park, przeskakując krzaki, ławki. Stałem, patrzyłem się, jak wrzeszczą, jak uciekają i śmiałem się, śmiałem... Nie do uwierzenia... mój, Żócio.

ANA Przepraszam, a kto to jest Żócio?

MILAN Kto to Żócio?

ANA Właśnie.

MILAN (*zaskoczony pytaniem*) ...Żócio? No, ten pies, który już ze mną... od miesiąca... Mówiłem ci nieraz o nim... Było trochę ludzi w parku, ale się zaraz rozbiegli, a Żócio przybiegł, żeby mnie ratować... Później, kiedy dranie zwiali, siadł i patrzył na mnie, jakoś tak troskliwie, i żałośnie narzekał: auuuu, auuuu... jakby mnie pytał, jak się czuję.

ANA Mój Boże!

Przeżegnawszy się, wyjmuje z kredensu wazon, do którego wkłada połamane róże.

Daremnie stara się doprowadzić kwiaty do porządku.

MILAN Okładali mnie i kwiatami po głowie. Połamały się.

ANA Tobie jest niedobrze, odwiozę cię do szpitala.

MILAN Nie chcę do szpitala.

ANA Proszę cię...

Polewa trunkiem chusteczkę i dezynfekuje ranę na czole.

MILAN Nie ma potrzeby. Czuję się bardzo dobrze. Boję się tylko...

ANA Czego się boisz?

MILAN...że te łobuzy doniosą na Żócia policji. Zamkną go w jakimś schronisku dla zwierząt... albo zabiją jak wściekłego psa... Kto hyclom wyjaśni, że pies dobry, że wściekli są ludzie?

Ponownie się uśmiecha.

ANA Milanie, nie byłoby źle poskoczyć do szpitala. Może Kuma jest dziś na dyżurze.

MILAN Nawet mi jej nie wspominaj. (*Wychodzi na taras*) Omal nie umarłem, jak mnie leczyła z przeziębienia... Czekał, gdzież on się podział? Obiecałem mu dać coś na ząb. (*woła z tarasu*) Żócio, Żócio! Musi sobie biedak przekazać.

Zaczyna gwizdać melodię „Obcokrajowiec w nocy”. Ana wykorzystując jego wyjście na balkon, wzywa telefonicznie ich Kumę, lekarkę.

ANA (*cicho*) Kumo, żałuję, ale nie możemy się spotkać w restauracji. Milan ucierpiał. Pobili go jacyś bandyci w parku. Musisz go zbadać... Nie chce... nie chce do szpitala. (*Jeszcze bardziej ścisza głos*) Teraz jest na balkonie. Wypatruje przyjaciela. Ależ tak, cały pobity, potłuczony... i opowiada jakieś dziwne rzeczy, jak potłuczony.

MILAN (*wraca z balkonu*) Gdzie jest ten kurczak z obiadu? Zasłużył sobie.

ANA (*kontynuuje rozmowę z Kumą*) Owszem, ma poważny uraz głowy... ale najgorzej, że się uśmiecha. Naprawdę jestem niespokojna. No, pośpiesz się.

MILAN A wiesz, co jest najciekawsze?...

ANA Co, kochanie?

Ana rozłącza się, obserwuje męża, który przygotowując się do wyjścia, zabiera ze sobą torbę z jedzeniem i litrową butelkę wody mineralnej.

MILAN A wiesz, co jest najciekawsze?...

ANA Co, kochanie?

MILAN Nie chce jeść psiego pokarmu. Ja mu kupię granulki, kupię mu też ich konserwy, a on na mnie tylko spojrzy i pokręci głową, że nie... Wody nie napije się, jak nie jest czysta.

Z parku niesie się wycie psa. Milan podnosi głowę, nasłuchuje, uśmiechnięty wychodzi na balkon i odpowiada Żóci, sam wyjąc.

MILAN Już idę, idę! Niosę ci całą flaszkę Knezja Milosa.

Pies mu odpowiada szczekaniem. Milan jemu pytaniem.

MILAN Dlaczego nie wejdiesz na podwórko? Furtka jest otwarta. No, dobrze, dobrze, jak sobie chcesz.

Zatroskany wraca z balkonu.

MILAN Od pierwszego dnia proponuję mu, żeby wszedł na podwórko, ale on nie chce. Jakby się bał zamkniętej przestrzeni. Ma jakąś fobię?
ANA Proszę cię... ledwo przeżyłam odejście Blekiego...

*W pobliżu rozlega się syrena wozu policyjnego.
Milan wybiega na balkon.*

MILAN (*krzyczy panicznie*) Uciekaj, Żócio, uciekaj! Możliwe, że te sukiny-syny doniosły na ciebie na policję! Uciekaj, uciekaj, do lasu! Przyjdę do ciebie!

*Z parku niesie się odpowiedź – wycie.
Ana spogląda na człowieka, z którym przeżyła ponad ćwierć wieku, tak jakby go zobaczyła po raz pierwszy.*

MILAN (*do żony*) Muszę wyjaśnić policji, co się rzeczywiście stało. Daj mi telefon.
ANA Milanie, proszę cię...
MILAN Daj mi telefon!
ANA Jakbyśmy pojechali do szpitala, dostałbyś lekarskie potwierdzenie o urazie głowy i łatwo byś mógł... no wtedy byś wszystko mógł.

Mężczyzna nie słucha, niecierpliwie wyciąga rękę po telefon.

MILAN (*wzywa dyżurnego policjanta*) Halo... Chciałem zameldować... Właśnie zostałem napadnięty w parku koło stadionu, ale nie o mnie tu chodzi. Przyzwyczajony jestem do gwałtu, panie władzo... Że co...? – uogólniam?... Chcę tylko powiedzieć, że jak ktoś zgłosił atak psa w parku, to ten pies, co go oskarżają, bronił mnie i obronił przed tymi zbokami, co mnie stłukli na kwaśne jabłko. I on wcale nie jest wściekły... Co? Nikt nie zgłaszał? Ja wam tylko na wszelki wypadek, gdyby ktoś doniósł na Żócia... – tak, ten pies nazywa się Żócio – to po prostu go zaaresztujcie, a ja przyjdę i zaświadczę, jak było... Ależ nie psa, tylko łobuza... Halo! Halo! Psia mać, rozłączyli się. Wezwij policję, to ci na pewno pomoże. Bandy ci spacerują po mieście i tłuką mieszkańców, a oni zamykają niewinne psy. Hańba! Sromota!

ANA Gdzie cię znowu niesie, Milanie?!... z tym kurzym udkiem. Zostaw tego Żócia. Chcesz, żeby cię znów napadła ta uzbrojona zgraja!?... żeby się zemścić.

MILAN Gdyby nie Żócio, pewnie bym już nie żył.

ANA Każdego dnia jest jakieś zabójstwo, jakaś nikczemność... Milanie!

MILAN Zaraz wracam... ale skoro się już mówi o broni...

ANA O czym ty mówisz?

MILAN (*zatrzymuje się przed drzwiami*) Kilka dni temu... nie wiem, czy ci o tym mówiłem, przychodzi Żócio i kuleje, pociąga tylną nogą. Zobaczyłem wtedy na jego plecach bliznę, jakby go ktoś pociągnął maczetą. Widzę, że chce mi coś powiedzieć, więc go pytam: Żócio, co się stało? Czy cię ktoś uderzył, skaleczył, ranił z pistoletu...? Kiedy wspomniałem o pistolecie, on podnosi głowę i skomli auuuuu, auuuu, auuuuuuu!... Ktoś do ciebie strzelał? A on mi przytakuje głową i skomli: Auuuu! Auuuu! Auuuuuu!

Dzwonek do drzwi. Zatrwożona kobieta, idąc ku drzwiom, pyta cicho.

ANA Czy ktoś za tobą nie szedł, kiedy wracałeś do domu?

MILAN Owszem.

ANA Kto?

MILAN Żócio. Doprowadził mnie do bramy, by mieć pewność, że...

Znowu dzwonek, nieco bardziej nerwowo.

ANA No chyba Żócio nie dzwoni. A może oni widzieli, gdzie wchodziłeś (*podejrzliwie*) Kto to?... (*z ulgą*) A, to ty.

Milan znika w kuchni i zaraz wraca do pokoju, niosąc młotek. Do domu wchodzi Kuma Sofija, lekarka w białym fartuchu. W jednej ręce niesie „służbową” torbę, a w drugiej, obwiniętej bandażem, bukiet czerwonych róż.

Roztargniona Kuma, całując Anę, rozgląda się po pokoju, jakby czegoś szukała.

KUMA Gdzie jest pies?

ANA Jaki pies, Kumo?

KUMA Mówiliście, że po Blekim nigdy nie będziecie mieć psa.

ANA No i nie mamy. Może zdejmiesz ten fartuch?

KUMA (*nadal ściska kwiaty w rękę*) Jakże nie macie, kiedy słyszałam, jak pies wyje.

Ana (*śmieje się nerwowo*): A nie – to Milan.

MILAN To ja...

KUMA To ty?

MILAN To ja, Kumo...ja. Właśnie opowiadałem Anie...

KUMA Jak to „opowiadałeś”? Wyłeś.

ANA Mówił mi, wyjaśniał mi, jak to jeden pies w parku, z którym chodzi... na spacer, jak ten pies mówi, znaczy wyje...

Z dala niesie się wycie, niemalże potwierdzenie opowieści Any.

Milan bierze ze sobą pakunek z przekąską dla Żócia, do kiszeni chowa młotek.

MILAN (*z satysfakcją*) Wzywa mnie... (*Chcąc się z usprawiedliwić z młotką*), żeby mu... budę...

KUMA Kumie, ty, jak widzę, jesteś poważnie poszkodowany. Chodź, siadaj, zobaczę, co ci jest.

MILAN (*z balkonu*) Żócio, idę, idę!...Słyszałaś, Kumo, jak woła?: Auuuu! Auuuu! Chodź ze mną na balkon, to zobaczysz, jak się cieszy, kiedy mnie widzi. Au, au, au..! – jakby mówił: cześć, cześć, cześć!

KUMA Ach... zapomniałabym (*wręcza kwiaty Anie*) (*trochę zatroskana*) Gratuluję ... Kumo... dwadzieścia pięć lat, no tak... dwadzieścia pięć lat...

ANA Dziękuję, Kumo... Ale bukiet! Piękne róże. A co ci się właściwie stało w rękę?

KUMA Ugryzł mnie pacjent.

ANA Usiądź, Kumo, usiądź.

Z kredensu wyjmuje kieliszki i wazon na kwiaty, nalewa koniak zatroskanej lekarce.

ANA Widziałaś, jak wygląda...? Jak stanął w drzwiach, omal nie zemdlalam. Napijmy się kapkę, dla uspokojenia.

KUMA Od kiedy zaczął szczekać?

Ana wsłuchuje się w odgłosy zbliżającej się burzy.

ANA Wczoraj zostaliśmy bez prądu.

Ana wyjmuje z kredensu długą świecę, wstawia ją do świecznika.

ANA Na wszelki wypadek...

KUMA Od kiedy zaczął szczekać?

ANA Kto?

KUMA On.

ANA Myślisz... Milan?

KUMA Sama mówiłaś, że się nawołuje z psami z balkonu i opowiada, co mu one opowiadają? Od dawna wyje?

ANA (*unika odpowiedzi*) Nasze zdrowie, Kumo!

KUMA Nie powinnam. Jestem na służbie.

ANA (*zachęcająco*) Jednego.

KUMA No to jednego. Nasze zdrowie! (*Trącają się kieliszkami*) Jakże się przeraziłam, jak mnie wariat schwycił za rękę i ugryzł... Nigdy mnie pies tak nie ugryzł.

ANA Ty myślisz, że jak on naśladuje psy, że jak szczeka, to coś z głową?

KUMA Powinien ją prześwietlić. No bo ten, co mnie ugryzł, też doprowadzony był na prześwietlenie głowy. Szczekał na komisję, a potem wybiegł na podwórze i szczekał na przechodniów... Kiedy go spytałam: czemuś mnie ugryzł, człowieku, on tylko na mnie spojrzał i warknął: ja nie jestem człowiekiem, ja jestem psem. Wyrzucili mnie z przedsiębiorstwa na zbity pysk, jak psa, i ja teraz jestem psem. A psy, kiedy są wściekłe...

ANA (*z pewną ulgą po tym wyznaniu*) I Milan pierwszy raz zaczął wyć, kiedy stracił pracę. Przeszedł do domu i od drzwi zaczął wyć: Auuu, matko moja, auuu! Co ja teraz zrobię? Co ze mną będzie?! I całymi dniami: Auuu! Auuu! Wtedy właśnie zaczął z psami. Odkąd nie ma Bobana, on nie ma z kim się przejść, nie ma przyjaciela, któremu mógłby się zwierzyć.... Bardzo mu brak jego Kuma... Ojej, wybac mi, wybac, proszę cię!

Na wspomnienie Bobana Kuma zapłacz.

Ana przytula ją i próbuje uspokoić.

ANA Nie płacz, proszę cię...proszę, wybac!...

KUMA Nic to, nic...trochę mi nerwy popuściły.

ANA No to po jednym, Kumo!

KUMA Po jednym! ... W przyszłym miesiącu będzie trzy lata, jak Boban przepadł... Trzy lata.

ANA Trzy lata? To już trzy lata?

KUMA A jakże...Trzy lata.

ANA Panie Boże, trzy lata?

KUMA Trzy lata... Docierały do mnie rozmaite informacje, a to widzieli go w Kanadzie, a to w Ameryce, w Australii... Otrzymałam też jedną „jego” pocztówkę z jakiejś karaibskiej wyspy, tyle że nie jego charakter pisma... i napisał, że mnie pozdrawia i że jest szczęśliwy z tą, no z tą, nie pamiętam, jak jej tam było...

ANA (*wyciera oczy, wzruszona opowieścią Kumy*): Nie ma żadnych nowych śladów?

KUMA Nie... Inspektor Gołąb prowadzi śledztwo nieustannie. Zaczynam jednak tracić nadzieję, że kiedykolwiek dowiem się, co się stało. Twoje zdrowie, Kumo...

ANA Twoje zdrowie... Nie ma dnia, żebyśmy go nie wspominali. Nie ma dnia, żeby Milan nie powiedział: wróci kiedyś mój Kum, wróci, jestem pewien. A jak tylko zadzwoni telefon o późnej porze, ma nadzieję, że go usłyszy i smutny jest, kiedy się odezwie ktoś inny.

Płaczliwą rozmowę kobiet przerywa syrena ambulansu.

Syrena i biało-niebieskie światło płoszy Anę.

Kuma ją uspokaja.

ANA O, Boże!...

Kuma ją uspokaja i telefonicznie wzywa kierowcę ambulansu.

KUMA Wyłącz syrenę, nie strasz ludzi, człowieku! (*do Any, która wyszła na balkon, żeby zobaczyć, co się dzieje*) To nasz ambulans. Bo widzisz, Ano, ja przyjechałam taksówką. Karetka pogotowia została bez benzyny... w środku miasta.

ANA O, Boże, jak się przeraziłam. Pomyślałam, że Milanowi znów się coś stało... że to po niego...

KUMA Byłoby, najmądrzej, jak już karetka jest tutaj, żeby Milan pojechał ze mną. Zapewne nic mu nie jest, tylko mu się „przełało”... od tego pięknego życia, tak jak temu nieszczęśnikowi, co mnie ugryzł. Od tego, wszyscy zaczniemy czekać... Na szczęście studiowałam weterynarię.

*Opowieść Kумы przerywa sygnał telefonu Any.
Sygnałem jest melodia „Obcokrajowca w nocy”.*

ANA Synu mój!...Co u ciebie, skarbie?! Dlaczego nie dzwonisz do matki?
Nie pozwala ci jakaś Włoszka?... Przypomniałeś sobie o naszej rocznicy... Kocha cię matka... Ile jeszcze zostaniesz we Florencji?...

KUMA Stefan jest we Florencji? ... Daj mi go, no, daj!... proszę cię. Muszę coś mu powiedzieć... (*Bierze telefon, niemal go wrywa*) Stefanie, duszo! Kuma, Sofija mówi!... Czy wiesz, Stefanie, że ja i twój kum, Boban, byliśmy we Florencji w podróży poślubnej?!... Cudowne miasto! Czarowne miasto! Tak, tak, tak... oczywiście, oczywiście... Toskania to Toskania!... Wpadłam do twoich, żeby im złożyć gratulacje, no i wspominaliśmy Bobana, a ja znowu zaczęłam płakać. Ty we Florencji... jak my kiedyś z Bobanem...

Z parku dobiega długotrwałe, żalotne wycie.

KUMA (*do Any*) Spójrz, kto wyje... (*do telefonu*) To nie do ciebie. Jakiś pies wyje w parku, no to się martwimy o Milana... Nie, nie ugryzie go. Przeciwnie... Żebyś go słyszał, jak szczeka... Kto szczeka? No, Milan. Takiej przyjaźni nie widziałeś... Brakuje mu Kuma, Bobana, no to się spotyka z psem...

ANA (*przejmuje telefon od Kумы, która znów szlocha*) Tłumaczy nam, jak się kolegują i o czym rozmawiają... Zadzwoni do ciebie, jak tylko przyjdzie... Uwważaj na siebie, proszę cię... Ależ nic, jak ci mówię, że nic takiego... Znasz go, całe życie przyjaźni się z psami... Całuje cię matka.

Ana kończy rozmowę telefoniczną. Nasłuchując grzmotów, śledzi błyskawice w oddali...

Rozlega się dzwonek do drzwi. Przestraszona opowieściami o gwałtach, bojaźliwie idzie zobaczyć, kto dzwoni.

ANA Kto to?!...

KUMA Zaczekaj, zawołam mojego kierowcę. On tylko czeka, żeby komuś przy... przyfastrygować.

Kuma wychodzi na balkon, macha ręką do kierowcy, uspokaja się jednak, widząc, kto stoi przed drzwiami.

ANA (*do męża*): Znowu zapomniałeś klucza?

Ana otwiera mężowi drzwi.

Milan wchodzi do pokoju, niosąc sporą czarną torbę plastikową, całą pobrudzoną ziemią.

Patrząc na torbę, kręci głową z niedowierzaniem i się uśmiecha.

ANA Idzie burza, a ciebie nie ma. Gdzie łązisz, u licha?...Co z tobą?

MILAN Niewiarygodne, niewiarygodne...

ANA Co tam masz? Co to?

MILAN Torba, a w torbie...

Milan wydobywa z torby pistolet i czarną plastikową skrzynkę. Wszystko to nadal zadziwiony wysypuje na stół.

ANA Boże, pistolet! ...

KUMA (*o skrzynce*) A to co za plastik?

MILAN Żócio zaprowadził mnie pod ten wielki kasztan w parku i jak nie zacznie kopać. Pomyślałem, że zakopał jakąś kość. Kopie i kopie, aż tu wyciągnie z jamy tę torbę... i buch mi pod nogi. I: auuu, auuu, auuu...

KUMA Kumie, wybacz, ale muszę cię o coś spytać. Kiedy cię te łobuzy... no... czy nie upadłeś na beton?

MILAN Czy upadłem na beton? Kumo, czemu tak patrzysz na mnie?

KUMA Pies wykopał tę torbę i dał tobie? Pies cię zaprowadził do drzewa w parku, wykopał torbę z ziemi... i dał tobie?

MILAN Tak, a co jest w tym dziwnego, Kumo? Czemu tak patrzysz na mnie podejrzliwie?

KUMA No, Kumie, opowiadasz mi dziwne rzeczy.

ANA (*przestraszona z powodu broni i skrzynki*) Zaraz mi to wynieś z domu.

MILAN Duszo!...

ANA Na dwór! Po kiego diabła toś tu przyniósł. Kto wie, co może być w tym plastyku!

MILAN Zaraz zobaczymy, co tam jest.

KUMA Nie! Nie! Nie dotykaj tego!... Inspektor wyleciał w powietrze! Każdego dnia ktoś wylatuje!

MILAN To pewnie pudełko po lodach.

ANA Ty nie jesteś normalny, Milanie! Może to materiał wybuchowy, którym terroryści wysadzają w powietrze samochody, kawiarnie,

restauracje... Kumo, spójrz na niego, on się cały czas tylko uśmiecha...
Co ciebie tak śmieszy, człowiecze?

MILAN Bo to nie wszystko... Kiedy wracaliśmy z parku koło tej kawiarenki na rogu, Żócio zatrzymał się przy jednym audi i zaczął na nie szczekać. Szczekał tak zajadle, że pomyślałem, ktoś z tego samochodu musiał go poturbować. Tymczasem w aucie nikogo nie było. I wtedy zobaczyłem, że szczeka i nosem mi pokazuje na tablicę rejestracyjną, o, w ten sposób, nosem ją trąca i szczeka z całym siłą: chau, chau, chau!

Kiedy tak z przejęciem opowiada, wydobywa z torby tablicę rejestracyjną i szczekając na nią odgrywa całe to wydarzenie.

Ana spogląda na Kumę, która przygląda się Kumowi, zatroskana nowym napadem szczekania...

Zachwycony „rekonstrukcją”, rozszczekany mężczyzna nie zauważa ich niespokojnych spojrzeń.

Kuma tylko wdycha.

MILAN Ja go pytam, Żócio, co ci ten samochód zrobił? A on, jak go o to spytałem, zupełnie zwariował, jak nie chwyci tablicę, jak ją nie pociągnie i już ją oderwaną trzyma w zębach, a warczy: Mmmmm!

KUMA Muszę się napić. Oj, Kumie mój, Kumie... Poważny z ciebie człowiek i wiesz, że wszelkie uderzenie w głowę... Czy cię nie boli tutaj?

MILAN (*uśmiecha się*) Boli, ale nie kręci mi się w głowie, nie chce mi się wymiotować, widzę doskonale i mam wszystkie klepki. Czemu płaczesz, Ana? Co się stało, kochanie?... Dlaczego płaczesz... duszo?

Milan tuli Anę, a ona mówi, szlochając.

ANA Dzwonił Stefan...

MILAN Dzwonił Stefan? Co mówił?

ANA Składa mi gratulacje i pyta, jak się miewam, a ty mi do domu przynosisz pistolet, bombę i tablice rejestracyjne jakiegoś bandyty. Ryzykujesz życie dziecka...Możliwe, że się ktoś na nim zemści, jak już ciebie i twego Żócia wsadzą do klatki dla zwierząt. Tak, tak – tam jest twoje miejsce, boś ty już nie człowiek, ty...

MILAN Co ty mówisz, Boże mój?... Dobrze, dobrze, wyniosę tę torbę na dwór, zaniosę tam, gdzie ją Żócio znalazł.

KUMA Nie! Nie!... Jeszcze by tego brakowało, żeby cię złapała policja na ulicy z pistoletem i eksplozywem albo, nie daj Boże, natkniesz się na tego, coś mu oderwał tablicę. Mało oberwałeś?

*Kuma wyciąga telefon z kieszeni.
Wzywa Inspektora Gołębia.*

Inspektorze, dobry wieczór... Nie, nie dzwonię w sprawie Bobana; dzwonię w sprawie Kuma... tak, mojego Kuma Milana. Znalazł jakąś torbę w parku...

MILAN Nie ja, Żócio znalazł. Ja bym jej nigdy nie odkrył.

KUMA Mówi, że nie on, tylko pies. W torbie jest pistolet i czarna plastikowa skrzynka... tak, tak... obawiamy się, czy to aby nie materiał wybuchowy... Tak? To możliwe? ...Nie, nie, nikt nie będzie dotykać... Daj pan spokój, nikt niczego nie dotyka.

ANA Powinniśmy wyjść z domu?

KUMA Powinniśmy wyjść z domu?... Dobrze. Czekamy na pana. (*do przyjaciół*) Będzie za dwie minuty. Tak się zaangażował w sprawę Bobana, jakby był jego bratem. Wybaczcie, że płaczę... Od Inspektora Gołębia nie ma lepszego policjanta w całym kraju. Dostał medal z Interpolu.

Z oddali niesie się wycie psa podobne do wycia wilka.

MILAN (*z dumą*) Żócio... Powiedziałem mu, żeby na mnie zaczekał.

Kuma nieco zdenerwowana i z lekka zamroczone alkoholem, wychodzi na balkon, żeby zobaczyć to psie „cudo”.

Milan obejmuje Anę, coś jej szepcze.

Kuma wraca z balkonu zadziwiona tym, co zobaczyła.

KUMA Kumie, czy ten żółty pies, co go widać z balkonu, to twój Żócio?

MILAN Owszem, Żócio.

KUMA Kumie... taki sam pies kręcił się nieraz koło mojego domu i przed północą dawał koncert wycia. Pewnego razu odprowadził mnie do samochodu i chciał ze mną jechać. To ten pies.

MILAN Nie może być ten, Kumo. Nie ma on swojej fury, żeby się odwieźć stąd do ciebie. (*wątpiąco*) A żeby przeszedł pół miasta...?!

KUMA Teraz, kiedy mnie zobaczył, zaraz zaczął skakać, jak tamten, co pod mój dom przychodził, dopóki go jeden przygłup nie postrzelił z pistoletu.

MILAN Mogło to być dziesięć dni temu?

KUMA Jakos tak mniej więcej... Emerytowani policjanci i wojskowi strzelają do wszystkich psów napotkanych pod blokiem.

MILAN Żócio miał ranę na plecach, gdzieś tutaj... Ale niemożliwe, Kumo, żeby to on około północy przybiegał do ciebie przez most i autostradę... Zapewne to jakiś kuzyn Żócia, może brat bliźniak. Bywa, że w miocie jest po dziewięć takich samych piesków. (*Pokazuje zdjęcia w komórce Any*). Ten pies przychodzi do ciebie?

Ana wyjmuje telefon z ręki obsesyjnego męża.

ANA Mamy komórkę pełną psich fotografii! Więcej w niej Żóciowych zdjęć niż własnego syna. Spójrz, Kumo.

KUMA Nie denerwuj się. Na te sprawy nie ma mocnych. Kiedy człowiek zostanie na lodzie, bliższe są mu psy. Człowiek bez pracy jest jak opuszczony pies.

Słychać syrenę i zatrzymujący się pod domem samochód policyjny.

Pulsujące niebieskie światła oświetlają taras.

Kuma wychodzi na balkon i pokrzykuje do Inspektora.

KUMA Dobry wieczór, Inspektorze! Niech pan pozwoli na górę! W porządku, w porządku – to moja karetka!

Kuma wraca do pokoju, uspokojona przyjazdem policjanta.

KUMA Teraz Inspektor zobaczy, co to jest. A ty, Kumie, nigdy nie wykopuj niczego z parku, nie przynos do domu żadnych toreb z pistoletami, bombami i kto cię wie, czym jeszcze.

MILAN Nie ja, Kumo, wykopałem.

KUMA Kumie, najlepiej, jak nic nie będziesz mówił... Ja cię rozumiem, przechodzisz ciężki okres. Wiem, jak się czują ludzie odrzuceni, niepotrzebni, wzgardzeni. Mnie ugryzł jeden taki, który z tych trosk i biedy się zezwierzęcił.

INSPEKTOR Dobry wieczór państwu...

Ana otwiera drzwi mężczyźnie w ciemnym ubraniu, opierającemu się na lase ze srebrnym uchwytem.

W drugiej ręce przybysz trzyma bukiet czerwonych róż.

INSPEKTOR Dobry wieczór, państwu... Moje gratulacje z okazji dwudziestej piątej rocznicy ślubu. Życzę wszystkiego najlepszego.

KUMA (z podziwem) Skąd pan wiedział, że obchodzą dzisiaj srebrne wesela? Skąd pan wiedział, Inspektorze?

INSPEKTOR Skąd wiedziałem? Dobry policjant musi wszystko wiedzieć, szanowni państwo... Proszę...

Ana otrzymuje trzeci bukiet kwiatów i wyciąga z kredensu trzecią wazę i kieliszek dla Inspektora.

INSPEKTOR Kwiaciarnię przed chwilą obrabowali. Ostatnią klientką była pani Sofija. Dowiedziałem się wszystkiego od kwiaciarki.

ANA Dziękuję panu, Inspektorze... Piękne róże.

INSPEKTOR Ładnie pana złomotali, elegancko.

ANA Jak ja mu mówię, panie Inspektorze, nie łaż po nocy po nieoświetlonym parku – zawsze ktoś musi porozbijać lampy, ledwo je postawią – on się śmieje: „Kto miałby mnie napadać, takiego bogacza? Nie są kryminaliści tacy ślepi i głupi!”... Spójrz, jak teraz wyglądasz, mądralo!

KUMA (obejmuje zdenerwowaną Anę) Kumo, proszę cię! Nie czas dzisiaj, w taką uroczystość.

ANA Nie chciał mnie słuchać, kiedy mówiłam mu, żeby na czas zmienić pracę. „Nie mogę – mówił – kiedy jest najciężej, zostawić ludzi i przedsiębiorstwa na lodzie!”. A przedsiębiorstwo mogło. Byle się tylko pod lodem nie znalazł. Łazi teraz po parku cały zabłocony... Piorun trafił w drzewo, pod którym się szwendał z tym psem.

MILAN Tak. Ale gdyby nie Żócio, byłbym już martwy. On mnie namówił, żebym się schronił w kiosku. O tym zapomniałaś powiedzieć.

Milan polewa Inspektorowi i wznosi swój kieliszek.

MILAN Zdrowia!... panie Inspektorze.

INSPEKTOR Był już pan na badaniu? Prześwietlili panu głowę?

MILAN Myśli pan, że ja?...

INSPEKTOR Tak, pan.

MILAN Nie byłem. Nie lubię szpitali.

ANA Ale lubisz szczekać i wyć! I straszyc mnie tym szczekaniem i wyciem.

INSPEKTOR Kto szczeka i wyje?...

Gdzieś w oddali znów słycać odgłosy burzy.

ANA On! Całymi dniami... I ciągle opowiada o jakimś Żóciu! Syna przez wiele dni nie wspomni. Pies mu jest bliższy od syna.

KUMA Nie możesz tak, Kumo. Nie jest mu łatwo. Po trzydziestu latach pracy wylądował na ulicy, jak pies.

ANA Inni też znaleźli się na bezrobociu, a nikt nie wyje i nie szczeka.

KUMA Nie masz racji, Kumo. Pooglądaj sobie BBC, CNN, Sky News, a zobaczysz, jak ludzie na całym świecie wyją: Auuuu, my God! Auuuu, auuu...! Cały świat wyje bez pracy i emerytury. Mnie człowiek ugryzł, Inspektorze. Stracił pracę, no to zaczął szczekać na sąsiadów... Człowiek na ulicy, bez pracy i chleba, to nie człowiek, nie człowiek, Inspektorze.

MILAN Dzięki, Kumo... Rozumiecie, dlaczego nie idę do lekarza.

Inspektor nie słucha „traktatu” o ludziach bez pracy; zajmuje go pistolet i czarna skrzynka na stole...

Spostrzega też tablicę rejestracyjną samochodu.

INSPEKTOR I ta tablica była w torbie...

MILAN Nie, tablicę Żócio zdjął z czarnego audi. A jak je obszczekał!: aw, aw. Aw!

ANA Słysz go pan, Inspektorze?

INSPEKTOR Słyszę, słyszę, droga pani. Żócio, to ten pies, który znalazł torbę?

MILAN To on. Kiedy oderwał tablicę, wręczył mi ją i warczał: mmm!

INSPEKTOR Ciekawe. (*Uważnie obraca w ręku czarną skrzynkę*) Psy mają szczególnie dar wyczuwania materiałów wybuchowych... Będzie tego ze dwa kilo. Wystarczy, żeby wysadzić blok mieszkalny i jeszcze pół ulicy.

KUMA O, matko! To my może... na balkon?...

Ana z Kumą wychodzą na balkon, stawiając ostrożnie krok po kroku.

ANA Teraz widzisz, coś mi przyniósł za prezent na naszą rocznicę?

INSPEKTOR (*telefonuje*) Marko, podrzuć mi skaner do materiałów wybuchowych. Może to nie eksplozyw, ale jak już odleciś w powietrze...

MILAN Wyleciał pan kiedy?... Jak, jak pan wyleciał w powietrze, panie Inspektorze?

INSPEKTOR Pięknie i wysoko, razem z samochodem. Nogę to mi odnaleźli na dachu restauracji, dopiero kiedy naprawiali antenę satelitarną...

Ana i Kuma wysłuchują strasznej opowieści zawstydzone „drobiazgami”, o których rozprawiały w obecności człowieka tak ciężko doświadczonego. Wracają z balkonu.

ANA Proszę nam wybaczyć, że się tak spieraliśmy przy panu...

KUMA...który przeżył takie straszne...

INSPEKTOR Ja jeszcze nie najgorzej z tego wyszedłem, ale mój szofer... (*Słysząc dzwonek do drzwi*) To mój człowiek. Proszę mi przynieść skaner, Milanie... Ale mój szofer... zostały tylko buty i pasy... eeh! (*wznosi kieliszek*) Wasze zdrowie, szanowne panie. Pamiętajcie, każdy dzień to święto Cudu istnienia.

KUMA (*odpowiada drżącym głosem*) Panie Inspektorze, pana zdrowie. I dziękuję, co pan dla mnie zrobił. Proszę mi wybaczyć, że płaczę.

ANA Nie płacz, Kumo... Boban się odnajdzie, wróci... Co wy myślicie?

INSPEKTOR Niestety, przez trzy lata ustaliłem tylko pewne detale... Brakuje mi dowodów materialnych... Dziękuję, Milanie.

Przejmuje od Milana skaner, który mu gospodarz przyniósł z przedpokoju, takie srebrne pudełeczko podobne do szkatułki na klejnoty. Przyciska czerwony włącznik na skanerze. Słysząc długi piskliwy ton. Następnie bierze czarną skrzynkę i przy pomocy skanera sprawdza ją ze wszystkich stron. Piskliwy dźwięk oscyluje pomiędzy cichym i niepokojąco mocnym tonem. Kiedy on koncentruje się na wykonywanych czynnościach, Ana i Kuma wycofują się, odciągając również Milana w kierunku balkonu. Gdyby nie było im wstyd, pewnie uciekłyby z domu na podwórko, może nawet przez balkon. Po ustaniu niepokojących sygnałów skaner emituje jakąś cichą, miluchną melodię. Inspektor wreszcie się uśmiecha i oddycha z ulgą. Nie oddychał przez cały czas sprawdzania zawartości czarnej skrzynki.

INSPEKTOR Uch!, w porządku... W pewnej chwili pomyślałem: to już koniec. Z domu nie zostanie nawet fundament.

MILAN Było krytycznie?

INSPEKTOR Owszem, jak sygnał zaczął oscylować, zamarłem... Za ten skaner dostałem złoty medal Interpolu. Dotychczas nigdy mnie nie zawiodł. Mam nadzieję, że i dziś... (*Z kieszeni wydobywa szwajcarski nóż. Ostrzem próbuje podważyć wieczko*) Jeszcze tylko to. Mhy, jaki to rodzaj materiału wybuchowego?

ANA Inspektorze, błagam pana...

INSPEKTOR Łaskawa pani, ja proszę...

KUMA Mój skaner w szpitalu też czasami...

INSPEKTOR (*ponownie zdekoncentrowany*) Cisza, proszę, absolutna cisza!

MILAN A może wyniesie pan to do parku. Inspektorze, niech pan spojrzy, jak wielki jest park...

INSPEKTOR Ozzz... ta pokrywa!... całkiem zardzewiała... A to co? Znowu piszczy... Czemu mnie to tak przeraża?

MILAN Inspektorze, a wtedy... kiedy wyleciał pan w powietrze, sprawdzał pan samochód skanerem?

INSPEKTOR Oczywiście. To pierwsze, co robię, zanim dam znak kierowcy, by zapalił motor.

MILAN No więc, jak się to mogło zdarzyć, że nagle „odleciał pan”?

Ostrze noża zgrzyta po metalowej pokrywie, która nie chce ustąpić.

INSPEKTOR To był skaner pierwszej generacji, jeszcze nie tak doskonały...

A teraz, Boże, dopomóż...

Nagły dźwięk telefonu w kieszeni Any przeraża Inspektora.

Machinalnie cofa ręce od skrzynki. Spłoszona kobieta do syna:

ANA Synu, zadzwoń później. Inspektor otwiera skrzynkę.

Inspektor odczekuje, aż Ana skończy rozmowę i ponownie zabiera się do roboty.

Pokrywa skrzynki otwiera się na tyle, że palce Inspektora chwytają ją od zewnątrz.

Ana i Kuma stoją przy barierze balkonu i najchętniej skoczyłyby w dół. Milan śledzi otwieranie „urządzenia wybuchowego” jak ciekawe wszystkiego dziecko lub jak człowiek, który nie jest świadomy niebezpieczeństwa.

KUMA (*pokrzykuje do swojego szofera*) Aco, zabierz samochód sprzed domu! Zabierz, jak ci mówię. Przetaw go gdzieś dalej, póki nie jest za późno!

MILAN Inspektorze, czy nie jest zwyczajem, by prace przy rozbrajaniu materiałów wybuchowych odbywały się na poligonie? Za miastem?

INSPEKTOR Zgadza się, jak jesteś pewny, co masz w rękach. Ostatnie generacje środków wybuchowych reagują na zmiany ciepłne. Mam nadzieję, że skaner wszystko odczytał. Do dziś nie pomylił się. Jeszcze tylko ta pokrywa... Boże, dopomóż...

Pociąga pokrywę i kładzie skrzynkę na stole. Wyjmuje chusteczkę i wyciera sobie czoło. Ana i Kuma przy barierce balkonu nieporuszone, zamarte ze strachu. Milan się niewinnie uśmiecha. Policjant całuje skaner i ze skrzynki wydobywa jakiś pakunek zaklejony taśmą lepiącą. Palcami bada zawartość.

INSPEKTOR No, gotowe. Dzięki Ci, Panie...

KUMA Możemy już oddychać?

INSPEKTOR I co tu mamy? Narkotyki... Typowe opakowanie narkotyków.

ANA Milanie, Boże jedyny! Co on naściągał do domu! I narkotyki... i mogliśmy wylecieć w powietrze... a ty się uśmiechasz.

MILAN Przecież Żócio nie dałby mi eksplozywu ...

INSPEKTOR Zaraz zobaczymy, co to jest.

Z tzw. „szwajcarskiego noża” wydobywa świderek. Powoli, ostrożnie prześwidrowuje paczkę i wysypuje proszek.

INSPEKTOR Heroina... czysta, najczystsza heroina. Muszę sporządzić protokół, bez względu na naszą znajomość. To wszystko jest zbyt poważne na ustne zeznanie... Milanie, niech pan podejdzie. Wszyscy podejdźcie.

ANA Narkotyki w moim domu?

KUMA Broń i heroina... oj, Kumie, Kumie.

Milan, Ana i Kuma wchodzą do pokoju jak uczniowie, którzy nieźle nabroili.

INSPEKTOR (*wyjmuje notatnik i długopis z kieszeni*) Milanie, niech pan siada... wszystko, co pan powie, zostanie zapisane... Torbę z pistoletem i dwoma kilogramami heroiny znalazł pan w tym waszym parku?

MILAN Nie ja znalazłem, panie Inspektorze.

INSPEKTOR Nie pan znalazł?

MILAN Nie. Znalazł Żócio.

INSPEKTOR Milanie, jest pan poważnym człowiekiem. Znamy się od zaginięcia pańskiego Kuma. Mam nadzieję, że w sprawie jego zniknięcia nic pan nie przemilczał, o niczym nie zapomniał mi powiedzieć...?

MILAN Powiedziałem wszystko, co wiem.

INSPEKTOR (*zwraca się do Kумы, która znowu zaczęła płakać*): Sofija, proszę panią... Nic nie załatwimy płaczem... Milanie, kiedyście się rozstawali ostatniego wieczoru, czy może Boban coś panu dał?

MILAN Czy mi coś dał?

INSPEKTOR Tak. Czy może przypadkiem dał panu tę torbę?

MILAN Czy dał mi tę torbę?

INSPEKTOR Tak. Żeby mu pan gdzieś przechował, dopóki on nie wróci. Orientuje się pan, w jakich klubach on śpiewał i z kim się przyjaźnił, i kto mu był „bliski”, że nie powiem nic więcej.

Ana i Kuma spoglądają na Milana, który oniemiał zatrwożony pytaniami policjanta.

KUMA Kumie, powiedz wszystko, co wiesz, proszę cię. Ja jestem na wszystko gotowa.

MILAN Inspektorze... pan myśli, pan podejrzewa...

INSPEKTOR Nie myślę i nie podejrzewam; stawiam tylko logiczne pytania, które mój szef mi postawi, kiedy mu przedstawię swoje sprawozdanie, w którym będzie napisane, że Żócio znalazł broń i heroinę. Każdy normalny zapytałby, jak jakiś pies uliczny miałby wiedzieć, gdzie się znajduje torba z bronią i narkotykami i jak wpadł na pomysł, żeby to wykopać i przekazać panu. Spiszemy, jak to dokładnie było.

MILAN (*zdenerwowany, urażony, prawie płacze*) Już panu powiedziałem, Inspektorze. Przyszedłem do parku, żeby go nakarmić, a on na mnie patrzył, jak człowiek na mnie patrzył i skomlał, jakby płakał...

INSPEKTOR Zapiszemy: „I skomlał, jakby płakał...”. Milanie, niech pan nie płacze.

MILAN Proszę mi wierzyć, oczy miał pełne łez i szczenił, najpierw zwyczajnie, a później coraz głośniej i wścieklej: Aw! Aw! Aw! Aw!... I wtedy poszedłem za nim, i on przy tym wielkim kasztanie zaczął kopać. Ja go zapytałem: Żócio, co to tak kopiesz? Zakopałeś jakąś kostkę? A on tylko

kopał, kopał i dokopał się do skrawka torby. O, proszę, na torbie macie ślady jego pazurów... I ma pan ślady zębów na tablicy rejestracyjnej. Proszę... To nie są ślady moich zębów, Inspektorze... Niech pan obejrzy moje zęby! Czyż ja moimi zębami mógłbym tak pogryźć tę tablicę, taki metal?!

ANA (*chwytając męża za rękę*) Milanie, proszę... uspokój się, proszę cię... Inspektorze, on miał poważne problemy z sercem, jak stracił pracę... Proszę, uspokój się.

MILAN Jak się mam uspokoić, skoro od dwóch godzin mówię, jak było, i nikt z was mi nie wierzy! Wychodzi na to, że gadam głupoty i że sam jestem umoczony w ukrywanie broni i narkotyków! Ale, Inspektorze, jest w tym logika, skoro już jesteśmy przy logice... że ja sam to wszystko wykopuję i wzywam was, policję, byście mnie posadzili? Jest w tym jakaś logika?

INSPEKTOR Nie ma. Oczywiście, że nie ma. A czy jest w tym jakaś logika, że pies włóczęga wykopuje torbę i odrywa tablicę rejestracyjną od auta, by nią pana obdarować? Czy w tym jest jakaś logika, Milanie?... Co państwo sądzą?

KUMA Szczerze mówiąc, nie ma.

MILAN A czy jest „normalne”, że mnie jakiś zwykły pies ratuje, że ryzykuje swoje życie, rzucając się na dwóch bandziorów? Czy to jest „normalne”? Potem, kiedy usiadłem na ławce, kiedy już Żócio pogryzł ich i przegonił, spytałem go: Żócio, co ja ci takiego zrobiłem, że ryzykujesz dla mnie życie? Ludzie pouciekali, a ty stanąłeś w mojej obronie. Dlaczego to zrobiłeś?... On siedział, patrzył na mnie i zaczął skomleć, tak jakby chciał mi coś powiedzieć: Auuuuu...Auuuuu...Auuuuu!

INSPEKTOR (*spogląda na Milana jakby nieco mniej sceptycznie*) Próbował coś panu powiedzieć?

MILAN (*wycierając oczy*) Próbował... Powtarzał: Auuuuu, auuuuu, auuuuu...

Dzwoni telefon w kieszeni Any.

I gdy Milan wyje, objaśniając, jak rozmawia z Żóciem, matka usiłuje uspokoić przerażonego syna.

ANA Wszystko w porządku, no uwierz mi, jak ci mówię...

MILAN (*w transie, peroruje Inspektorowi, który stara się to zapisać*): A kiedy chciałem iść do domu, on stanął przede mną i zaczął szczeleć: aw, aw, aw.

INSPEKTOR (*sybilizuje*): I za-czął szcze-kać: aw, aw, aw... Trochę wolniej, żebym mógł zapisać.

Ponownie dzwoni telefon.

ANA Wszystko w porządku, tata referuje Inspektorowi wydarzenie z Żóciem, pistoletem i narkotykami... Synu, daję ci ojca. Nich ci on sam wyjaśni, dlaczego warczy, szczeka i wyje.

Podaje telefon Milanowi.

Tymczasem Inspektor coś sobie zapisuje, kiwając głową, jakby wszystko dla niego było zrozumiałe.

MILAN Właśnie opowiadam Inspektorowi, jak Żócio... No, przecież ci mówiłem: Żócio jest psem. Poznam cię z nim, jak przyjedziesz... Dobrze się czuję... Ależ dobrze, skoro ci mówię... Dlaczego mam iść do szpitala?... Dobrze, zadzwonię. Uważaj na siebie.

ANA (*przejmuje telefon*) Stefanie, synu, na pewno jej powiem... zadzwonię do ciebie... na pewno. (*Przerywa połączenie*) Kumo, Stefan cię prosi, żebyś go przekonała, żebyś mu w szpitalu zdiagnozowała ten uraz. Dzieciak się rozpłakał...

MILAN Dlaczego się rozpłakał?

KUMA Kumie, czy ty mnie szanujesz jako Kumę, jako żonę twojego Kuma, którego kochałeś jak brata?

MILAN Boże, Kumo, a cóż to za pytanie?! Dobrze, dobrze (*Podnosi rękę na znak, że się poddaje*), jeśli jedno zdjęcie załatwi całą sprawę, zgadzam się, jadę! Kumo! Już jedziemy!

ANA Zawsze był z ciebie poważny i rozumny człowiek...

KUMA Chodźmy, Kumie, skoro samochód czeka pod domem...

INSPEKTOR Zaczekajcie. To mi przypomina pewien przypadek... (*przez telefon*) Halo!...Wilczek? Nic cię nie słyszę przez to łajanie!... Tak. Teraz lepiej. Słuchaj, jestem u pana Milana, to kum Bobana, tego zaginionego piosenkarza... Tak... Wiem, że lubiłeś słuchać, jak śpiewa... Słuchaj, Żócio, co chodzi z Milanem, no ten pies z parku, wykopał torbę z pistoletem, narkotykami i tablicą rejestracyjną...

MILAN Tablica nie była w torbie, Inspektorze. Żócio ją...

INSPEKTOR Ten Żócio, jak go Milan nazywa, zachowuje się jak człowiek: wszystko rozumie, niemal mówi i płacze...

MILAN I śpiewa.

INSPEKTOR Kto śpiewa?

MILAN Żócio.

INSPEKTOR Żócio śpiewa?

MILAN Kiedy sobie na spacerze gwizdzę „Obcokrajowca w nocy”, on śpiewa, no dobrze – wyje, ale tak pięknie, jakby śpiewał. Ma nieprawdopodobny głos...

ANA Kumo, ty słyszysz, co on znowu bredzi?

KUMA Słyszę, Kumo, słyszę...

INSPEKTOR Słyszałeś, Wilczek?... Tak... To wszystko przypomina mi przypadek ze „złotym retrieverem”... Daję ci Milana. (*Podaje telefon Milanowi, mówiąc do niego*) Wilczek jest największym fachowcem od psów.

MILAN Dobry wieczór, panie Wilczek... Tak... rozmawiamy. On mnie we wszystkim rozumie... Tak... No, a jak się spotkamy, ja go zazwyczaj pytam: Gdzieś się podziewał, zbójcu jeden? To on wtedy się zaraz ucieszy i wesoło zaszczecka... Ale jak zaszczecka! Może spróbuję powtórzyć, jak zaszczecka... Chociaż trochę się krępuję, panie Wilczek.

INSPEKTOR Niech pan spróbuje wyszczekać to, co Żócio naszczekał, to znaczy, niech pan powtórzy, co pan szczeakał. Wilczek rozmawia z psami jak z ludźmi.

MILAN Aw! Aw! Aw! Aw!...

INSPEKTOR Wilczek dorastał w schronisku dla psów. Ktoś go tam podrzucił, jak miał sześć miesięcy. Pełzał do piątego roku życia, a przemówił w siódmym. Lepiej szczecka niż mówi. Teraz to komandir „psiego batalionu”. Rozwiązał niemało poważnych przypadków, czasem i zbrodni.

MILAN (*próbuje właściwie wyszczekać to, co naszczeakał Żócio*) A kiedy go pytam, dlaczego nie chce jeść konserw dla psów, on zaczyna smutno zawodzić: Auuuuuu! Auuuuuu! – jakoś tak. Lepiej nie umiem... (*do Inspektora*) Pan Wilczek chce jeszcze coś panu powiedzieć. Dziwny człowiek. Wyje jak wilk.

INSPEKTOR Czy zrozumiałeś cokolwiek?... Aha... Za ile możesz tu być? Milanie, jaki tu adres?

MILAN Jaki tu adres?

ANA Myśli pan... jaki jest nasz adres?

INSPEKTOR Przypomniałem sobie: Starogrodzka dwadzieścia pięć... Tak... Ten dom naprzeciwko parku, gdzie Boban zaginęła... Weź samochód interwencyjny i zaraz przyjeżdżaj. Idzie burza, może się gdzieś ukryć... a to ważny świadek.

Kiedy Inspektor spaceruje po balkonie i rozmawia z Wilczkiem.

Ana i Kuma próbują ponownie przekonać Milana, że koniecznie musi się udać na wizytę lekarską.

Żona znowu mu czyści marynarkę.

KUMA Mieliśmy... do szpitala...

Inspektor podsuwa Milanowi policyjny dyktafon.

INSPEKTOR Ma pan tu dyktafon. Milanie, niech pan idzie do parku, znajdzie Żócia i postawi mu kilka pytań. Pogadacie sobie, jak zwykle.

MILAN I mam to wszystko nagrać?

INSPEKTOR Wilczek chciałby usłyszeć waszą rozmowę. Mówi, że ma pan wyjątkowy dar... Koniecznie niech się pan dowie, dlaczego przyszedł do tego parku i zaprzyjaźnił się właśnie z panem.

ANA Milanie!... miałeś...

INSPEKTOR Na co pan czeka? No niech się pan pośpieszy. Wilczek będzie tu za dziesięć minut.

ANA Milanie, Idzie burza...

KUMA Nie jest to rozsądne.

MILAN Kumo, jak tylko wrócę... obiecuję...

Milan wychodzi z domu, tymczasem Inspektor wychodzi na balkon z tablicą rejestracyjną. Woła do jednego ze swoich ludzi.

INSPEKTOR (woła) Marko!... Marko! Stań pod balkonem.

MARKO (głos): Słucham, panie Inspektorze!

INSPEKTOR Trzymaj tę tablicę!... Łap! (Słysząc uderzenie blachy o beton) A to łamaga!... Jak masz złapać kryminalistę, kiedy nie możesz złapać tablicy?! Sprawdź mi wszystkie dane o samochodzie i o właścicielu auta! Myślę, że wiem, kto to... No, ruszaj!

MARKO Leć, panie Inspektorze!

INSPEKTOR I niech ci twoi „skauci” trochę ruszą dupę po parku. Powiedz im, żeby pogrzebali koło kasztana na skraju lasu. No, tam, gdzie jest dziura... w ziemi! (Wraca do pokoju poddenerwowany) Jezu, jak mnie wkurzają ci młodzi. Jak mnie wkurzają! Tylko siedzą i czekają, nie wiadomo, na co, i obmawiają nas starych. A czemuż pani płacze?

ANA Żal mi, bardzo mi żal...

INSPEKTOR Wszystko będzie w porządku. Milan jest...

ANA On mnie nie obchodzi! Niech robi, co chce; niech szczeka, niech wyje, niech chodzi na czworakach...

KUMA (*Próbuje wyprowadzić Anę do drugiego pokoju, ale ta się opiera*)
Kumo... może jeszcze jedną lufkę, na uspokojenie.

INSPEKTOR No więc czego pani żal?

ANA Żal mi syna, syna! Ukończył architekturę, a pracuje na obczyźnie jako przewodnik turystyczny i rozmyśla, dlaczego jego ojciec szczeka! Dziecko się przestraszyło, dzwoni do nas co chwila. Boi się o mnie, bo jak i ja bym się rozchorowała i straciła pracę, to już koniec tego domu.

INSPEKTOR Niechże się pani uspokoi. Niech mi pani da telefon do syna, ja mu wszystko wytłumaczę.

ANA Pan chce mu wytłumaczyć, a pan na pewno jest całkiem w porządku?... Kumo, proszę, nie uspokajaj mnie, nie jestem wariatką! Tyś powinna widzieć, kto w tym domu jest wariat! Ledwo przekonaliśmy Milana, żeby poszedł się zbadać, a Inspektor go wysyła, żeby nagrał wywiad z psem...

KUMA Inspektor wie, co robi, Kumo.

ANA Co on wie?! Trzy lata nie rozwiązał przypadku twojego Bobana, a teraz zwariowuje mojego męża! Zmusza go, żeby szczekał i nagrywał sobakę. Kumo, czy i ty się na pewno dobrze czujesz? Milana porównywać ze złotym retriewerem!...

Kuma podaje Anie szklankę z środkiem uśmierzającym bóle duszy naszej.

KUMA No, łknij sobie, Kumo, łknij... Będzie ci lżej... I za pana zdrowie, Inspektorze!

ANA Ot, urządzili mi srebrne gody!

INSPEKTOR (*spokojnie*) Ma pani rację. Ja prawdopodobnie nie jestem tak całkiem normalny. Ale coś pani opowiem... Przed dwoma laty, w domku letniskowym nad Dunajem, zabili emerytowanego profesora i jego żonę. Śledztwo ciągnęło się miesiącami. Przesłuchaliśmy setki ludzi. Jednego dnia, a był ze mną Wilczek, diabli wiedzą, który to już raz obchodziłem domek. W pewnej chwili widzę złotego retriewera, ulubieńca zamordowanych, i może mi pani uwierzyć lub nie, rozmawiali ze sobą. Retriwer, co przeżył masakrę, coś Wilczkowi szczekał, a Wilczek coś mu mówił.

ANA No, oczywiście.

INSPEKTOR Nie powiedziałem najważniejszego... Ten pies, ten złoty retriwer, wyszczał Wilczkowi, że jego gospodarzy zabił mechanik samochodowy, który przyszedł naprawić im auto.

ANA Pies wyszczał Wilczkowi... *(kiwa głową z rezygnacją)*

INSPEKTOR Kiedy to usłyszałem, droga pani, też mnie to zdziwiło, ale jednak poszedłem do tego majstra i w warsztacie pod górą odpadów znalazłem szkatułkę z biżuterią żony profesora.

KUMA Czyż to możliwe, Inspektorze?

INSPEKTOR A już kilka miesięcy później z pomocą jednego wiejskiego psa Wilczek rozwiązał sprawę zabójstwa alpinistów, pary małżeńskiej, która zniknęła pewnej nocy.

Inspektor przerywa opowieść, gdyż go zagłusza wycie syreny samochodu policyjnego, który się zatrzymał przed domem, poprzedzony biało-niebieskimi migoczącymi światłami.

INSPEKTOR *(wychodzi na balkon)* To na pewno Wilczek. Myśli, że jedzie „formułą”.

ANA *(szeptem)* Kumo, obawiam się, że i on... po wyleczeniu w powietrze... i on powinien się zbadać.

KUMA *(szeptem)* Cicho bądź. Udawaj, że we wszystko wierzysz.

INSPEKTOR *(woła)* Wilczek, znowu przyjechałeś pierwszy!... No, wchodź, wchodź!... *(wraca do pokoju i idzie otworzyć drzwi)* Sofijo, proszę, niech pani zdejmie fartuch. Boi się weterynarza. W schronisku przeszedł chorobę szczenięcą.

Kuma zdejmuje fartuch i odnosi go do drugiego pokoju.

INSPEKTOR *(w przedpokoju)* Proszę, przyjacielu, proszę!... Właśnie mówiliśmy o tobie...

Do pokoju wchodzi młody mężczyzna podobny do pustelnika. Włosy ma związane w ogon, broda trochę za długa, na sobie ma lnianą koszulę do kolan koloru wilgotnego piasku. W jednej ręce trzyma bukiet kwiatów polnych, w drugiej płócienną torbę.

Z uśmiechem obwącjuje pokój.

WILCZEK Tutaj był jakiś lekarz.

INSPEKTOR Zaraz cię przedstawię... Pani Ana, żona pana Milana, z którym rozmawiałaś przez telefon...

ANA Dobry wieczór... Inspektor opowiedział nam o złotym retriwerze i o pana rozmowie z nim...

WILCZEK Rozmawialiście o Zlatku? (*zachwycony*) O naszym Zlatku im pan opowiadał?!

INSPEKTOR Właśnie.

WILCZEK Pani... (*Wręcza Anie bukiet kwiatów polnych*) kwiaty z łąki koło naszego Centrum szkolenia psów... Inspektorze, a pan wie, gdzie jest teraz nasz bohater? (*z dumą*) Pod Wiedniem. Opiekuje się małżeństwem, które niedowidzi. Prowadzi ich na spacer, robi zakupy, przyjmuje gości, nauczył się niemieckiego... Kontaktujemy się czasami. Kiedy go pytam: Jak ci idzie, przyjacielu, on mi zawsze odpowiada: dobrze, w porządku... i zaczyna płakać przez telefon... Eeech, co to znaczy nostalgia. A wtedy i ja się rozpłaczę, jak mnie spyta: Kiedy po mnie przyjedziesz i zabierzesz mnie do domu?... Tam jest mu dobrze, ale, on chce do domu i chce do domu... i...

Kiedy Wilczek ociera łzy, a Inspektor go uspokaja, głaszcząc go po plecach, Ana z kredensu wyjmuje czwarty wazon.

Wstawiając kwiaty do wazonu, a wazon na stół, gdzie już stoją trzy bukiety, przez moment spogląda na człowieka rozrzewnionego opowieścią o złotym retriwerze na obczyźnie. Kuma wraca do pokoju w „cywilnym” ubraniu.

INSPEKTOR Uspokój się, Wilczek... uspokój... (*do Wilczka*) To pani Sofija, małżonka naszego piosenkarza, Bobana.

KUMA (*z pewnym dystansem i obawą*) Dobry wieczór...

WILCZEK Pani jest żoną Bobana?... żoną Bobana?!

KUMA Tak... Jestem... Byłam...

WILCZEK Nie mogę uwierzyć... (*Całuje ją w rękę*) Boban uratował mi życie. Dzięki niemu i jego piosence wciąż jeszcze żyję. Kiedyś wszedłem na ostatnie piętro wysokościowca, żeby skoczyć i usłyszałem jego śpiew z mieszkania na poddaszu. Zatrzymałem się, a byłem już za barierką, i powiedziałem sobie: zabijesz się, ale najpierw musisz go usłyszeć na żywo. I usłyszałem z okazji Ósmego Marca w Domu Związków Zawodowych. Mam nagranie.

Z torby wyjmuje podręczny magnetofon. Włącza go. Rozpoczyna się piosenka „Obcokrajowiec w nocy”, nieco podobna do wykonania Sinatry.

WILCZEK Nikt nigdy nie śpiewał tak tej piosenki. Nawet Sinatra.

Siedziałem w pierwszym rzędzie, słuchałem go i płakałem – bo ja wiem?

– z przeżycia piękna, ze szczęścia?... Głos anioła!

KUMA I ja siedziałam w pierwszym rzędzie... i zakochałam się w nim tej nocy. Pobraliśmy się dwa miesiące później.

ANA Jakież to było wesele, Kumo!

INSPEKTOR A było to jego czwarte małżeństwo. I gdyby nie zniknął, ożeniłby się po raz piąty. Pani wie, o czym ja mówię?

KUMA (*Odwraca głowę, kryjąc twarz*) Nie wiem... Nie chcę wiedzieć.

ANA (*obejmuje Kumę*) Kumo, proszę cię. O jakim to „piątym małżeństwie” mówi Inspektor?

KUMA (*Z trudem wypowiada to pytanie*) Inspektorze, czy mój mąż zginął z powodu żony tego kryminalisty?

INSPEKTOR Trudno powiedzieć. Mafiozo rzeczywiście oskarżony jest o zabicie swojej żony, która była z pani mężem. Ale jak wiadomo: nie ma ciała, nie ma zabójstwa.

KUMA A może Boban gdzieś wyjechał, może musiał uciekać, może się gdzieś ukrywa, przestraszony groźbami tego gada?

INSPEKTOR Może...

Na śpiew z magnetofonu nakłada się wycie psa z parku.

Wilczek podnosi głowę, nasłuchuje.

Wychodzi na balkon. Po drodze wyłącza magnetofon.

ANA Inspektorze, gdzie jest Milan? Wyszedł pół godziny temu... Może bandziory wróciły?

INSPEKTOR Cicho, cicho... Wilczek przesłuchuje.

ANA A co mi tam, „Wilczek przesłuchuje”! Nie ma mojego męża...
Milanie! Milanieeee!

Szczekanie w oddali. Wilczek cichutko wyje, stopniowo coraz głośniej.

Z parku w odpowiedzi też niesie się wycie.

Człowiek i pies „rozmawiają” w sobie tylko znanym języku.

Ana i Kuma spoglądają na siebie, skonfundowane niezwykłym „dialogiem”.

WILCZEK (*wraca z balkonu*) Idzie Milan... Żócio mi powiedział, że mu wszystko opowiedział. Powiedział, że wszystkiego się dowiemy...

ANA Żócio panu powiedział?... Kumo...!

KUMA (*szeptacze do Any*) Udawaj, że wszystko jest normalne.

Dzwonek do drzwi. Oszołomiona gospodyni idzie je otworzyć, powtarzając to samo pytanie jako rodzaj wieloletniego nawyku.

ANA Znowu zapomniałeś klucza?

KUMA (*spogląda na zegarek*) Muszę już iść...

ANA Nie odchódź, Kumo, proszę cię... Nie czuję się dobrze.

W pobliżu uderza piorun i na moment rozświetla park. Wilczek ucieka do kuchni przerażony grzmotem. Do pokoju wchodzi Milan, niosąc dyktafon ze szczególnym namaszczeniem.

KUMA Panie Wilczku, a gdzież to pan tak..?

INSPEKTOR Spłoszył się i czmychnął.

MILAN Nie mogę uwierzyć. Nieprawdopodobne...

ANA Milanie, włóczysz się po burzy... I co ciebie znowu tak śmiesz?

MILAN Zgromadzili się sąsiedzi pod naszym domem. Widzą dwa samochody policyjne i ambulans medyczny. Znaczą, że była u nas masakra. Jak mnie zobaczyli – rozczarowani, ach, to pan żyje... Inspektorze, nagrałem wszystko, czego sobie pan życzył. Żócio był z jakąś psią kobitką. Przyglądał się jej i radośnie szczeakał... Zupełnie inny pies... Zakochany pies.

Z kuchni wychodzi Wilczek. Uśmiechając się podchodzi do Milana jak do starego przyjaciela.

WILCZEK Dobry wieczór. Jestem Wilczek.

MILAN To pan... Bardzo mi przyjemnie... Bardzo mi przyjemnie...

WILCZEK Ma pan zapach Żócia...

MILAN A no... przyjaźnimy się.

INSPEKTOR (*Wraca z balkonu rozdrażniony*) Jak mnie wkurzają ci młodzi.

Zrozumiem mnie, jak się zestarzeją... Dobra, posłuchajmy, co pan nagrał. Wilczek, przetłumacz mi rozmowę słowo w słowo.

MILAN Wszystko nagrałem, co mi powiedział.

KUMA (*Spogląda na zegarek*) Nie, ja jednak muszę iść...

ANA (*Obejmuje ją*) Zostań, Kumo, proszę cię.

Milan siada przy stole, a Wilczek z boku, gotowy notować w zeszytcie.

Inspektor włącza dyktafon; uważnie wsłuchuje się w rozmowę w parku, oparty na srebrnej rękojści laski.

Głos MILANA z nagrania: Gdzie się podziewasz, bandyto jeden? Szukam cię od pół godziny.

Głos ŻÓCIA z nagrania: Aw, aw, aw, aw...

Głos MILANA: A cóż to za piękność?

Głos ŻÓCIA: Aw, aw, aw, aw... Auuuuuu... Auuuuuu...

Głos MILANA: Nie mówiłeś mi, że masz taką śliczną przyjaciółkę. Jak ma na imię?

Głos ŻÓCIA: Aw... aw... aw... aw...

WILCZEK Bardzo ładnie.

Głos MILANA: A ja się przestraszyłem, że wróciły te bandziory i cię zabiły. Powiedz ty mi, Żócio, dlaczegoś przyszedł akurat do tego parku, pod mój dom, i dlaczego się właśnie ze mną zaprzyjaźniłeś... właśnie ze mną?

Głos ŻÓCIA: Aw, aw, aw, aw... Auuuuuu... aw, aw...

INSPEKTOR Wilczek, wszystko mi to dokładnie zapisz.

WILCZEK Interesujące, interesujące...

Głos ŻÓCIA: Auuuuuu... Auuuuu... Aw! Aw! Aw!... Auuuuuu!

Rozmowę Milana i Żócia Wilczek dokładnie spisuje. Pisząc, kręci głową i od czasu do czasu spogląda na Inspektora, który niecierpliwie czeka na tłumaczenie.

WILCZEK Interesujące, interesujące...

Ana i Kuma w oszołomieniu wsłuchują się w nagranie, patrząc na ludzi, którzy „przekładają” rozmowę człowieka i psa, jakby to był jakiś seans spirytystyczny z wzywaniem duchów.

Głos ŻÓCIA: Auuuuu ... Auuuuu... Aw! Aw! Aw!... Auuuuuu!

WILCZEK Nieprawdopodobne, nieprawdopodobne...

INSPEKTOR Co jest takiego „interesującego” i nieprawdopodobnego?”
 Głos ŻÓCIA: Aw, aw, aw, aw... Auuuuuuuu. Auuu...
 WILCZEK Tak, tak, straszne.

*I grom strasznie uderza gdzieś w pobliżu. Wilczek wciska się w krzesło, zakrywając uszy rękami.
 Inspektor wyłącza aparat. Przygląda się Wilczkowi, który się uspokaja wraz z oddalaniem się grzmotów.*

INSPEKTOR Wilczku, przyjacielu... Nie bój się, to tylko grzmi.
 WILCZEK Prze... przepraszam... Ludzie rzucali petardy w schronisku, kiedy byłem mały... Przepraszam...
 INSPEKTOR I co dalej?
 WILCZEK Milanie, Żócio cały czas tytułuje pana kumem. Kiedy się tylko do pana zwraca, mówi: *Kumie mój*...
 MILAN Kumie mój...
 WILCZEK Tak się rozpoczyna każda wasza rozmowa.
 MILAN Kumie mój... do mnie?... Tak mnie pokochał.
 INSPEKTOR I co jeszcze mówił?
 WILCZEK „Kumie mój – powiada – czy to jest możliwe, że mnie nie poznasz? Czy to możliwe, że przyjaźnimy się miesiącami, a ty nie wiesz, kim ja jestem? Przyszedłem, żeby ci powiedzieć, co się stało ze mną... Ja nie zaginałem, nie uciekłem, ja, Kumie, zostałem zabity. Ja zostałem zabity, Kumie”...

Wszyscy w milczeniu z zadziwieniem patrzą na Wilczka.

MILAN (*po chwili*) Tak Żócio powiedział?
 WILCZEK Tak powiedział.
 MILAN Zabity. Jakże to... zabity? Zatem Żócio nie jest Żóciem, znaczy Żócio, mój Kum... Inspektorze, czy pan to słyszy?

Inspektor milczy i spogląda na Wilczka, który coś zapisuje.

WILCZEK Wszystko dokładnie przetłumaczyłem i zapisałem...
 INSPEKTOR Jest jeszcze coś?
 WILCZEK Jest. Pan Milan powiedział mu: „Nic mi nie mówiłeś, że masz taką piękną przyjaciółkę”. I jeszcze go pan zapytał: „A jak ma na imię?”.

A on: „Izabela, Bela, Piękna... Znowu się spotkaliśmy i teraz ja jestem spokojny i szczęśliwy, Kumie”...

MILAN Izabela... To mi coś przypomina... Izabela?

INSPEKTOR Izabela to żona mafiosa oskarżonego o serię morderstw Zaginęła tej samej nocy, co Boban... Wilczek, czy pan to dobrze przetłumaczył?

WILCZEK Słowo w słowo, Inspektorze... Proszę sprawdzić.

ANA Kumo, czy ty słyszysz, co tu się mówi?

KUMA Słyszę i nie mogę uwierzyć... Straszne!

INSPEKTOR Moi państwo, jesteśmy o krok od rozwiązania.

KUMA Panie Inspektorze, czy pan sobie kpi? Co pan wyprawia? Wariatkę pan ze mnie robi?! Przez trzy lata nie był pan w stanie rozwiązać przypadku mojego męża, a teraz sprowadza mi pan tłumacza „psich języków”, żeby mi oświadczyć, że mój Boban został psem, który jest znów z tą, z tą suką! Nie wstyd panu, panie Inspektorze! Tego poniżenia nie mogę panu puścić płazem!... Ja panu, ja panu wierzyłam... a pan sobie ze mnie zadrwił.

ANA Kumo, proszę cię... Nie płacz, proszę cię... Milanie, Boże Ty mój, co oni... Milanie...?!

Dzwoni telefon. Melduje się podwładny Inspektora.

INSPEKTOR Mów, Marko... Tak... Gdzie?... Niech nikt nie wchodzi do lasu... Wezwij koronera... Tak... Tak... Będę za dwie minuty... (*Rozłącza się*) Proszę pani, co miał pan mąż na sobie, kiedy ostatniej nocy wyszedł z domu?

KUMA (*wystraszona telefoniczną rozmową*) No, czarną marynarkę, niebieską džinsową koszulę... i... i... (*Zaczyna płakać*) I... wydaje mi się...

INSPEKTOR Czarne spodnie ze skórzanym paskiem?

KUMA Tak.

INSPEKTOR I czarne eleganckie buty?...

MILAN Panie Inspektorze, kiedyśmy się rozstawali tej nocy, zwróciłem mu uwagę, że ubiera się, jakby był wiecznie młody. A on mi odpowiedział, że nawet diabeł jest ładny, jak jest młody. Roześmiał się i odszedł.

INSPEKTOR Pamięta pan, Milanie, dokąd on wtedy poszedł? Powiedz im, dokąd on wtedy poszedł!

MILAN No, na spotkanie z tą kobietą... z tą Izabelą. Kupił bukiet róż... Wybacz, Kumo, ja mu przysięgłem, że nigdy nikomu nie powiem...

Panie Inspektorze, uprzedzałem go: – Wiesz ty, psia go mać, Kumie, czyja jest to żona?! A on – wiem. – No to wiedz, że ten człowiek może cię... już tylu ludzi wysłał na drugi świat. – Wiem. – I ryzykujesz głową? – Bo ją kocham. – Kumie, ta miłość może cię kosztować życie. A on mi na to: Widzisz, ja nie mam życia bez niej... Wybacz, Kumo, tak to było. Dłużej nie mogłem milczeć.

Kuma siedzi za stołem i słucha opowieści Milana, o której sądziła, że to tylko prowincjonalne plotki.

Z parku niesie się długie, ciche wycie.

Wilczek wychodzi na balkon; wysłuchuje psiego zawodzenia z podniesioną i przekrzywioną na bok głową.

WILCZEK Milanie, Żócio mówi, że z Izabelą chciałby, chciałby z nią odejść do jakiegoś spokojniejszego miejsca, jakiegoś innego parku.

KUMA (*niezbyt głośno*) A to dziwka!

MILAN Proszę mu powiedzieć, żeby na mnie zaczekał! Muszę go przeprosić. Myślałem, że on jest zwykłym psem... Kumie, Kumie, co mam zrobić, Kumie?

INSPEKTOR Nich pan przyhamuje, Milanie, niech pan zostanie w domu, dopóki ja nie wrócę z wizji lokalnej. W lesie, w zapuszczonej części parku, psy wykopały zwłoki mężczyzny. Jakiś żółty pies uciekł, kiedy przybyli moi ludzie... Tam jest też to ubranie. Przykro mi, proszę pani... bardzo mi przykro.

KUMA Inspektorze, pan myśli?...

Kuma usiłuje wstać, podnosi się, nogi jej się plączą i niespodziewanie osuwa się na podłogę.

ANA Kumo, co tobie?!

W pobliżu parku uderza piorun, gaśnie światło. Pokój oświetla płomyk wcześniej zapalanej świecy. Milan klęka przy omdlałej Kumie; podtrzymuje jej głowę.

MILAN Kumo, wybacz mi... Kumo...

ANA Milanie, daj jej wody!...

MILAN Inspektorze, niech pan wezwie karetkę pogotowia! I doktora!

INSPEKTOR Karetka pogotowia stoi przed domem... A doktor leży.
KUMA (*unoszą głowę*) Nikogo nie wzywajcie... Kumo, odprowadź mnie do karetki.
ANA (*do Milana*) Milanie...

*Razem pomagają nieszczęsnej kobiecie podnieść się.
Wilczek z balkonu wyje o czymś Żóciowi ukrytemu w parku.*

MILAN (*do Wilczka*) Powiedz Kumowi, żeby na mnie zaczekał.
KUMA (*Oswobadza się od Milanowej pomocy*) Zostaw mnie, Kumie, nie dotykaj mnie...
MILAN Kumo?!... Co tobie?...
KUMA Przyjechałam, żeby ci pomóc, a wyjeżdżam sama ciężko chora...
(*do Any*) Kumo, możesz ze mną do szpitala?
ANA (*podtrzymując Kumę*) Byłoby dobrze, żebym i ja tam została.
(*Wyciąga z kieszeni klucze i rzuca je mężowi*). Jak będziesz wychodzić z domu, zabierz ze sobą klucze. Nie będzie nikogo, kto by ci otworzył drzwi.

Kuma wychodzi z domu wspierana przez Anę.

KUMA Inspektorze, niech mi pan powie, czy to możliwe, żeby i teraz był z nią? Bobanie, Bobanie, byłeś kundlem i zostałeś kundlem...

Kuma i Ana opuszczają dom. Inspektor wkłada pistolet i narkotyki do czarnej torby.

INSPEKTOR Dobra, teraz mam wszystkie dowody... No, tak, Boban powrócił w postaci psa, by rozwiązać swój przypadek. Dobre sobie... ja skończyłem Akademię, byłem na specjalizacji w Anglii i w Izraelu, a „przypadki” rozwiązują mi psy.
WILCZEK Pamięta pan tego buldoga, który rozwiązał przypadek zamordowanego listonosza?
INSPEKTOR Do diabła, dosyć! Dosyć! Nie masz w swym wykształceniu ani jednego dnia szkoły policyjnej, dorastałeś w schronisku dla psów i rozwiążesz mi najcięższe zbrodnie! Po co się uczyłem dwadzieścia lat?!

Po napadzie szafu, przytuła Wilczka, który smętnie opuścił głowę.

INSPEKTOR Wybacz... wybacz, przyjacielu... Wybacz... i dzięki ci...

WILCZEK (*ocierając łzy nadgarstkami*) Nic, nic... Nie szkodzi...

INSPEKTOR (*odchodzi, zatrzymuje się*) Milanie, nie ma pan pracy? A może by tak zechciał pan z Wilczkiem...? Byłby pan instruktorem w psiej jednostce...

MILAN Naprawdę?... Uważa pan, że ja... sądzi pan, że mógłbym...?

INSPEKTOR Jest pan przyjęty.

MILAN Jestem przyjęty?

INSPEKTOR Jest pan zatrudniony od poniedziałku. Do widzenia.

MILAN Inspektorze, dziękuję, dziękuję, bardzo panu dziękuję! Nie będę musiał sprzedawać domu.

Efekt odjeżdżającej karetki pogotowia.

WILCZEK (*z balkonu*) Powieźli doktorkę do szpitala.

INSPEKTOR Żal mi pani Sofii... Idę złapać drania, który i mnie próbował wysłać na drugi świat. On mnie wysadził w powietrze, a ja jego spuszcza do ziemi!

Inspektor wychodzi z domu, opierając się na lasce i niosąc czarną torbę.

Na stole rozdzwania się zapomniany przez Anę telefon.

Milan wyjmuje go.

Ze słuchawki rozlega się melodia „Obcokrajowiec w nocy”.

Milan rozmawia z synem uradowany, że znów ma od poniedziałku pracę.

MILAN Stefanie, synu! Tak... Miewam się dobrze, bardzo dobrze! Od dawna nie było lepiej! Mama musiała pojechać do szpitala. Nie, nie – z nią jest wszystko w porządku. Odwiozła Kumę, Sofiję, której się pogorszyło, kiedy się dowiedziała, że Kum Boban wrócił i pojawił się jako Żócio... no, ten z parku... Stefanie, synu, Żócio nie jest psem, no tak, przedtem tak mówiłem, ale Żócio to Boban. Tak, tak... Pan Wilczek nam przetłumaczył Kumowe szczekanie... No, myślałem, że to pies, ale teraz wiemy już, że to nasz Kum Boban... Pan Wilczek, on nam wszystko przetłumaczył...

WILCZEK (*dorzuca*) Pozdrowienia ode mnie!

MILAN Kum wrócił jako Żócio, żeby rozwiązać swój przypadek i odkrył miejsce, gdzie jest zakopany... Jak to Kuma Sofija usłyszała, zaraz zemdlała, a ja dostałem posadę, synu! Pracuję od poniedziałku! Pracuję

razem z panem Wilczkiem, który powiada, że jestem „utalentowany” jako instruktor psów...

WILCZEK (*dorzuca*) Jakby się urodził w schronisku!

MILAN Słyszałeś, co pan Wilczek powiedział?... I ty też tak myślisz? Nie będziemy musieli sprzedawać domu. Synu... co ci jest?... Ty płaczesz?... Aaaa – ze szczęścia, że dostałem posadę i że nasz dom... No to ci powiem szczerze, i mnie popłynęły łzy, kiedy mnie Inspektor przyjął na psiego instruktora. Jestem szczęśliwy... Uważaj na siebie!

Przerywa rozmowę, w zamyśleniu wpatrując się w stół jadalni z czterema buketami i świeczką, która płonie rozkołysanym płomieniem. W tym momencie zapala się światło.

MILAN O, Boże, chwała ci. Właśnie wyobraziłem sobie, że jesteśmy na cmentarzu.

WILCZEK I ja nie lubię mroku... Jak mnie cieszy, że Boban wrócił.

MILAN Ale mi głupio... Nie powiedział mi, kim jest i jak to właściwie rozumieć. Od miesiąca spacerujemy i przez cały czas ja się odnoszę do swojego Kuma jak do psa. Jak mam to naprawić?

WILCZEK Mogę pana o coś spytać?... Czy Boban w prywatnym życiu był też taki szarmancki i serdeczny, jak na scenie?

MILAN No, był... Kobiety kochały go, a i on miał słabość do kobiet... „Słabość” to za słabo powiedziane.

WILCZEK (*bierze magnetofon ze stołu*) Nie tylko go kobiety kochały. Było też trochę młodzieńców, którzy przychodzili na jego koncerty. Znam nawet kilku, którzy przychodzili na każdy koncert. Boże, jak on śpiewał... Posłuchajcie tego głosu...

Wciska klawisz magnetofonu. Rozpoczyna się Bobanowe śpiewanie, podobne do Luisa Armstronga w niezapomnianej „odzie” o naszej planecie: „Jaki piękny jest świat”.

WILCZEK Taki głos pojawia się raz na sto lat... Kiedy go słucham, samo mi się płacze.

Piosence z magnetofonu towarzyszy najpierw ciche, potem coraz głośniejsze „śpiewanie” psa z parku. Milan i Wilczek zasłuchani w płynący z oddali „śpiew” wychodzą na balkon.

MILAN Zawsze śpiewał, kiedy spacerowaliśmy. Jak mogłem nie rozpoznać tego głosu?

WILCZEK I teraz ma piękny głos... kiedy tak wyje.

MILAN Kumie! Wybacz! Kumie! Nie poznałem cię! Nie wiedziałem, że to ty!... Dziękuję ci, że mi uratowałeś życie!... I pracę dostałem dzięki tobie. Nie muszę sprzedawać domu!

WILCZEK Brawo, panie Bobanie! (*dyskretnie do Milana*) Czy byłoby to możliwe, żeby mnie pan z nim poznał? Nie miałem takiego szczęścia, dopóki był człowiekiem.

MILAN Ależ oczywiście... Będzie mu miło, kiedy się dowie, jak mu pan fankuje... Brawo!

WILCZEK Brawo! Brawo! Brawo, Kumie!

Milan i Wilczek wstuchują się w wycie dochodzące z parku, w śpiew Żócia vel Bobana. Wilczek, uszczęśliwiony głosem swojego idola, wyje cichutko, wstydliwie, zachęcając też Milana, żeby i on podchwycił melodię i się przyłączył. Nieśmiały gospodarz wzbrania się, trochę mu niezręcznie, ale uniesiony Kumowym „zaśpiewem” i on daje głos podobny do wycia. Niezwykle „trio” rozkoszuje się pieśnią i wieczystą przyjaźnią, przyjaźnią ludzi i psów.

MILAN Twój głos, Kumie, jest dla nas niezwykle drogi, szczególnie teraz, kiedy stałeś się psem i kiedy my sami zeszliliśmy na psy.

WILCZEK Tym bardziej, Kumie, jesteś nam drogi, tym bardziej, przyjacielu.

Wyją wspólnie.

KONIEC BEZ KOŃCA

*Z języka serbskiego
przełożył Grzegorz Walczak*



Република Србија
Министарство културе и информисања

Antoni Pieńkowski

Jelenie

Uśmiełem się serdecznie
Albo jak mówi młodzież: szalenie,
Kiedy przeczytałem w gazecie,
Że ze wschodu na zachód
Uciekają nawet jelenie.

Zmartwiła mnie ta informacja.
Miałem zamiar z pretensjami
Zatelefonować do opiniotwórczej redakcji.
Ale długo trzymałem słuchawkę w dłoni.
Aż pomyślałem: – A może to ja
Nie mam tak zwanej racji?

Jelenie mają podobno
Świetnie rozwinięty zmysł obserwacji.
Włosy jeżą mi się na głowie:
– Co się stanie, kiedy tutaj zabraknie jeleni?
Na budowie? W lesie? W sklepie? Na straganie?
A nawet w niejednej porządnej redakcji?

Nocne słuchanie stacji radiowych

Z godziny na godzinę
Tłoczą nam do komórek szarych
Fakty, cyfry, daty.
Miary.

– Ten był owaki! – mówią.
– A tamten po prostu do kitu!
Wrzeszczą. Skandują. Powtarzają kilka razy!
Aby nikt nie zapomniał przed świtem.

Pytają ekspertów o zdanie.
 Może nawet wrywają ich ze snu.
 Modne jest każde zdanie autorytetem podeprzeć.
 Dosypać soli. Dodać pieprzu.

Słuchacz ma wszystko podane na tacy.
 Nad niczym nie musi wysilać komórek szarych.
 Ktoś go o coś zapyta? Jota w jotę powtórzy.
 I doda z uśmiechem: Przecież w radiu przed świętem
 Tak gadali.

Utwory z tomu *Gruszki na wierzbie*
 Wydawnictwo vis-à-vis Etiuda
 Kraków 2017
 Stron 98
 ISBN 978-83-7998-124-3





Mal. Sylwia Gibaszek